

**Maciek Horn**

**PAN SAMOCHODZIK  
I TRUSO**

**87**

## WSTĘP

Wolałbym, Œeby ta przygoda znalazła mnie w jakimś przyjemniejszym miejscu. MoŜe siedziałbym z wędką nad jednym z jezior, rozmyślając o pięknie mazurskiej przyrody. Albo wspinałbym się na jeden z tych karpackich szczytów, które zawsze raczą swoich gości idealną ciszą i poczuciem wolności. Niestety, TA przygoda znalazła mnie za biurkiem, kiedy ślęcząc nad stosem dokumentów marzyłem o wszystkim, tylko nie o kolejnych przygodach. Właśnie robiłem ostatnie przed urlopem porządki w papierach i oczyma wyobraźni widziałem juŜ siebie na zaległym wypoczynku.

A jednak przybyła. Jak zwykle nagle i nieubłaganie. Znalazła mnie. I zaprosiła. TA przygoda dała o sobie znać głosem piętnastoletniego Kuby.

- Ktoś się włamał do systemu! Oni nam zniszczą wszystkie dane, dobiorą się do hardwerów, rzucają jakiegoś wirusa i rozbiją naszą grupę! - krzyczał na całe gardło Kuba, wpadając do mojego gabinetu w gmachu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Musiał być niezwykłym zjawiskiem dla pracujących tu urzędników, którzy oderwali się od swoich obowiązków i wbiegli do gabinetu niemal równo z nim. Kątem oka spojrzałem na moich kolegów z resortu. Wszyscy zastygli niczym antyczne posągi.

- Co się stało? - spytałem Kubę, zamykając jednocześnie drzwi gabinetu i wzrokiem dając kolegom znak, który mówił: „Później wszystko wam wyjaśnię”. Ponowiłem pytanie. Kuba odetchnął nieco i zaczął opowiadać.

- Ktoś nam buszował w systemie dziś w nocy. Prawdopodobnie zarzucił nam jakiegoś trojana i jest taka blokada, Œe nie mogłem rano złapać Bazylego na gadu-gadu. Dopiero u Rufusa połączyliśmy się z netem, a i to tylko dzięki temu, Œe jego ojciec ma swoje łącze. Na wszelki wypadek sformatowaliśmy twarde. Pan teŜ powinien to zrobić. Koniecznie chcieliśmy o tym pana powiadomić. Nie dostał pan e-maili ode mnie albo od chłopaków? - zapytał z lekkim wyrzutem w głosie.

Rzeczywiście, nie sprawdzałem dziś elektronicznej poczty.

- Poczekaj, zobaczę - powiedziałem łagodnie, co wyraźnie uspokoiło mojego gościa.

Włączyłem mój ministerialny komputer, który - tu poczułem przy Kubie odrobinę wstydu -

rozgrzewał się tak wolno, jak przedwojenne lampowe radio marki Syrena. Kiedy wreszcie się ocknął, zobaczyłem w prawym dolnym rogu pulpitu (ozdobionego zdjęciem Machu Picchu na tapecie) stylizowaną kopertę z cyferką „cztery” - od wczorajszego wieczora dostałem drogą elektroniczną cztery listy. Domyśliłem się, Œe trzy z nich były od chłopaków - Kuby, Rufusa i Bazylego, a czwarty

pewnie dotyczył moich spraw słuŝbowych.

- Jest coŝ - Kuba niecierpliwie próbował mnie wyprzedzić. W ostatniej chwili nie dopuŝciłem go do myszki. Bałem się, Ŝe ten bystry i nadzwyczaj szczery chłopak „na wszelki wypadek”

sprawdzi wszystkie e-meile, a potem „na wszelki wypadek” - ulubione powiedzenie Kuby -

wszystko mi pokasuje. Poprosiłem go, aby usiadł przy stoliku, który stał w rogu gabinetu.

Następnie sam po kolei otwierałem wszystkie listy.

Treść pierwszych dwóch - od Kuby i Bazylego - wcale mnie nie zaskoczyła. Właściwie nie znalazło się w nich nic, czego nie przedstawił mi Kuba, a olbrzymia liczba wykrzykników i róŝnych symboli, zwanych emotikonami, dodatkowo zaciemniła ich treść. Tylko list od Rufusa był

przejrzysty i wolny od internetowego slangu. Dzięki temu dowiedziałem się, Ŝe w nocy najprawdopodobniej nastąpiło zwanie na łączach, przez co nasza wewnętrzna, blokowa sieć została odcięta od sieci globalnej i „na krótko” zawieszono system operacyjny. Ale teŜ, jak pisał Rufus, jego ojciec, inŝynier, zaoferował nam dziś wieczorem swą pomoc. Było to o tyle waŝne, Ŝe on jako 1

jedyny miał jakiegokolwiek pojęcie o łączach teleinformatycznych. Domyśliłem się, Ŝe Kuba nie czekał na wyjaśnienia ojca Rufusa i w tym czasie z gorącą głową biegł do mnie, pozostawiając gdzieś w tyle nieco tęŝszego Bazylego.

Nadawcą czwartego listu był mój zwierzchnik, pan Tomasz. Chciałem przeczytać go dopiero po wyjściu Kuby, ale juŜ sam tytuł niezwykle mnie zaintrygował. Zerknąłem kątem oka w stronę mojego gościa. Gdy stwierdziłem, Ŝe jest zajęty oglądaniem wiszących na ścianie starych zdjęć, w całkowitej tajemnicy otworzyłem e-mail. Zawierał on intrygujące zdanie: *Niedługo znikną skarby Truso, chyba Ŝe natychmiast przyjedziesz.*

A więc znalazła mnie. Znalazła i juŜ się od niej nie uwolnię. Ale skoro znalazła mnie, to ich teŜ. Uśmiechając się w myślach, powiedziałem do Kuby:

- Nadszedł wasz czas. W końcu was znalazła. ONA juŜ was nie zostawi.

- Kto nas znalazł? Jaka ONA?

- Przygoda - odpowiedziałem z satysfakcją.

W oczach chłopaka pojawił się błysk. Nie zadawał zbędnych pytań. Był jak Ŝołnierz, który na rozkaz swego dowódcy gotowy jest pójść na koniec świata. Na moment zapadła cisza, która zdawała się zwiększać podniosłość chwili...

Na krótko. Przerwało ją wkroczenie do gabinetu Bazylego, a za nim gromady ciekawskich urzędników. Zasapany i spocony Bazyl wrzasnął na powitanie:

- Panie Pawle, ale przygoda!

Kubę, Bazylego i Rufusa poznałem dwa lata temu. Mieszkaliśmy w jednym bloku na Ursynowie. Moja skromna kawalerka, wypełniona po brzegi książkami i różnego rodzaju starociami, zawsze była dla tych trzech chłopców otwarta. Często opowiadałem im o swoich przygodach, które przeżywałem u boku Pana Samochodzika, czyli pana Tomasza N.N., mojego zwierzchnika. Pokazywałem też chłopcom rozmaite pamiątki, które zachowały mi się z tamtych czasów. Wbiegali tu, gdy tylko wracali ze szkoły i dopiero interwencja rodziców późnym popołudniem ściągała ich do domów na obiad. Spędzali u mnie czas rozmawiając głównie między sobą, przeważnie o szkole, często nawet tu odrabiali lekcje. Byli to bowiem chłopcy, jak to się mówi, z dobrych rodzin. Rodzice ich spokojnie poświęcali czas na swoje zajęcia zawodowe, przekonani, że pociechy znajdują się pod dobrym wpływem, a ich rozwojowi nic nie zagraża.

Przyznam, że lubiłem ich towarzystwo i z satysfakcją patrzyłem, gdy te młode umysły, niczym gąbka, chłonięły wiedzę, którą chętnie się z nimi dzieliłem.

Niestety, większość czasu spędzałem w pracy, a urlopy najczęściej zajmowało mi rozwiązywanie zagadek związanych z kradzieżami, przemytem czy też fałszerstwami dzieł sztuki.

Ostatnio coraz rzadziej krzyżowały się nasze drogi i z upływem czasu Kuba, Bazyli i Rufus zaczęli chodzić swoimi ścieżkami. Z bólem serca patrzyłem, jak ci trzej zdolni chłopcy, z kluczami zawieszonymi na szyi, włóczyli się po blokowiskach albo przesiadywali przed klatką schodową, marnując czas i wystawiając się na wpływ podejrzanego towarzystwa. Ponieważ w pewnym sensie czułem się za nich odpowiedzialny, zdecydowałem się na dość ryzykowny krok.

Za całą swoją kwartalną premię zakupiłem wysokiej klasy komputer, wyposażony w najnowszej generacji płytę dwuprocessorową, sporą pamięć RAM, niezłą kartę graficzną, kilka twardych dysków oraz cały szereg mniej lub bardziej potrzebnych akcesoriów, zwanych potocznie bajerami. Sprzęt ten był efektem pracy mojego starego znajomego, zapalonego grafika komputerowego, który przez parę lat dopieszczał go i wzbogacał najnowocześniejszymi wynalazkami i technicznymi nowinkami. Ponieważ nagle musiał opuścić kraj, postanowił po okazyjnej cenie przekazać swoje „dziecko” mnie, w nadziei, że trafi w dobre ręce. Mój stary pecet poszedł na części, a nowy szybko zajął Jego miejsce na biurku.

Komputer rzeczywiście chodził jak syletka i po krótkim okresie zaznajamiania się nastąpiła między nami prawdziwa przyjaźń - ja rozumiałem jego, on zaś bez kaprysów spełniał wszystkie moje prośby i polecenia. Komputer zaimponował również Kubie, Bazylemu i Rufusów i tak jak kiedyś zaczęli spędzać u mnie te nieliczne wieczory i weekendy, podczas których bywałem w domu. Po każdym powrocie z jakiejś wyprawy zauważałem, że chłopcy coraz poważniej podchodzą do swojego nowego hobby i w pewnym momencie stało się oczywiste, że musimy podłączyć się do Internetu. Oczywiście wszyscy razem.

W zorganizowaniu własnej sieci lokalnej i podłączeniu jej do tej światowej pomógł nam ojciec Rufusa, inżynier z dużej firmy telekomunikacyjnej. On rozrysował schematy oraz zakupił po cenach fabrycznych niezbędne przewody. Mój nowy komputer, ze względu na swe niezwykle walory, posłużył za serwer, a osobiste komputery moich trzech przyjaciół, wyposażone w karty sieciowe, zostały z nim połączone kablem koncentrycznym, który udało się położyć w przewodach wentylacyjnych naszego bloku. Dzięki dopełniły stałe łącza z Internetem. Ponieważ mój wkład 3

sprzętowy był najpokaźniejszy oraz ponieważ to ja przeszedłem przez cały labirynt osiedlowej biurokracji, obwołałem sam siebie administratorem sieci. Nie spodobało się to pozostałym jej użytkownikom, a zwłaszcza Kubie, który zrobił mi wykład o powszechnej równości i wolności słowa w sieci.

- To niesprawiedliwe - pisał na naszym pierwszym czacie - Ście może pan bez ograniczeń nas kontrolować, a my pana nie. Czy te wszystkie opowieści o szlachetnych przygodach z Panem Samochodzikiem nie są czasem przez pana wymyślone? Czy człowiek, który tak często narażał się, aby dzieła sztuki nie wpadły w ręce złodziei, może teraz bez mrugnienia okiem kraść drugim prywatność?

- To bardzo sprawiedliwe - odpisałem - zwłaszcza, Ście jest to wołają waszych rodziców. A poza tym, co byś powiedział, gdybym się teraz od was odłączył?

- Niech pan tego nie robi - wtrącił się Rufus - przecież zawsze zachęcał nas pan do szukania przygód. Może właśnie tu je znajdziemy.

- I zawsze będziemy z panem w kontakcie - dodał Bazyli - gdyby nawet pan wyjechał na drugi koniec świata.

- Mam nadzieję, Ście tym razem wyjadę z wami - odpowiedziałem całej trójce - i Ście wasza nowa pasja nie tylko przysporzy wam przygód, ale też pozwoli nabyć więcej wiedzy.

- Na pewno - pisał Rufus. - Mój ojciec pokazał mi, jak korzystać z internetowych encyklopedii i odwiedziliśmy już witryny kilku słynnych muzeów świata. Mam nadzieję, Ście poznam ciekawych ludzi z różnych krajów i wymienimy swoje spostrzeżenia.

- To teraz będziesz jeszcze bardziej przemądrzały - odparował mu Kuba, który zapominał już chyba o wielkiej idei, jaka jeszcze przed momentem zaprzętała jego głowę.

Rozmowa potoczyła się dalej i schodziła na coraz bliższe tematy. Wtedy cieszyłem się, Ście ci młodzi zapaleńcy poszerzają swoje horyzonty i - jak stwierdziła matka Kubie - wreszcie się wezmą do nauki angielskiego. Niestety, po upływie pół roku, pewnego letniego popołudnia, ta sama matka Kubie niezwykle zaniepokojona zapukała do moich drzwi.

- Panie Pawle - zaczęła - dobrze, Ście jest pan wreszcie w domu. Czekaliśmy na pański powrót.

Musi pan natychmiast zejść do pana inżyniera! Tylko w panu nasza nadzieja. Proszę szybko założyć buty i nie zwlekać, a ja już pędzę po panią Kowalczykową.

- O co chodzi? - zapytałem zaskoczony.

- Zaraz się pan wszystkiego dowie. Czekamy na pana.

Słowa te mówiła zbiegając już po schodach. Ta drobna, czterdziestokilkuletnia osóbką zawsze robiła kilka rzeczy naraz i trudno było komukolwiek za nią nadążyć. To chyba po swojej eleganckiej mamie Kuba odziedziczył niespożytą energię. Tego dnia w jej zachowaniu zauważyłem jednak coś niepokojącego. Nie zwlekając zszedłem po schodach i zapukałem do mieszkania Rufusa.

Otworzył jego ojciec. Po chwili wpadła tam matka Kubę ciągnąc za rękę panią Kowalczykową, czyli babcię i jednocześnie jedyną opiekunkę Bazylego. Po krótkim zamieszaniu usiedliśmy, a ja czekałem na wyjaśnienie przyczyn tego nagłego zebrania.

- Panie Pawle - pierwsza odezwała się mama Kubę - poprosiliśmy tu pana, ponieważ jesteśmy niezwykle zaniepokojeni tym, co się dzieje z naszymi pociechami. Ja na przykład, jak pan świetnie się orientuje, prowadzę na Ursynowie wraz z mężem kiosk warzywny, więc praktycznie cały dzień jesteśmy poza domem. Wie pan, jak to jest. Rano trzeba pojechać po towar na giełdę, potem się siedzi cały dzień i pilnuje interesu. Szczerze powiem, że lepiej jest samemu pilnować interesu, niż

zatrudnić pracownika, bo wie pan, jak to teraz jest z pracownikami. Jednemu się trafi dobry pracownik, a drugiemu...

4

- Chodzi o to - przerwał inżynier zapominając na moment o dobrych manierach - że nasi chłopcy stracili kontrolę nad korzystaniem z Internetu. Przypuszczam, że gdy mówił pan, panie Pawle, o przygodach, jakie mogą ich tam spotkać, miał pan na myśli coś zupełnie innego. Na przykład poznawanie nowych ludzi, łatwy dostęp do informacji, potrzebę nauki języków...

- Na przykład angielskiego - wtrąciła nieco zbity z tropu mama Kubę.

- Na początku - kontynuował inżynier - wszyscy, podobnie jak pan, myśleliśmy, że tak właśnie będzie. Cieszyliśmy się, że nasi synowie tak szybko prześcignęli nas w wiadomościach o komputerze, bo ta wiedza przyda się im w przyszłości. Tymczasem chłopcy, którzy wczoraj zakończyli rok szkolny, jeszcze nigdy wcześniej nie przynieśli tak dużo złych ocen jak właśnie teraz. I to niestety, panie Pawle, również z pana ukochanej historii. Co więcej, po nocach nie śpią, tylko grają w te gry, które są, jakby to powiedzieć, niezbyt dżentelmeńskie. Za dnia chodzą ponurzy i niewyspani, a za to przed monitorem dają upust swoim emocjom. Czasem nie godzi się mówić, co oni tam wyprawiają na tych ich czatach. Gdzie są ci chłopcy, którzy tak lubili pana opowieści?

- Boimy się o nich, panie Pawle - załamała ręce pani Kowalczykowa.

- Tylko w panu nadzieja - dodała mama Kubę.

Przez moment milczeliśmy. Z pewnością niepokój opiekunów naszej trojki był nieco przesadzony. Chłopcy nadal lubili ze mną rozmawiać, a czasem widywałem ich biegnących za piłką.

Rzeczywiście jednak opuścili się w nauce, a nie da się ukryć, że świat wirtualny coraz to bardziej pochłaniał ich wyobraźnię.

- Po chwili ojciec Rufusa wstał ze swojego fotela i przerwał ciszę.

- Dziś w nocy dokonałem niewielkiego sabotażu.

Wszyscy z uwagą spojrzeliśmy na niego.

- Korzystając z tego - ciągnął - że łącza internetowe przebiegają przez mój pokój, podłączyłem się w bardzo prosty sposób do głównego serwera wewnętrznej sieci naszych synów, czyli do pańskiego komputera, panie Pawle.

Na moich skroniach pojawiły się krople potu. Inżynier najwyraźniej dostrzegł moje zmieszanie i zawahał się przez moment.

- Proszę mówić dalej - machnąłem ręką.

- Muszę przyznać - ciągnął inżynier - że pańska „Syletka” zrobiła na mnie wrażenie. Choć, proszę mi wierzyć, celem moim nie było buszowanie po pana prywatnych zasobach. Brzydzę się tego typu praktykami, a nawet w swojej firmie sam je urzędowo zwalczam. Ale nie uważałem za niewłaściwe zrobienie czegoś, co dałoby mi pełny obraz sytuacji, w której znalazł się mój jedyny syn.

Prześledziłem w pamięci archiwalnej dyskusje Rufusa i jego kolegów, które prowadzili ostatnio na czacie, oraz przejrzałem maile, które wysyłali i otrzymywali. Niestety, to co tam zobaczyłem, potwierdziło tylko moje obawy. Wiedziałem, że tego nie można tak zostawić. Chcąc dać nam wszystkim czas na podjęcie jakichś działań, dokonałem kilku niewielkich zmian w systemie operacyjnym i odłączyłem waszą sieć od Internetu. Chciałem, żeby chłopcy myśleli, że to wirus, który uszkodził system. Jego naprawa, jak im powiedziałem, ma potrwać co najmniej tydzień, ale oczywiście można się przedłużyć.

Z biciem serca słuchałem inżyniera, ale powoli domyślałem się, do czego zmierza.

- Jakie działania ma pan na myśli? - zapytałem.

Inżynier nieco zniżył głos.

- Chłopcy dziś zaczynają wakacje i jeśli teraz czymś ich zajmiemy, możemy zyskać co najmniej kilka tygodni, a może nawet całe dwa miesiące. Panie Pawle, tylko w panu nasza nadzieja.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

Inżynier uśmiechnął się.

5

- Rufus wspominał, że rozpoczyna pan jutro urlop, więc można by się zorganizować chłopcom jakąś wycieczkę. I tylko niech się pan nie wymiguje. Wszyscy wiemy, że od dawna pan ją obiecywał

naszym synom.

- Rzeczywiście - próbowałem się bronić - jutro wyjeżdżam na urlop, ale będzie to urlop połączony z pewnym zadaniem służbowym, które otrzymałem od swego szefa. Tak naprawdę nawet nie wiem, jaką dla mnie przewidział rolę. Doświadczenie mnie jednak nauczyło, że przed wyjazdem muszę zgromadzić trochę wiadomości i skonsultować swoje plany z panem Tomaszem.

Pewnie będę musiał się z nim spotkać osobiście.

- Świetnie - klasnęła w dłonie mama Kuby - chłopcy zawsze marzyli, żeby poznać osobiście Pana Samochodzika. Koniecznie musi pan ich zabrać ze sobą. A dokąd właściwie pan jedzie?

- Pan Tomasz spędza teraz swój urlop na Mazurach Zachodnich. Prawdopodobnie będę musiał tam zajechać, a potem od razu ruszam na śląwy, w okolice Elbląga. Rano dostałem od niego wiadomość, ale jeszcze nie zdążyłem zadzwonić. W pracy byłem dziś nieco zajęty. Robiłem ostatnie przed urlopem porządki w papierach, a poza tym miałem kilku niespodziewanych gości.

- Znam świetny czterogwiazdkowy hotel w Elblągu - zawołała mama Kuby wyciągając swój telefon komórkowy - zaraz tam zadzwonię i zarezerwuję pokoje dla pana i trzech chłopców.

Musicie mieć zapewnione wszelkie wygody. Niech się pan nie martwi kosztami, przecież nikt nie patrzy na koszty, gdy chodzi o dobro dzieci.

- Nie trzeba - powstrzymałem ją wstając z krzesła - mam już zarezerwowany hotel i to hotel...

tysiącgwiazdkowy. Oraz oczywiście wszelkie inne wygody.

Odwrociłem się w stronę drzwi wyjściowych. Jednak zatrzymawszy się w pół kroku, dodałem zdecydowanie:

- A jeśli chodzi o wyjazd, to wyruszamy jutro o świcie. O czwartej rano czekam na chłopców pod blokiem. Aha, i niech zbiorą wszystkie możliwe informacje o Truso. Mamy mało czasu, więc każda taka informacja może się przydać. Jedziemy ratować skarby Truso!

Rzeczywiście, czasu było niewiele, a ja jeszcze sam dokładnie nie wiedziałem, jaki jest cel mojego wyjazdu. Szybko pobiegłem na górę, ale wychodząc usłyszałem za sobą:

- Truso? - to głośno zastanawiał się pan inżynier.

- Tysiącgwiazdkowy hotel? - dziwiła się mama Kuby.

A pani Kowalczykowa załamała tylko ręce i wykrzyknęła:

- O czwartej rano?! To ja idę robić Bazylemu kanapki na drogę.

Wieczorem zadzwoniłem do szefa. Był w bardzo dobrym humorze, bo dwie godziny wcześniej udało mu się złović sporego sandacza. Pogratulowałem i szybko przeszedłem do sprawy:



- Panie Tomaszu, czy pisząc o Truso miał pan na myśli stanowisko archeologiczne w pobliżu Elbląga?

- Dokładnie w Janowie Pomorskim - potwierdził szef.

- O ile wiem, odsłonięto tam resztki wczesnośredniowiecznej osady handlowej. Słyszałem, że według jej odkrywców, osada ta jest legendarnym Truso, opisanym przez średniowiecznego podróżnika Wulfstana. Ale jakie właściwie skarby, panie Tomaszu, mamy chronić? Czy mógłby pan przybliżyć mi cel mego wyjazdu?

- Ty, Pawle - zaśmiał się - jesteś jak duże dziecko. Wiedziałem, że wystarczy w rozmowie z tobą użyć słowa „skarby”, a rozpalona wyobraźnia nie pozwoli ci ani przez moment siedzieć na miejscu. Zrobisz wszystko, żeby je znaleźć.

- Nie bardzo rozumiem.

- Tym razem nie będziemy szukać zakopanych przed wiekami skrzyń ze złotem ani 6

zaginionych podczas wojny dzieł sztuki. Nie będziemy szukać tego, co było a zaginęło. Będziemy szukać tego, czego jeszcze nie znaleziono, chociaż wiadomo, gdzie jest. W jednym jednak masz rację, Pawle, będziemy szukać skarbów...

- A gdyby tak bez zagadek?

- Już wszystko wyjaśniam - odpowiedział. - Tak zwane Truso, czyli stanowisko archeologiczne w Janowie Pomorskim, zalicza się do najbogatszych w znaleziska w północnej Polsce. Odkryto tam chociażby liczne ozdoby z bursztynu i szkła, rozmaite zapinki, narzędzia związane z rzemiosłem oraz sporo monet. Na przykład kilka lat temu doktor Marek Jagoda, prowadzący te badania, odkrył skarb składający się z kilkunastu srebrnych monet, dokładnie arabskich dirhemów z IX wieku.

- Skarb monet?

- O toś to! - usłyszałem w słuchawce okrzyk szefa. - Z pewnością pamiętasz, że archeolodzy używają słowa „skarby” w zupełnie innym znaczeniu niż my, muzealnicy. Skarb archeologiczny to po prostu grupa zabytków, nawet niezbyt dla nas cennych, zgrupowana w jednym miejscu, najczęściej w jakimś schowku. Ktoś zapomniał je wyjąć i po wiekach stają się dla archeologów

„skarbem”. Tak było też z tymi dirhemami. Po znalezieniu i skatalogowaniu trafiły one razem z innymi monetami do Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu. Przez lata nie wzbudzały większego zainteresowania. Aż do ostatniej zimy.

- Co się stało ostatniej zimy?

- Pół roku temu pracownicy placówki zauważyli ślady nieudanego, na szczęście, włamania do gabloty z tymi właśnie dirhemami! Kilka dni później odkryto zniknięcie z muzealnego archiwum kilku stron z dokumentacji dotyczącej wykopalisk w Janowie. Pan Jagoda z całym przekonaniem stwierdził, że były na nich wszystkie informacje o dirhemach z Truso. O zbiegu okoliczności nie

mogło być mowy. Ktoś bardzo interesował się tymi monetami. Za bardzo!

- Czy powiadomiono policję?

- Oczywiście. Policjanci poradzili, żeby monety zamknąć na pewien czas w bezpiecznym miejscu, na przykład w sejfie i problem się sam rozwiąże. Ale złodziej nie był głupi, drogi Pawle.

To nie był amator.

- Umieram z ciekawości.

- Na początku czerwca w Janowie wznowiono prace wykopaliskowe. Tu i ówdzie znajdowano paciorki z bursztynu, szklane naczynia, żelazne groty strzał i oczywiście... srebrne dirhemy. Pan Jagoda, który już zapomniał o incydencie w muzeum, wszystkie te znalezione przedmioty składał do specjalnej skrzyni, którą każdego wieczora w swoim namiocie opróżniał i jej zawartość katalogował. Co kilka dni wywoził znaleziska do Elbląga i deponował je w muzeum.

Podczas trzeciego czy czwartego takiego kursu ten archeolog, znany ze swojej pedanterii, zapragnął już w muzeum posegregować to, co do tej pory ze swoimi współpracownikami odnalazł. Do jednej skrzyni włożył paciorki z bursztynu, do drugiej szklane naczynia, do trzeciej żelazne groty strzał, a do czwartej...

- Srebrne dirhemy? - nie wytrzymałem.

- Właśnie! - krzyknął do słuchawki pan Tomasz. - W muzeum nie było ani jednego dirhema!

Ani sztuki! Rozpląły się gdzieś w drodze między wykopaliskami a muzeum.

- Ile monet zaginęło w ten sposób? - spytałem szefa.

- Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące - odpowiedział z nutą ironii w głosie. - Ale niestety nikt nie zna na nie odpowiedzi.

- Dlaczego? - zdziwiłem się. - Przecież monety były skatalogowane. Jagoda musi znać ich dokładną liczbę.

7

- O ile wszystkie trafiły do jego skrzyni...

- Rozumiem - odrzekłem po chwili zastanowienia. - Monety mogły zniknąć już w samym miejscu wykopalisk!

- Otóż to - podchwycił szef. - Nie dość, że skradziono eksponaty, które znamy z zapisków pana Jagody, to najprawdopodobniej do jego skrzyni wcale nie trafiły wszystkie znalezione przez badaczy monety. I co gorsza, Pawle, z pewnością nadal nie trafiają. Ktoś nadal kradnie srebrne dirhemy z

Truso!

- Czy złodziejem może być któryś członek ekipy archeologów? - zapytałem.

- Taki wniosek nasuwa się sam przez się.

- A może jest wśród nich ktoś, kogo szczególnie interesują stare monety?

- Jest tam pewnie kilku miłośników staroci - załatwiał Pan Samochodzik. - Poza tym stanowisko mogą przecież odwiedzać inne osoby. Pan Jagoda wspominał o kilku stałych bywalcach, którzy czasem się tam kręcą. Ale jest też możliwe, że któraś z tych osób działa na zlecenie właściwego złodzieja, który działa zakulisowo. Dlatego trzeba dokładnie, ale dyskretnie przyjrzeć się im wszystkim. Wierzę w twoje umiejętności i intuicję. Naszym, a właściwie twoim, zadaniem jest namierzenie złodzieja i powstrzymanie znikania „skarbów Truso”.

- Nurtuje mnie jedna kwestia, panie Tomaszu.

- Tak?

- Powiedział pan, że złodzieja lub złodziei, jeśli jest ich kilku, interesuje tylko jeden rodzaj znalezisk, srebrne arabskie monety z IX wieku. Oprócz nich nie zabierają nic innego, ani paciorków z bursztynu, ani zapinek, ani innych ozdób. Tylko dirhemy.

- Dokładnie tak jest.

- Dlaczego złodziejom tak na nich zależy? Co z nimi robią? Dlaczego nie skradziono pozostałych przedmiotów?

- Dobrze pytania - usłyszałem wesoły głos szefa. - Przydałby się telefon do przyjaciela.

- Więc ja właśnie...

- Przerwał mi dudniący śmiech w słuchawce.

- Z przyjemnością poszukałbym z tobą odpowiedzi, przyjacielu. Ale wzywają mnie obowiązki towarzyskie. Druhowie od wędki zaprosili mnie na uroczyste pieczenie sandacza. Tak, tak, Pawle, pieczemy na ognisku nasze dzisiejsze zdobycze. A sam rozumiesz, że na urlopie ognisko to rzecz obowiązkowa.

- Ale skarby Truso... - próbowałem coś wtrącić.

- O tak - pan Tomasz natychmiast przerwał - skarby też trzeba ratować! Nie ma ani dnia do stracenia. Dlatego bierz wehikuł i jedź. Wszystkiego dowiesz się od pana Marka Jagody, który jutro w południe będzie czekał w zajeździe „Nowa Holandia” pod Elblągiem. Tym razem musisz działać sam. Ja jestem bardzo zajęty. Urlop, rozumiesz, drogi Pawle, urlop...

Dobrze rozumiałem pana Tomasza, w końcu sam od kilku godzin cieszyłem się (jakkolwiek by to

brzmiało) swoim urlopem. śęglowanie, łowienie ryb i siedzenie do późnej nocy przy ognisku śniły mi się od miesięcy. Ale nigdy nie śniła mi się beczynność. I w tym jednym nie poznawałem mojego zwierzchnika. Wcześniej zawsze dla przygód, choćby tylko zagadek umysłowych, gotów był do najwyszych wyrzeczeń. Dziś po raz pierwszy zrobił na mnie wrażenie człowieka, który wybiera wygodę.

Po przygotowaniu ekwipunku do wyprawy postanowiłem poszperać co nieco, aby zebrać jakieś wiadomości na temat legendarnego miejsca, które nazajutrz mieliśmy odwiedzić. Na szczęście pan inŚynier udostępnił mi bez wiedzy chłopców swoje łącza internetowe. Ale, choć była 8

to dopiero pora, w której zazwyczaj rozpoczynam ślęczenie nad ksiąŜkami lub przed monitorem, dość szybko zacząłem się robić senny. Pamiętam tylko, Őe wpisałem do internetowej wyszukiwarki hasło „Truso”, ale poza typowymi informacjami, które można przeczytać w kaŐdej encyklopedii, nie znalazłem nic ciekawego. Wszystkie odnośniki miały związek z Elblągiem, więc postanowiłem zaopatrzyć się jeszcze w plan tego stutysięcznego miasta i mapę jego okolic. Dla zbadania kontekstu historycznego wpadłem na parę stron mówiących o wikingach, w większości zresztą stron norweskich i duńskich, ale wtedy właśnie zasnąłem przy klawiaturze.

Szum komputerowego wiatraczka, charakterystyczny dla kaŐdego peceta, niczym kojąca kołysanka wprowadzał mój umysł w coraz to głębsze poziomy snu. Po chwili na dobre się w nim zanurzyłem. O ile teraz pamiętam, śniły mi się wtedy kolorowe sandacze wyskakujące z Dunajca (dlaczego akurat z Dunajca?) prosto na rozgrzaną patelnię, którą rozbawiony pan Tomasz trzymał

nad wielkim ogniskiem. Wokół ognia stali jego towarzysze „od wędki”, którzy zaśmiewali się do rozpuku z mojej naiwności, a potem wyciągali z kieszeni garściami srebrne dirhemy i przyprawiali nimi smaŐące się sandacze. Absurdalność tego snu pogłębiała się z minuty na minutę i wprowadzała mnie w stan relaksującej błogości. Niestety, do czasu.

W jednej chwili ostry, natarczywy dźwięk dzwonka u drzwi aŐ do bólu przeszył mój zaspany umysł. Podniosłem głowę i na ekranie zobaczyłem wygaszacz pokazujący godzinę. Była czwarta dwadzieścia siedem. Podeszedłem do wizjera i za drzwiami ujrzałem stos plecaków, namiotów i innych tobołów, zza których wystawały trzy ziewające głowy. Otworzyłem.

- O, juŐ pan ubrany - powiedział najmniej zaspany Rufus - a myśleliśmy, Őe pan jeszcze śpi.

Dlaczego tak długo pan nie otwierał?

- A po co to wnosicie? - zmieniłem temat wskazując багаŐe. - PrzecieŐ zaraz będziemy wszystko znosić do samochodu.

- Tego nie będziemy znosić, panie Pawle - odpowiedział - te rzeczy zostają u pana.

- U mnie?

- Tak - kontynuował Rufus - i zaraz wytłumaczę dlaczego. OtóŐ gdy o czwartej zero zero znieśliśmy na parking pakunki, okazało się, Őe mamy wszystkiego trzy razy więcej niŐ potrzeba.

- Trzy razy?

- Nikt z nas nie wiedział, co weźmie drugi, więc rodzice spakowali nam dokładnie te same rzeczy. Nie mogliśmy sami się pakować, bo byliśmy zajęci poszukiwaniem informacji na temat legendarnego Truso, którego skarby jedziemy przeciwko ratować. Nasi rodzice nie za bardzo wiedzieli, jak będziemy spędzać czas, więc dali nam „na wszelki wypadek”, jak mówi obecny tu Kuba, wszystko, co w ich rodzicielskim przekonaniu będzie nam potrzebne do spędzenia miło i wygodnie wakacji. Rodzice wyszli bowiem z przekonania, że nie tylko jesteśmy nieodpowiedzialnymi dzieciakami, ale też jakimś mięczakami, którzy potrzebują puchowych poduszek albo ciepłych kałesonów.

- A nie potrzebujecie? - spytałem

- Przecież jedziemy z panem - mówił dalej Rufus - aby poznać smak prawdziwej, tak, prawdziwej przygody, po to, żeby posmakować wiatru i otrzeć się o wielką tajemnicę. Po co nam to przedszkole, pytaliśmy jeden drugiego. Stwierdziliśmy, że zostawimy sobie tylko jeden z trzech namiotów, ten bez tropiku, po jednej parze dżinsów, nożki fińskie i oczywiście telefony komórkowe, a całą resztę, którą nazwaliśmy „przedszkolem dla mięczaków”, wniesiemy do pana, żeby już nie budzić i nie martwić rodziców.

Zawsze rozśmieszał mnie patetyczny ton Rufusa, ale nigdy mu tego nie pokazywałem. Tym razem jednak przechodził samego siebie i ledwie powstrzymałem wybuch śmiechu. Oto miałem przed sobą cudaczną grupę trzech „twardzieli”; Rufusa, który poprawiając ciągle okulary na nosie

stał w wyprasowanych na kancik spodenkach i wygłaszał mi kazanie, ziewającego Kubę, który już

prawie położył się z niewyspania na tobołkach, oraz Bazylego, który z niemal zamkniętymi oczyma zajadał się czekoladowym batonikiem. Rufus trzymał w ręku reklamówkę, a w niej trzy pary świeżo wypranych dżinsów i trzy finki - całe ich „męskie” wyposażenie.

Gdy po chwili nieco spowaśniałem, zapytałem Rufusa:

- Dlaczego jednak widzę tu trzy namioty?

- No właśnie - odpowiedział - jak już wspominałem, wybraliśmy jeden namiot, ale Kuba przypomniał sobie, co pan powiedział jego mamie. że będziemy spać w „tysiącgwiazdkowym hotelu”.

- Rzeczywiście - potwierdziłem.

- Od razu się domyśliłem, że miał pan na myśli spanie pod gołym niebem. Bo jak wiadomo w pogodną noc można dostrzec na niebie gołym okiem kilka tysięcy gwiazd, ale tylko z miejsc, gdzie nie ma świateł. Pewnie w takim miejscu się znajdziemy i będziemy tam musieli nocować, a ogrzewać nas będzie i chronić przed dzikimi zwierzętami tłuące się ognisko, wokół którego się ułożymy. Widziałem takie sceny nieraz w filmach historycznych i oto teraz nadeszła chwila, aby pójść w ślady bohaterów. To będzie rzeczywiście twarda, męska wyprawa, pomyślałem i zdecydowaliśmy, że namiot też nie będzie nam potrzebny. Będziemy spać, jak mówili Rzymianie

„sub love frigido”, czyli pod zimnym Jowiszem.

Tym razem nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Wejdźcie szybko, bo pobudzimy sąsiadów - wykrztusiłem. - Na pewno nie będziemy spać pod Śadnym Jowiszem, zimnym czy gorącym, bo nie mógłbym się później pokazać waszym opiekunom. Namioty rzeczywiście się nie przydadzą. A teraz wnieście do mnie to wasze

„przedszkole”. Wyjazd się może trochę opóźni, ale na pewno nie wyjedziecie bez szczoteczki do zębów i paru innych przedmiotów, tak samo niezbędnych, jak fiński nóż. Spakujcie ubrania, te lekkie i te grubsze, śpiwory i koce, zapasowe buty i wszystko, co zazwyczaj braliście na dłuższy wyjazd do rodziny. A ja w tym czasie zatankuję nasz wehikuł.

Chłopcy, bardziej oświeceni, od razu wzięli się do pracy. Wychodząc do samochodu dyskretnie wzięłem pod pachę zawinięty w czarną folię pakunek. Był to ów „tysiącgwiazdkowy hotel”, mój najnowszy nabytek i największy skarb, który miałem ze sobą zabrać. Nawet nie przyszło mi wtedy do głowy, że doprowadzi mnie on do rozwiązania zagadki i uratowania skarbów Truso.

10

## ROZDZIAŁ DRUGI

**WYJAZD • ZAGADKI UMYSŁOWE • WULFSTANA PODRÓŻ DO TRUSO • NASZA MAŁA TROJA • TAJEMNICZY LEXUS GS 300 • ALOSZA I AUSTRIA** Z Warszawy wyjechaliśmy o szóstej i niestety nie zdążyliśmy uniknąć korków spowodowanych początkiem wakacji. Zanim znaleźliśmy się na drodze do Gdańska, czyli na

„siódemce”, chłopcy zasnęli na tylnych siedzeniach wehikułu. Mój pojazd, a właściwie pojazd mojego szefa, wzbudzał często sensację na drogach ze względu na swój dziwaczny wygląd, ale dzięki ukrytym właściwościom niejednokrotnie, na lądzie i na wodzie, przysłużył się nam w najtrudniejszych sytuacjach. Był przedmiotem dumy pana Tomasza, a ja korzystałem z niego tylko w wyjazdach służbowych. Tym razem przydał się do przewozu nie tylko niespodziewanych pasażerów, ale i niemałego pakunku. Kiedy szef wyjeżdżał na Mazury wzbraniałem się przed wzięciem na swój urlop jego cacka, chciałem trochę samotnie powłóczyć się po Polsce. Pan Tomasz bardzo nalegał, mówiąc z uśmiechem, że jemu na Ślągach będzie zupełnie niepotrzebny, a mnie może się przydać. Teraz byłem mu bardzo wdzięczny.

Za miastem jechałem z dość dużą prędkością, ale wciąż wyprzedzali mnie niecierpliwieni kierowcy. Ich samochody były załadowane, jak nasz wehikuł, najróżniejszymi bagażami, a na dachach miały przytwierdzone rowery, deski surfingowe albo kajaki. Spragnieni urlopów na łonie natury mieszkańcy wielkiego miasta chyba podświadomie na drodze zachowywali się jeszcze tak, jakby śpieszyli się do biura w godzinach miejskiego szczytu albo wracali z zakupów w supermarkecie. Nie uległem hysterii szalonego wyprzedzania wszystkiego, co znajdowało się na drodze. Jechałem jednostajnie i spokojnie. Dzięki temu chłopcy mogli nadrobić godzinkę straconego snu. W tym czasie ja zastanawiałem się nad czekającym nas zadaniem:

„Jeżeli złodziejem monet jest ktoś z ekipy - rozmyślałem - w Saden sposób nie mogę mu dać poznać celu swojej obecności na stanowisku. Najlepiej, gdybym obserwował ekspedycję z pewnego dystansu. Ale z drugiej strony muszę być na miejscu, żeby poznać wszystkich, którzy bywają na terenie wykopalisk i dostrzec każde podejrzane zachowanie. Znam trochę złodziei dzieł sztuki i wiem, że są to ludzie przebiegli i bezwzględni. Prędzej czy później można zauważyć, że zależy im tylko na wartości materialnej tego, co mogą ukraść. Tymczasem archeolodzy cenią bardziej wartość historyczną znalezisk i wiedzę, jaką przynosi odkrycie. Doświadczenie jednak podpowiada, że złodziej często kryje się pod maską filantropa, a bezwzględny fałszerz udaje troskliwego kustosza.

Złodziejem może być właśnie ten, kto najświeżej pokazuje, że mu zależy na tym, aby dirhemy trafiły do muzeum. Tak, będę musiał zacząć od przyjrzenia się wszystkim i wszystkiemu. Chłopcy na pewno będą przydatni.”

Gdy byliśmy w połowie drogi do Elbląga, słońce stało już wysoko w górze. Jego skwar obudził trójkę moich pomocników.

- Już dojeżdżamy? - zapytał budząc się Kuba.

- Coś ty! - odparował mu Rufus. - Zobacz, że mijamy dopiero czternastowieczny zamek w Nidzicy. Właśnie opuściliśmy teren Mazowsza.

Bazyli głośno ziewnął.

- Trochę zgłodniałem. Czy nie ma tu jakiegoś baru?

- Musimy się rozglądać - pouczył Rufus. - Jeżeli chcemy zjeść w jakimś dobrym lokalu, to powinien nas przywitać estetyczną i ciekawą reklamą. Tylko takie miejsca warto odwiedzać.

11

- Moja mama - dodał Kuba - mówi, że trzeba też patrzeć na gwiazdki, ale nie wiem za bardzo, o co jej chodzi.

Jadąc w milczeniu wypatrywaliśmy tablic reklamowych.

- Zobaczcie, jaki śmieszny napis - krzyknął po kilku chwilach Bazyli.

- Tanio i swojsko oferuje wojsko - przeczytał głośno Kuba.

Zaczęliśmy się śmiać z tej reklamy jakiegoś wojskowego pensjonatu. Chłopcy szybko podchwycili i już całkowicie rozbudzeni zaczęli jeden przez drugiego wymyślać swoje slogany.

- Nie śpij w przyciągu, lepiej w pociągu.

- Taniej nie będzie niż na komendzie.

- Na naleśnika idź do leśnika.

- Szybko i smacznie zjesz w wiejskiej karczmie.

Zaśmiewaliśmy się głośno. Chłopców rozpieszczała wakacyjna energia. Tylko Rufus nie brał udziału w śmiechach. Przysłuchiwał się w milczeniu, patrząc w okno. W końcu z poważną miną oświadczył:

- Dlaczego tracimy czas na takie głupoty? Lepiej porozwiązujmy jakieś zagadki, które pomogą nam rozwijać się intelektualnie. Ja na przykład znam kilka zagadek matematycznych.

Kuba zmrużył oczy.

- Na wakacjach?

- Dlaczegoś by nie? - Rufus nie dał się zniechęcić. - Nie możemy pozwolić, aby nasz umysł

podczas kanikuły był mniej sprawny niż podczas pracowitego roku szkolnego. Posłuchajcie tej zagadki: Cegła waży kilogram i pół cegły. Ile waży cegła?

- Co to za śmieszne zadanie? - oburzył się Bazyli.

- To może zapytam inaczej: Czekolada waży kilogram i pół czekolady. Ile waży czekolada?

- To zupełnie inna sprawa - zastanowił się Bazyli. - Ale i tak nie rozumiem.

Wtrącił się Kuba:

- Rufus, przestań nas zanudzać. Przecież jedziemy z panem Pawłem na prawdziwą męską przygodę, a nie po to, by uczyć się rachunków. Prawda, panie Pawle?

- Skoro wywołaliście mnie do tablicy - zaśmiewałem - to muszę stanąć w obronie Rufusa i jego zagadki. Matematyka nigdy nie była moją pasją, ale nieraz się przekonałem, jak bardzo przydaje się sprawność umysłu wyćwiczona w takich logicznych łamigłówkach. Czasem od rozwiązania takiego zadania zależy, czy uda nam się uniknąć błędu albo uciec z pułapki. Z

przyjemnością będę rozwiązywał zagadki Rufusa, ale musiałbyś wymyślić coś trudniejszego, bo znam rozwiązanie tej o cegle. Cegła waży dwa kilogramy.

- Skąd pan wiedział? - oświadczył się nagle Bazyli.

- To proste - odpowiedziałem. - Po prostu trzeba sobie wyobrazić dwie połówki cegły albo raczej czekolady.

Kuba z Rufusem parsknęli śmiechem, ale Bazyli nie dał się zbić z tropu. Powiedział do Rufusa:

- A znasz coś trudniejszego, takiego, żeby pan Paweł nie zgadł od razu?



Rufus zamyślił się na moment.

- Hm. Tak, niech sobie przypomnę.

- Tylko niech nie będzie zbyt łatwa - zaŝartowałem.

- OK - zaczął Rufus nie w swoim stylu. - Proszę uważnie posłuchać: Andrzej ma szesnaście lat. To jest dwa razy tyle, ile Jurek miał wtedy, gdy Andrzej miał tyle, ile Jurek ma teraz. Ile lat ma Jurek?

Zamurowało mnie. Zacząłem słowo po słowie analizować zagadkę. „Szesnaście lat to dwa 12

razy tyle - zastanawiałem się - czyli Jurek miał wtedy osiem, ale właściwie kiedy?” Doszedłem do połowy zagadki i pogubiłem się. Głupio mi było pytać o powtórzenie, a jednocześnie nie chciałem strzelać. Nie chciałem się ośmieszyć. Popatrzyłem we wstecznym lusterku na twarz Rufusa. Był z siebie dumny. Wiedziałem, ŝe ten trochę przemądrzały chłopak mi pomoŝe. Wiozłem ze sobą skarb. A nawet, choć nie wiedziałem jeszcze dlaczego, wiozłem ze sobą trzy prawdziwe skarby.

W Małdytach zatrzymaliśmy się w barze przy stacji benzynowej. Zamówiłem sobie mocną kawę, a chłopcom pierogi z wiśniami i twarogiem. Usiedliśmy pod parasolem przy stoliku na zewnątrz. Wokół nas rozciągał się spory parking oświetlony słońcem. Poza naszym wehikułem było zaparkowanych tylko kilka samochodów. Większość miejsca zajmowały dwa potężne tiry z zagraniczną rejestracją. Ich kierowcy posilali się w barze zestawem śniadaniowym, oglądając w telewizji powtórkę jakiegoś muzycznego teleturnieju. W cieniu cięŝarówek stał niewielki opel corsa, w którym oŝywiony przedstawiciel handlowy rozmawiał z kimś przez telefon. Trzy stare maluchy wciśnięte w kąat naleŝały z pewnością do pracowników stacji benzynowej, którzy przyjechali do pracy - jak na to wskazywały tablice rejestracyjne - z okolicznych miejscowości.

Poza parkingiem stało kilka wiejskich domów, za nimi rozciągały się zielone łąki, a horyzont zamykała ciemna linia lasów.

Niemal mimowolnie spojrzałem na powiatową drogę, która przecinała „siódemkę”. Jej lewa odnoga prowadziła do Morąga i dalej nad otoczone malowniczymi pagórkami jezioro Narie.

Jeszcze wczoraj planowałem stąd rozpocząć swoją urlopową wędrówkę po Polsce. Niestety, nie było mi to dane. Natomiast w prawo droga kierowała się w stronę niewielkiego, ale uroczonego miasteczka Zalewa, a zaraz potem w lesiste okolice Pojezierza Iławskiego. Tam właśnie, nad Jeziorakiem, wczasował teraz zadowolony z ŝycia Pan Samochodzik. Poczulem odrobinę niezdrowej zazdrości. Pomyślałem, ŝe zrobię panu Tomaszowi niespodziankę i sam się przekonam, co przywiązało tego wagabundę do ciepłego miejsca wypoczynku. Natychmiast jednak przypomniałem sobie o znikających z wykopalisk dirhemach i czekającym na nas panu Jagodzie.

Do umówionego spotkania mieliśmy sporo czasu. Postanowiłem wprowadzić swoją druŝynę w sprawę, która przywiodła nas w te strony.

- Podczas tego wyjazdu - zacząłem - mamy do rozwiązania dwie zagadki. Jedna to zagadka Rufusa o Andrzeju i Jurku, którzy mają ileś tam lat, a druga to zagadka skarbów z Truso. Nie wiem, która jest

łatwiejsza i która wymaga większej gibkości umysłu. Ale zagadka Rufusa może poczekać na swoje rozwiązanie, natomiast skarby Truso nie będą na nas czekać ani dnia dłużej, choć przeleżały w ziemi już jedenaście wieków. Dlatego od tej chwili wszystko, co nie jest z nimi związane, musi poczekać.

- Świetnie - ucieszył się Kuba. - Nareszcie zaczyna się prawdziwa przygoda.

- O jakie skarby chodzi? - zapytał Rufus. - Czy Truso było jakąś fortecą albo skarbcem?

Spojrzałem rozczerowany na moich towarzyszy.

- Myślałem, że wczorajszy wieczór poświęciliście na przygotowania do wyprawy.

- Tak miało być - zwierzył się Rufus. - Ponieważ straciliśmy dostęp do sieci, chciałem poprzeglądać różne słowniki, atlasy i leksykony. Już miałem otworzyć dwunasty tom Wielkiej Szesnastotomowej Encyklopedii, gdy zadzwonił Kuba, że jest u niego Bazyl i...

- Rozumiem - przerwałem mu - nic nie znaleźliście.

- Niech pan nam jednak opowie o Truso - poprosił.

- Tak - wtórował mu Bazyl - niech nam pan wyjaśni, dlaczego to takie legendarne miejsce.

- Będziemy uważnie słuchać - dodał Kuba.

13

Podrapałem się w głowę. Ja sam niezbyt sumiennie wywiązałem się z zadania. Z zakamarków pamięci pozbierałem jednak trochę wiadomości i spróbowałem sklecić z nich jakiś plenerowy wykład.

- Jakiś czas przed 890 rokiem - zacząłem powoli - anglosaski podróżnik imieniem Wulfstan odbył podróż morską wzdłuż południowego wybrzeża Bałtyku. Wyruszył z duńskiego portu Hedeby na Półwyspie Jutlandzkim i po siedmiu dniach Seglugi dotarł w okolice ujścia Wisły.

- Naszej Wisły? - spytał Kuba połykając ciastko.

- Oczywiście, że naszej. Pamiętajcie jednak, że ta wyprawa miała miejsce na długo przed powstaniem państwa polskiego. Dlatego relacja, którą nam przekazał podróżnik, jest dla nas tak cenna.

- I co zobaczył? - zapytał Rufus.

- Wulfstan opisał krainy, które mijał jego okręt. Dzięki niemu możemy wiedzieć, że wybrzeża bałtyckie pomiędzy Łabą a Wisłą zamieszkiwali wtedy Wenedowie, czyli Słowianie. Dalej mieli swoje siedziby Estowie, jak ich nazywa anglosaski podróżnik. Chodzi o Prusów, nieistniejący dziś lud bałtyjski, który mówił językiem podobnym do litewskiego. Według Wulfstana granicą pomiędzy ziemią Słowian i Estów była dolna Wisła.

- A Truso? - dopytywał się Kuba.

- Truso było celem jego podróŜy, do którego w końcu dotarł. Być moŜe nawet Wulfstan przez jakiś czas mieszkał tam, poniewaŜ ze szczegółami opisał połoŜenie osady. Według jego relacji Truso było ulokowane w okolicach jeziora, z którego wypływała rzeka Ilfing. Z kolei ta rzeka łączyła się z jednym z ramion Wisły i wpływała do Morza Estyjskiego. Dzięki takim dogodnym warunkom Truso mogło przyjmować w swoim porcie statki i stać się kwitnącym centrum handlu.

- Czy było duŜym miastem?

- Z pewnością, choć być moŜe nie dorównywało wielkością duńskiemu portowi Hedeby, z którego przyłynął Wulfstan, albo największej bałtyckiej osadzie handlowej, jaką była Birka leŜąca nad jeziorem Mälaren w Szwecji. Ale Truso miało ogromne znaczenie w wymianie handlowej na południowo-wschodnim wybrzeŜu Bałtyku i dzięki temu wzbudziło ogromne zainteresowanie Anglosasów. Jego relacja z podróŜy do Truso została włączona do jednego z najwaŜniejszych dzieł anglosaskiej literatury, a samo Truso zyskało międzynarodową sławę.

- Czy inni kronikarze teŜ pisali o tym mieście? - drąŜył temat Rufus.

- Niestety, Őadne inne ųródło historyczne nie wymienia nazwy Truso. Wiemy jednak, Őe Prusowie eksportowali gdzieś stąd produkty leśne, воск, futra i oczywiście bałtycki bursztyn.

Przekaz Wulfstana jest więc całkowicie wiarygodny. Dzisiaj ten fakt potwierdzają dodatkowo odkrycia archeologów.

Gdy Rufus usłyszał o archeologach, spojrział na mnie uwaŜniej.

- Jak do nich doszło? - zapytał.

- To długa historia - odpowiedziałem - która sama w sobie stanowi fascynującą przygodę.

Przez stulecia lokalizacja Truso była dla badaczy zagadką. AŜ w 1982 roku odkrył je w Janowie Pomorskim nad jeziorem DruŜno pan Marek Jagoda.

- Ten sam, z którym mamy się dzisiaj spotkać? - spytał podekscytowany Kuba.

- Dokładnie ten - zaśmiałem się. - Myślę, że pan Jagoda z przyjemnością opowie nam o swoim historycznym odkryciu.

Chłopczy skończyli właśnie jeść pierogi, a miła pani, która nas obsługiwała, przyniosła deser, czyli sernik z polewą czekoladową. Rzuciliśmy się na ciasto. Bazyli jednak zrobił to zbyt szybko i słodka maź wylądowała na wyprasowanej przez babcię koszulce. Parsknęliśmy śmiechem, a Kuba omal nie wywrócił się z krzesłem. Zapomnieliśmy na chwilę o Truso, a rozmowa szybko zesłała na 14

bardziej błahe tematy.

W pewnym momencie Rufus oddalił się od nas myślami. Wpatrywał się w nieistniejący punkt, czym przykuł moją uwagę. Na jego twarzy malowała się ciekawość i wiedziałem, że lada moment usłyszę z jego ust coś interesującego. I rzeczywiście.

- Czy to prawda - zapytał niespodziewanie - że odkrycie Truso przez archeologów dorównuje znalezieniu mitycznej Troi przez Heinricha Schliemanna?

Pozostali chłopcy zamilkli i spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Pomyślałem, że warto wspomnieć o tej ciekawej analogii, zwłaszcza że moja wiedza o Troi znacznie przewyższała wiadomości o wyprawie Wulfstana.

- Rzeczywiście - odrzekłem z uśmiechem - Truso można nazwać naszą małą Troją. Czy pamiętacie historię pięknej Heleny i konia trojańskiego?

- Jeśli chodzi o jakieś babsztyle - wyrwał się Kuba - to ja się tym nie zajmuję. Ale o koniach trojańskich, czyli tak zwanych trojanach czytałem ostatnio co nieco. To bardzo niebezpieczne wirusy. Tak są ukryte w normalnych programach, że użytkownik komputera nic o nich nie wie.

Dopiero po uruchomieniu zarażonego programu trojany się uaktywniają i wykonują swoje niszczyielskie zadania. Niedawno mojemu znajomemu koń trojański skasował wszystkie dane, a słyszałem, że może nawet sformatować twardy dysk.

- Ha, ha, ha - wyśmiał go Rufus. - Ten wirus wziął tylko swoją nazwę od słynnego drewnianego konia opisanego w „Iliadzie” Homera.

- Znowu się wymądrzasz - dociął mu zirytowany Kuba.

- Co to ma wspólnego z Truso? - dołączył się Bazyli.

- Już wyjaśniam - wyręczyłem w odpowiedzi Rufusa. - To porównanie jest naprawdę bardzo ciekawe, ponieważ sam Bałtyk często jest nazywany Morzem Śródziemnym północy, a Troi, podobnie jak Truso, poszukiwano przez wiele stuleci. Oba miasta znane były z przekazu literackiego, który zawierał wskazówki dotyczące lokalizacji. W końcu oba miasta odsłoniли archeolodzy i znaleźli w nich skarby.

- Skarby? - Bazyli omal nie zakrztusił się ciastkiem. - To jak to było z tą Troją?

- Homer - wyjaśniałem cierpliwie - w swoich eposach opisał zniszczenie przez wojska greckie Troi, bogatego miasta na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. Już w czasach starożytnych lokalizacja tego grodu wzbudzała kontrowersje. Wszyscy mniej więcej się zgadzali, że trzeba go szukać na równinie troadzkiej, ale nikt nie wiedział dokładnie, w którym miejscu.

Królowie, cesarze, historycy i inni wskazywali zupełnie różne miejsca. Analizowano opisy z

„Iliady” w nieskończoność, a niektórzy twierdzili nawet, że Troja nigdy nie istniała.

- Aż się pojawił Schliemann - wsparł mnie Rufus.

- Rzeczywiście, w 1870 roku, po prawie trzech tysiącach lat, bogaty niemiecki amator starożytności Heinrich Schliemann rozpoczął wykopy na jednym ze wzgórz i odkrył tam ruiny Troi.

Pomogła mu w tym wiara w dokładność przekazu Homera, którego dzieła traktował, jakby chodziło o najdokładniejszą mapę topograficzną.

- Czy ten Schliemann - spytał Kuba - był archeologiem?

- Raczej, jakbyśmy to dziś powiedzieli, eksplorерem. Gdyby istniały wtedy wykrywacze metali, Schliemann na pewno by ich użył. Nie liczył się z kosztami, a się zalecało mu na czasie, rozkopując odkryte przez siebie ruiny i nie prowadząc sumiennie dokumentacji, bezpowrotnie zniszczył wiele zabytków. Do dziś wielu archeologów wzdraga się na dźwięk jego nazwiska. Na korzyść Schliemanna przemawia jednak to, że wierzył w to, co robił, działał zdecydowanie i oczywiście to, że odkrył Troję.

- Dokonał tego, do czego od setek lat dążyli inni - skomentował Rufus. - Tak jak pan Jagoda.

15

- Dokładnie - potwierdziłem - choć nie wiem, czy pan Jagoda cieszyłby się z tego porównania. Ale wykopaliska, które prowadził Schliemann przyniosły zadziwiającą ilość znalezisk, czyli jak powie archeolog, stanowisko odznaczało się ogromną ilością depozytów archeologicznych. żeby was nie zanudzać, powiem, że znalazł aż szesnaście skarbów.

- Szesnaście skarbów? - krzyknęli ze zdziwienia chłopcy.

- Tak - zaśmiałem się w duchu, przypominając sobie, jak sam dzień wcześniej dałem się nabrać na hasło „skarby”.

- Skarbów w sensie archeologicznym - dodałem.

- Co to znaczy? - dopytywał się osiwiony nagle Kuba.

- Chodzi o schowki, w których nagromadzono jakąś ilość cennych rzeczy. Jeden z odnalezionych przez Schliemanna zyskał niezwykłą sławę. Był to tak zwany „skarby Priama” Cały świat obiegiło zdjęcie greckiej żony Schliemanna, pięknej Zofii, w złotej biżuterii sprzed ponad trzech tysięcy lat. Odkrycie to przysporzyło popularności temu zapaleńcowi i jego przedsięwzięciom.

- Co się stało z tym skarbem?

- Schliemann z żoną potajemnie wywieźli go z Turcji. Aż do roku 1939 spoczywał

bezpiecznie w muzeum berlińskim. Gdy wybuchła wojna, dzieła sztuki wywieziono na głęboką prowincję, aby je chronić przed bombardowaniami. Skarby Priama przechowywano w pewnym miasteczku w Szwabii. W roku 1947 okazało się, że zniknął bez śladu. Po wojnie różni entuzjaści poszukiwali go w całym świecie, tak jak poszukuje się Bursztynowej Komnaty.

- To może zamiast szukać skarbów Truso - zaproponował Kuba - pojedźmy szukać skarbu Priama.

Wszyscy zaczęliśmy się śmiać. W tej chwili przypomniałem sobie, że przecież zamiast opowiadać moim przyjaciółom o Troi i jej skarbach, miałem wprowadzić ich w sprawę kradzieży dirhemów. Spojrzałem na zegarek. Mogliśmy pozwolić sobie na krótką pogawędkę. Zapytałem chłopców, czy chcą się jeszcze czegoś napić. Gdy potwierdzili, wszedłem do baru, żeby kupić cztery napoje. Wdałem się w krótką rozmowę ze sprzedawczynią na temat pogody, gdy kątem oka przez szerokie okno dostrzegłem wjeżdżający na parking samochód.

Był to lśniący biały Lexus GS 300. Sportowy charakter tej limuzyny razem z przyciemnianymi szybami, stylową linią nadwozia i charakterystycznymi tylnymi reflektorami, które przypominają kocie oczy, wzbudził w jednej chwili zachwyt. Gdy pojawił się przed barem, wszyscy siedzący przy stolikach w milczeniu podziwiali to cacko. Lexus powoli podjechał w stronę wolnego miejsca na parking, które znajdowało się tuż obok naszego auta. Nagle jednak zatrzymał się na samym środku placu. Miałem nieodparte wrażenie, że kierowca zrobił to właśnie na widok wehikułu.

Natychmiast wybiegłem z baru i wzrokiem spotkaliśmy się z mężczyzną siedzącym za kierownicą. Trwało to tylko ułamek chwili, ale zatrzymałem w pamięci jego obraz. Był w szerokich przeciwsłonecznych okularach, więc nie dostrzegłem rysów twarzy. Zresztą od razu odwrócił głowę i zasunął boczną szybę. Nie zdążyłem się nawet zorientować, w jakim był wieku, gdy zniknął w ciemnym wnętrzu auta. Pomimo sygnalizowanego kierunkowskazem zamiaru zaparkowania, Lexus niespodziewanie wyrwał z miejsca i szybko włączył się do ruchu na „siódemce”. Próbowałem zapamiętać coś charakterystycznego w jego wyglądzie, jednak nic, poza zagraniczną rejestracją nie wpadło mi w oko. Zresztą i tak nie wiedziałem, z jakiego kraju pochodzi.

Miałem złe przeczucia. Czyżby ktoś znajomy? Ktoś, kto nie chciał się spotkać z Panem Samochodzikiem albo ze mną? Rozejrzałem się. Wszyscy, którzy w tej chwili przebywali w barze i stacji benzynowej wyszli na zewnątrz i stojąc jak słupy soli przypatrywali się odjeżdżającemu w stronę Gdańska Lexusowi.

16

- Czy coś się stało? - przerwał milczenie ubrany w białą koszulę i firmowy krawat kierownik stacji.

- Chyba nic nie ukradł - odpowiedział drżącym głosem pracownik placowy - nie podjechał nawet do dystrybutora.

- Musiał się czegoś wystraszyć - włączył się do rozmowy przedstawiciel handlowy.

- Kierownik podrapał się po czole.

- Ale czego?

- Myślę, że rozpoznał kogoś z nas - odpowiedziałem wskazując na gości baru. - Czy ktoś z państwa zna ten samochód lub jego kierowcę?

Obecni zaprzeczyli i głośno zaczęli dyskutować między sobą. Kierownik stacji benzynowej podniósł dłoń i wszystkich uciszył.

- Skoro nikomu nic nie zginęło - powiedział - nie będziemy angażować organów ścigania.

Wraz z moimi współpracownikami przeanalizujemy tylko zapis kamer wideo, spiszymy numer rejestracyjny tego samochodu i nieoficjalnie ostrzeżemy kolegów z placówek, które znajdują się wzdłuż drogi na Gdańsk. Nasze strony latem odwiedza mnóstwo gości z Niemiec i nie możemy zwracać uwagi na ich każde, dziwne dla nas zachowanie. A państwu serdecznie dziękuję za pomoc.

Obecni wrócili na miejsca, a kierownik zaczął się oddalać w stronę swego biura. Ale zatrzymał go głośny okrzyk jednego z kierowców zaparkowanej przed barem ciężarówki.

- Eto nie był Niemiec!

- Słucham? - kierownik zwrócił się w stronę Rosjanina.

- On nie był z Niemiec. On był Austriak.

- Alosza, otkuda ty eto znajesz? - wtrącił kierowca drugiego tira.

- Wot znaju - odpowiedział Alosza - Ja był w Austrii i prosto uznał, szto eti nomery austriackie, nie niemieckie.

- Rzeczywiście - wykrzyknąłem głośno, choć raczej do samego siebie - cienka czerwona obwódka wokół tablicy rejestracyjnej! Austria!

- Niemiec czy Austriak, co za różnica - machnięciem ręki uciął dyskusję kierownik i odszedł

do działu obsługi klienta, gdzie znajdował się monitor telewizji przemysłowej. Poszedłem szybko za nim.

- Czy mogę zapisać sobie numery tego lexusa? - zapytałem, gdy znalazłem się na miejscu. -

Myślę, że jego kierowca to ktoś, kogo dobrze znam. Ktoś, kogo spłoszył widok mojego charakterystycznego samochodu.

- Tego potworka? - zaśmiał się pan kierownik. - Oczywiście, proszę sobie wszystko zapisać. I kiedy pan go spotka, proszę mu dać porządny lekcję dobrych manier.

- Z pewnością nie omieszka - odpowiedziałem z grymasem zadowolenia na twarzy. - Zrobię to tak szybko, jak będę mógł.

Wybiegłem z biura jak błyskawica.

- Wsiadamy - krzyknąłem do Rufusa, Bazylego i Kuby.

Chłopcy posłusznie wskoczyli do wehikułu. Bez słowa wyjechaliśmy na drogę i szybko ruszyliśmy na północ w stronę Gdańska.

17

## ROZDZIAŁ TRZECI

**GONIMY LEXUSA • CZY KIEROWCA NOSIŁ OKULARY? • WIDOK NA ŚULAWY •**

**ARCHEOLODZY! • SHERLOCK CZY PSYCHOLOG? • JEZIORO DRUŚNO**

Na drodze było dosyć tłoczno, ale wiedziałem, że mogę liczyć na auto mego szefa. Tuż za Małdytami znaleźliśmy się na dość długim i prostym odcinku. Nie zważając na szyderstwa współuczestników ruchu, zacząłem wyprzedzać po kolei każdy pojazd, który oddzielał mnie od uciekającego lexusa. Wyrazy podziwu zastąpiły wcześniejsze kpiny, ale w tej chwili nie zwracałem na to uwagi. Po kilkunastu minutach z niepokojem pomyślałem, że mam problem z doścignięciem tajemniczego samochodu. Z tego, co pamiętałem, te niemal sportowe auta, wyposażone w 228 koni mechanicznych, mogą osiągać prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę. Co prawda nie musiałem się wstydzić naszego wehikułu, ale nie chciałem korzystać z jego całej mocy. Na drodze było zbyt tłoczno. W pierwszy dzień wakacji liczba niedzielnych kierowców na głównych drogach zawsze się gwałtownie zwiększa. Nie miałem ochoty ryzykować. Dlatego nieco zrezygnowany zwolniłem.

Z odrętwienia wyrwał mnie Kuba.

- Będzie musiał gdzieś zatankować - powiedział ni stąd ni zowąd.

- Jesteś genialny! - wykrzyknąłem. - Przecież nie udało mu się tego zrobić w Małdytach.

Pewnie chce teraz zwiększyć dystans, żeby gdzieś spokojnie uzupełnić stan paliwa.

- A jeśli tak pędzi - wtrącił Rufus - to zużywa tego paliwa o wiele więcej. Jeśli chciał zajechać na stację w Małdytach, to pewnie jechał na rezerwie.

- Niech pan nie rezygnuje - dodał Kuba.

Zachęcony tymi sugestiami przycisnąłem pedał gazu.

- A może chciał coś zjeść w barze - powiedział zupełnie innym tonem Bazyli.

Chłopcy spojrzeli na mnie.

- Znam lepsze restauracje po drodze - powiedziałem - zwłaszcza dla właścicieli takich luksusowych aut. Myślę, że jednak zajechał na stację w Małdytach, aby zatankować. Pewnie chce zdobyć kilka minut przewagi i zatrzyma się gdzieś w pobliżu Pasłęka, aby tam uzupełnić stan paliwa. Mamy duże szanse zdobyć trochę informacji o tym rajdowcu, a nawet, jeśli będziemy mieli szczęście, przyrzec się mu osobiście.



Bazyli spojrział na mnie z ukosa.

- Chce pan zająć na wszystkie parkingi i stacje benzynowe po drodze?

- Myślę, że nie będzie takiej potrzeby - powiedziałem. - Biały lexus z obcą rejestracją to nie maluch albo polonez, na którego nikt nie zwraca uwagi. Jeśli przstraszył się nas, a zakładam, że tak było, to skieruje się tylko do drugiego punktu. Tam zostanie obsłużony szybko i pojedzie dalej.

- Chyba że - dodał Rufus - przyczai się gdzieś przy drodze i poczeka, aś drogą przemknie nasz wehikuł.

- Dlatego - odparłem - ja będę patrzeć wprost przed siebie, wy natomiast przypatrujcie się uważnie wszystkim parkingom po obu stronach drogi.

- Tak na wszelki wypadek - podsumował Kuba.

Przez pewien czas chłopcy w milczeniu obserwowali pobocza drogi i liczne na tym odcinku przydrożne bary i wędzarnie ryb. Po chwili odezwałem się zmieniając temat:

- Może was zmartwi ta wiadomość, poszukiwacze skarbów, ale trojański skarb Priama odnalazł się po pięćdziesięciu latach od swojego zniknięcia. Był w Muzeum Puszkina w Leningradzie. Okazało się, że przez cały ten czas spoczywał w dobrych rękach. Już nie czeka na 18

odnalezienie. Myślę, że skarby Truso, które przyjechaliśmy chronić przed złodziejami, potrzebują was o wiele bardziej.

Jak się domyślałem, na stacji benzynowej w Pasłuku nie zastaliśmy białego lexusa. Ale była też dobra wiadomość, samochód tu był i odjechał pięć minut przed naszym przyjazdem. Kilka obecnych tam osób potwierdziło nasze obserwacje na temat wyglądu i możliwości technicznych auta. Dotarliśmy nawet do pracownika placowego, który obsługiwał dystrybutor i osobiście tankował poszukiwanego przez nas lexusa. Zapytaliśmy go o zachowanie kierowcy. Z relacji tego mężczyzny wynikało, że kierowca auta nigdzie się nie śpieszył i nie zachowywał się w żaden sposób nerwowo czy podejrzanie. Zrozumieliśmy, że nie jest świadomy naszego pościgu. Trochę się zawstydziłem przed chłopcami, że nie mogłem dogonić samochodu, który wcale przed nami nie uciekał. Ale pracownik stacji sam przyznał, że lexus miał wyjątkowe przyspieszenie i że wszędzie, gdzie się pojawił, wzbudzał zachwyty.

Zapytałem, jak wyglądał kierowca.

- To był młody człowiek, nie znał słowa po polsku.

Spojrzałem z niedowierzaniem.

- Młody?

- A tak. Z dwadzieścia pięć lat, wysoki blondyn.

- Czy nosił okulary?

- Nie.

Ale po chwili dodał:

- Nosił okulary, ale nie miał ich na nosie, tylko przewieszane na koszuli. Wie pan, takiej rozchełstanej, jak to kierowcy. Pewnie było mu gorąco.

- Czy to były ciemne okulary? - ciągnąłem.

Pokręcił głową.

- No nie, takie zwykłe, lecznicze.

Coś mi się nie zgadzało. Podeszedłem bliżej mojego informatora i zapytałem:

- A czy jechał z nim ktoś jeszcze?

- Nie, nie było żadnego pasażera.

- Na pewno był sam?

- Był sam - odpowiedział nerwowo - taki młody, blondyn, w zwykłych okularach, w rozchełstanej koszuli. W ogóle wyglądał na typowego Austriaka.

Spojrzałem na niego uważnie.

- Skąd pan wie, że to Austriak.

- No przecież mówiłem, nie znał polskiego - broda mojego rozmówcy zaczęła drżeć jak galareta. - Przepraszam, ale muszę wracać do swoich obowiązków.

Postanowiłem go dłużej nie męczyć.

- Dziękuję panu za te informacje.

Pracownik odwrócił się i odszedł do drugiego dystrybutora. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, z sumiastymi włosami, ubrany w niebieski, nieco poplamiony kombinezon. Nosił

mocne, porysowane ze starości okulary. Energicznie ścisnął gumę. Rozmowa ze mną musiała go z jakiegoś powodu zdenerwować. Z drugiej strony podał nam ważne informacje na temat mężczyzny, który wzbudził moje podejrzenia. Pomimo wcześniejszego podziękowania, postanowiłem zadać mu jeszcze jedno pytanie.

- Chciałbym się upewnić...

- Tak?

- Czy na pewno nosił okulary na rozchełstanej koszuli?

Machnął energicznie ręką.

- JuŜ przeciwieŜ mówiłem. Czy pan jest z dochodzeniówki albo z jakiejś gazety?

- Nazywam się Paweł Daniec - odpowiedziałem urzędowo. - Jestem pracownikiem Ministerstwa Kultury i zadaję te pytania w związku z kradzieŜą pewnych zabytków. Pana odpowiedzi mogą bardzo nam pomóc.

- Co wiedziałem, to powiedziałem. W zasadzie nie wolno mi z panem rozmawiać o innych klientach naszej stacji. Jeśli chce pan coś kupić, mogę panu słuŜyć. Jeśli nie, to do widzenia.

- Do widzenia.

Wsiadłem do wehikułu i ruszyliśmy dalej. W lusterku wstecznym widziałem, Őe męŜczyzna przez cały czas patrzy w naszą stronę.

- Nie wierzę ani jednemu słowu, które powiedział - stwierdziłem. - Kłamie, bo jest w zмовie z kierowcą lexusa albo został przekupiony.

- Dlaczego pan tak myśli? - spytali chłopcy.

- Z trzech powodów. Po pierwsze, gdy człowiek ten opisywał wygląd kierowcy lexusa, zupełnie stracił naturalność. Mówił bez przekonania, tak, jak gdyby nauczył się na pamięć jakiegoś wierszyka. Recytował wręcz: młody człowiek, wysoki, blondyn, nigdzie się nie śpieszył i tym podobne.

- Ja teŜ to zauwaŜyłem - potwierdził Rufus - brzmiało to bardzo sztucznie.

- A przy tym bardzo się denerwował kaŜdym pana pytaniem - dodał Kuba.

- Fakt - pokiwał głową Bazyli.

- Po drugie - ciągnąłem - skąd ten człowiek mógł wiedzieć, Őe przybysz był właśnie Austriakiem? Jeśli naprawdę mówił po niemiecku, pierwszym skojarzeniem kaŜdego naszego rodaka byłoby: jest Niemcem. Ja sam nie dostrzegłem na tablicy rejestracyjnej Őadnego oznaczenia państwa, chociaŜ wzrok mam dobry. Dopiero poczciwy Alosza, który mieszkał w Austrii...

- A po trzecie? - niecierpliwił się Kuba.

- Po trzecie, kierowca lexusa na pewno nie nosił leczniczych okularów przewieszonych na rozchełstanej koszuli.

- A to czemu? - zdziwili się chłopcy.

- Bo wszyscy widzieliśmy go w okularach przeciwsłonecznych.

- Racja! - przytaknęli.

- Poza tym, dlaczego właściwie jego koszula miałaby być rozchełstana?

- Bo jest gorąco - odpowiedział spontanicznie Kuba.

- Rzeczywiście, wyjątkowo upalne lato. Jest gorąco nam, jest gorąco pracownikowi stacji, ale kierowcy naszego lexusa na pewno nie!

- Myśli pan, że miał klimatyzację? - zgadywał Rufus.

- Jestem tego pewien.

Rufus spojrzał z niedowierzaniem.

- Na jakiej podstawie?

- Po pierwsze, bo te samochody zawsze mają klimatyzację, a nawet osobny układ klimatyzacyjny dla kierowcy i pasażera. I to w standardzie.

Rufus kiwnął twierdząco głową.

- Na pewno, a po drugie?

- Po drugie i po trzecie od razu: w Małdytach widzieliśmy go z zasuniętymi szybami, gdy przyjechał na stację. Przez chwilę wyglądał przez otwarte okno, jak myślę, żeby się nam przyjrzeć.

Ale gdy odjechał, samochód był szczelnie zamknięty. Co więcej, wewnątrz, za ciemnymi szybami

tego wozu, kryła się pasażerka, z pewnością młoda, piękna kobieta. A młode, piękne kobiety nie lubią jeździć przegrzаныmi puszkami bez klimatyzacji.

- Teraz to pan przesadził - zaprotestował Rufus. - Ta młoda, piękna kobieta istnieje tylko w pana wyobraźni.

- Po pierwsze...

- I po drugie i po trzecie od razu - wtrącił szybko Kuba.

- Po drugie i po trzecie, pracownik stacji nie mógł nic dostrzec przez zaciemnione szyby wnętrza lexusa, podobnie jak my przez nie nic nie widzieliśmy. Jednak ten miły, choć nieco nerwowy człowiek powiedział nam, że w środku nie było żadnego pasażera. Ponieważ zakładam, że we wszystkim skłamał, każde jego zapewnienie muszę traktować jako zaprzeczenie.

- To ciekawa metoda dedukcji - ironizował Kuba.

- Kierowca nie był sam - mówiłem coraz szybciej. - PasaŜerka musiała albo wyjść z auta, albo w inny sposób dać o sobie znać. Mogła na przykład odezwać się przez otwarte boczne okno. W

kaŜdym razie musiała być zauwaŜona przez obsługę stacji benzynowej. Nasz podejrzany rajdowiec z pewnością słono zapłacił, Ŝeby ten pracownik wprowadził nas w błąd. Poza tym...

- To po czwarte? - podsmiewał się Kuba.

- Po czwarte, myślę, Ŝe wiem, kim jest kierowca białego lexusa!

- A niech to - Kuba zawołał na cały głoŝ. - Naprawdę?

- Tak. Myślę, Ŝe to mój stary znajomy.

Chłopcy na moment zamilkli. Nie miałem jednak zamiaru zdradzać im teraz wszystkich swoich wniosków. Powiedziałem tylko:

- On zawsze wozi młode, piękne kobiety.

Jechaliśmy „siódemką” w stronę Elbląga, gdzie miałem umówione spotkanie z archeologiem Markiem Jagodą. PoniewaŜ dyskusja na stacji benzynowej zajęła nam sporo czasu, zarzuciliśmy pościg za lexusem i jego tajemniczym kierowcą. Wykorzystałem czas i w końcu opowiedziałem Kubie, Rufusowi i Bazylemu historię kradzieŜy monet z Truso i przedstawiłem im wszystkie kwestie, które się w związku z tym wyłoniły. Wspólnie zaczęliśmy analizować moŜliwe scenariusze naszego pobytu w okolicach Elbląga i zastanawiać się nad swoją rolą w rozwiązaniu zagadki.

Kilka kilometrów za Pasłękiem, w miejscowości Bogaczewo, wjechaliśmy na nowoczesny wiadukt, który umoŜliwia bezkolizyjny przejazd nad biegnącą tamtędy linią kolejową. Oprócz praktycznego zastosowania, konstrukcja ta stanowi swoisty punkt widokowy, który w ciągu kilku chwil wprowadza podróżujących „siódemką” w klimat i atmosferę ŝuław Wiślanych. I tak, po lewej stronie drogi niespodziewanie ukazała się naszym oczom płaska jak stoł równina, którą przecinały niezliczone rowy, kanały, kanaliki i inne ciekły wodne, zbyt małe, aby je nazwać rzekami, a jednocześnie za bardzo przez człowieka ucywilizowane, aby je nazwać strumieniami.

Słynne z urodzajnych gleb, zwanych madami, i połoŜenia poniŜej poziomu morza, ŝuławy stanowią pamiątkę po zatoce, która pokrywała ten region na długo przed przybyciem człowieka. Jej pozostałością jest byc moŜe jezioro DruŜno, najniŜej połoŜone w Polsce, które w miarę upływu stuleci stopniowo zmniejszało swoją powierzchnię na korzyść stałego lądu. To płytkie, zarastające jezioro, którego powierzchnia liczy prawie 1300 hektarów, stanowi równieŜ chronioną ostoję ptactwa wodnego i błotnego.

Równina Ŝuławska powstała, jak twierdzą uczeni, w wyniku nanoszenia w te okolice mułu rzecznoego przez odnogi Wisły, która tworzy deltę i jednym swoim ramieniem wpada wprost do Zatoki Gdańskiej, a drugim, Nogatem, do Zalewu Wiślanego. Wschodnią granicą tego pięknego obszaru jest właŝnie jezioro DruŜno oraz przepływająca przez jezioro rzeka, która równieŜ znajduje 21

swoje ujście w Zalewie. Rzeka ta nosi dwie nazwy. Zanim jako wąska struga wpłynie do jeziora, nazywa się Dzierżgoń, a gdy już je opuszcza, nosi miano Elbląg, podobnie jak miasto, które mija po drodze.

Po drugiej stronie drogi zobaczyliśmy, doskonale z wiaduktu widoczną zalesioną i usianą licznymi wzniesieniami Wysoczyznę Elbląską. Stanowi ona zupełny kontrast dla płaskich i podmokłych łąk. Ale właśnie dzięki temu, u zbiegu tych dwu krańcowo różnych formacji geologicznych, powstać mógł tak prężny ośrodek handlu, jakim było we wczesnym średniowieczu Truso.

- Zbliżamy się do celu naszej wyprawy - powiedziałem do chłopców. - Za kilka chwil będziemy mijać jezioro Druśno.

- Jezioro? - zważył Bazyl, który przez ostatnie minuty porównywał mijane atrakcje z mapą turystyczną „Okolice Elbląga” w skali 1:125 000.

- Tak - odrzekłem - to właśnie tutaj elbląscy archeolodzy odnaleźli pozostałości osady, którą utożsamia się z Truso.

- Przecież mówił pan, że Truso było osadą portową do której przyływały statki z całego świata.

- To prawda - powiedziałem - ale od tamtego czasu sporo się tu zmieniło. Myślę, że pan Marek Jagoda chętnie opowie wam o tych zmianach.

Chłopcy uważnie przypatrywali się nizinie, ciekawi terenów, o których uczyli się w szkole.

Gdy minęliśmy sporą wieś Komorowo łąkowskie, Bazyl oderwał nos od mapy i oznajmił:

- Uwaga, następna miejscowość to Janów Pomorski!

Zwolniłem, a moi towarzysze wstrzymali oddechy. Zbliżając się do budynków gospodarczych dawnego PGR-u w Janowie, pomyślałem o setkach kierowców i tysiącach pasażerów, którzy dzisiaj, w pierwszy dzień wakacji, nieświadomie mijali tę miejscowość. Być może byliśmy jedynymi, na których przejazd przez to legendarne miejsce robił jakiegokolwiek wrażenie.

Niespodziewanie Kuba wrzasnął:

- Patrzcie! Archeolodzy!

- Gdzie? - odezwali się Rufus z Bazyliem.

- W stronę jeziora, po drugiej stronie torów - odpowiedział i wskazał oddalone o sto pięćdziesiąt metrów niewielkie pole, na którym stały cztery namioty i pracowało kilka osób.

- Bardzo możliwe - powiedziałem.

- Czy nie moglibyśmy od razu tam pojechać? - zasugerował Kuba.

Zaprotestowałem.

- Spieszmy się przeciwieś na rozmowę.

- A mośe - wtrącił Rufus - mógłby pan nas zostawić z archeologami, a pojechał na spotkanie sam. Moglibyśmy troszkę pomyszkować po ich obozowisku, nieco się im przyjrzeć i mośe nawet opracować typy psychologiczne wszystkich podejrzanych. Kiedyś czytałem, że złodzieje zazwyczaj mają osobowość introwertyczną ze skłonnościami maniakałnymi. Gdy wróci pan z rozmowy, posiadając szeroką wiedzę teoretyczną, będę na pana czekał z gotowymi rysopisami osobowościowymi.

- Jak to zrobisz - odparował mu Kuba - będziesz im zadawał te swoje zagadki?

- A co proponujesz, Sherlocku - powiedział Rufus głosem zabarwionym ironią - przeszukać namioty?

Kuba nie dał się zbić z tropu.

- Czemu nie? Na wszelki wypadek mośemy teś przeszukać ich osobiste bagaśe. Ty, Rufus, odciągniesz ich uwagę swoimi przemądrzałymi zagadkami matematycznymi, a ja i Bazyli 22

posługując się finkami wejdziemy do namiotów i zrobimy im rentgena w plecakach. W tym czasie pan Paweł razem z tym panem Jagódką...

- Jagodą - wtrąciłem.

- ...z panem Jagodą wezwą policję, która na sygnale wjedzie na teren wykopalisk i otoczy z wszystkich stron złodzieja. A kto im wskaśe złodzieja? Otóś nie pan matematyk i psycholog w jednej osobie, ale ja, nieco szalony, lecz zdolny detektyw, godny następcy Pana Samochodzika.

Wtrąciłem się w tę dysputę, powstrzymując śmiech.

- O nie. Gdybyśmy się tam teraz pojawili, nasz plan spaliłby na panewce.

- Plan? - spytał Kuba.

- Co pan zaplanował? - przyłączył się do pytania Rufus.

- Od razu - wyjaśniłem - gdy tylko od pana Jagody dowiemy się wszystkiego o wykopaliskach, rozbijemy swój obóz gdzieś w okolicy, mośe nad brzegiem jeziora. Najwcześniej jutro rano poszukamy sposobu, śeby dostać się na stanowisko i bez wzbudzania podejrzeń przyjrzeć się ekipie. Obawiam się, że nośe fińskie będziemy musieli zostawić w swoich bagaśach. Natomiast jeśli chodzi o zagadki Rufusa, to kto wie...

Zaśmiałem się głośno, a po chwili dołączyli do mnie chłopcy.

Jak oczekiwaliśmy, po lewej stronie drogi, ukazała się nam tafla jeziora Druśno. W lustrze wody odbijało się błękitne niebo, rozświetlone obficie południowym słońcem. Teren pomiędzy szosą a

nabrzeŝem zajmowały zielone łąki, tak podmokłe, Ŝe w wielu miejscach trudno było znaleźć granicę między suchym łądem a wodą. Natomiast drogę do jeziora wyznaczały rosnące szeregiem wierzby, a ono samo było otoczone pierścieniem tataraku i kępami zielonej trzciny. Niektóre z okolicznych domów były ozdobione bocianimi gniazdami, a wysoko w górze dostrzegliŝmy kilka szybujących kormoranów i perkozów. Na wodzie sunęły sznurem łabędzie oraz pływało kilka łódek wędkarskich. Daleko na zachód rozciągała się płaska równina ŝuław, która razem z jeziorem tworzyła przepiękną niebieskawozieloną otwartą przestrzeń. Chłopcy patrzyli z zachwytem na ten widok, malowniczy jak obrazy mistrzów niderlandzkich, dopóki nie znikł nam z oczu.

23

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

**MNICH W TWEEDOWEJ MARYNARCE • HUMORY PANI KASI • POCZERNIAŁY**

**DIRHEM • CZERWONE PUNKTY NA PLANIE • SPROWADŹMY PANA TOMASZA •**



# PLAN B

Po dziesięciu minutach byliśmy na parkingu restauracji „Nowa Holandia” przy obwodnicy elbląskiej. Zatrzymaliśmy samochód przed tą drewnianą, krytą strzechą budowlą z podcieniami, zbudowaną współcześnie na wzór dawnej Śuławskiej karczmy. Weszliśmy do jej niewysokiego, stylowego wnętrza, które wypełniał wielojęzyczny gwar wymieszany ze skwierczeniem gotowanych na oczach gości potraw. Rozejrzałem się w poszukiwaniu archeologa. Większość stolików była zajęta. Siedzieli przy nich przede wszystkim kierowcy ciężarów, czyli klienci pokroju Aloszy, który wiedział, czym się różni Austriak od Niemca, choć jego samego trudno byłoby odróżnić od innych kierowców ubranych w takie same granatowe dresy i mówiących takim jak on językiem. Pod ścianą sączył czarną kawę opiekun jakiejś wycieczki szkolnej, która poszła obejrzeć znajdujące się za restauracją miniaturowe zoo. Kilku innych gości zajadało się sznycłami z jajkiem sadzonym i frytkami oraz innymi potrawami, jakie serwowała obsługa.

Na tym tle, niczym przeniesiony w nasze czasy z innej epoki, siedział pod oknem przy małym, drewnianym stoliku siwiejący, szczupły pan w średnim wieku. Był ubrany w staroświecki tweedowy garnitur i co chwila poprawiał na nosie druciane okulary. Skubiąc starannie wystrzyżoną, szpakowatą brodę, w skupieniu próbował coś wyczytać z rozłożonego przed nim dużego arkusza papieru. Na rogu stolika stała na spodku gruba szklanka napełniona mocną herbatą, którą zaczytany mężczyzna raz po raz łykał bez odrywania wzroku od tego, jak się domyślałem, planu. Pomyślałem, że gdyby ubrać go w lniany habit z kapturem, tylko okulary i ta mocna herbata odróżniałyby go od średniowiecznego mnicha, pochylonego nad jakimś zagadkowym pergaminem. Nie miałem wątpliwości, że był to Marek Jagoda, człowiek, który odnalazł poszukiwane przez setki lat Truso.

Jednakże w całej tej niezwyklej scenie przykuło moją uwagę zupełnie coś innego, a właściwie ktoś inny.

Naprzeciw naukowca siedziała zapatrzona w okno młoda kobieta, którą oczekiwanie na nas najwyraźniej nudziło o wiele bardziej niż pana Jagodę. Jej proste, długie blond włosy opadały na dżinsową koszulę w kolorze khaki. Tego samego koloru spodnie-bojówki i zamszowe, sznurowane buty traperskie mówiły więcej o tej dziewczynie niż jej nieskazitelna uroda. Kapelusz z szerokim rondem, który zajmował jedyne wolne jeszcze miejsce przy stoliku, i skórzana torba ozdobiona niemodnymi indiańskimi frędzelkami, podpowiadały, że towarzyszka pana Jagody należy do jego archeologicznej ekipy, a może nawet przyjechała tu wprost z wykopalisk.

- Dzień dobry - podszedłem pierwszy, pozostawiając moich przyjaciół w tyle. - Jestem Paweł

Daniec, przysłał mnie tu pan Tomasz, a to moi pomocnicy...

- To pan! - przerwał mi uczyony, który niespodziewanie się oświwił - Tomasz wspominał mi o panu. Już myślałem, że pan nie przyjedzie. Słyszałem dużo o panu od Tomasza. Ale niechże pan w końcu siada.

Wskazał ręką na krzesło zajmowane przez kapelusz.

- Ale może pani... - nieśmiało zwróciłem się do młodej damy. - Nie wiem, czy mogę...

Dziewczyna bez słowa spojrzała na mnie i z pełnym godności wyrazem twarzy zmierzyła mnie wzrokiem od stóp aż po czubek głowy. Zmieszany, nie byłem w stanie powiedzieć ani słowa.

Na szczęście Jagoda przerwał milczenie.

- Aleś proszę się nie krępować, panie Pawle!

24

Szybkim ruchem ściągnął kapelusz z krzesła i ciągnąc za rękę usadził mnie obok milczącej przez cały czas dziewczyny. Speszeni chłopcy usiedli przy sąsiednim stoliku.

- Proszę mi pozwolić, panie Pawle - mówił dalej - Œe przedstawię panu moją asystentkę. Oto pani magister Katarzyna Haase z Uniwersytetu Gdańskiego, która już drugi sezon pomaga mi w wykopaliskach.

Odruchowo wstałem i wyciągnąłem w kierunku pani Kasi dłoń, ale ona tylko skinęła lekko głową, nie odrywając wzroku od okna.

- Niech pani nie będzie niegrzeczna - powiedział Jagoda - przecieś pan Paweł przyjechał, Œeby pomóc nam rozwiązać nasz problem. To świetny fachowiec polecony przez samego pana Tomasza.

- To prawda - powiedziałem zachęcony. - Udało mi się rozwiązać kilka zagadek.

Pani Kasia spojrzała w moją stronę.

- Jak widzę - odezwała się - potrzebuje pan ciągle rekomendacji swojego wielkiego poprzednika. Czy Pan Samochodzik załączył teś jakieś referencje dotyczące pańskiej skromności?

- Pani Kasiu! - uciszył ją Jagoda - Jak tak mośna przy gościu!

- A dlaczego nie? - odpowiedziała zadziornie. - Skoro słynny pan Tomasz, niezrównany detektyw i bohaterски wybawca skarbów naszej kultury, nie ma czasu dla nas i dla najwspanialszego odkrycia archeologicznego w kraju, bo woli siedzieć z wędką i oddawać się nierównej walce z jakimiś tam dorszami...

- Sandaczami - wtrąciłem cichutko.

- ... i zamiast sam przyjechać, przysyła jakiegoś faceta z trzema dzieciakami, Œeby zapchać dziury kadrowe i na koniec roku wypełnić sprawozdanie z wykonanego planu, to ja nie chcę mieć nic wspólnego ani z tym panem, ani z jego pomysłami. Dziękujemy panu za fatygę, mośe pan wracać do domu.

- Aleś pani Kasiu - Jagoda aż wstał z miejsca - tak nie wolno. Panie Pawle, niechśe pan nam wybaczy. Pani Kasia nie jest dziś w humorze.

- Jestem w wyśmienitym humorze - powiedziała z ostentacyjną ironią. - Od dzieciństwa słyszałam o

wyczynach Pana Samochodziku i zawsze marzyłam, Œeby go poznać. A teraz, gdy naprawdę mogło się to zdarzyć, mam przeprosić tego pana za to, Œe nie jest panem Tomaszem?

Prędeż mi tu kaktus wyroŒnie!

- Proszę jeszcze raz o wybaczenie - tłumaczył się pan Jagoda to wstając, to siadając. -

RzeczywiŒcie moja asystentka jest miłośniczką przygód Pana Samochodziku, o których zresztą sam jej nieraz opowiadałem. Kiedy zauwaŒyliŒmy, Œe z naszego stanowiska zaczęły znikać w tajemniczych okolicznościach srebrne monety, pani Kasia nalegała na mnie, abym uruchomił

wszystkie znajomości, Œeby tylko na stanowisko przyjechał pan Tomasz. Mówiła, Œe tylko on moŒe zdemaskować złodzieja.

- On i tylko on - wtrąciła uszczypliwie Kasia.

- Niestety - ciągnął Jagoda - Tomasz zadzwonił dziś rano do mnie, Œe nie przyjedzie, bo...

- Bo woli leŒeć do góry brzuchem - dokończyła za niego asystentka.

- Bo ma inne obowiązki - powiedział do mnie Jagoda, jak gdyby nic nie słyŒał. - Ale wysyła pana, czyli swojego najbliŒszego współpracownika.

- To prawda - odwaŒyłem się zabrać głos - pan Tomasz jest teraz zajęty, ale zna dobrze sprawę, która mnie do państwa sprowadziła. JesteŒmy w kontakcie telefonicznym.

- To Œwietnie - ucieszył się Jagoda. - MoŒe do nas dołączy.

- Jestem o tym przekonany - powiedziałem, mając nadzieję, Œe ten blef złagodzi niekorzystne wraŒenie, jakie, nie tylko na mnie, zrobił swoją wygodnicką postawą mój szef.

25

Na twarzy pani archeolog niespodziewanie pojawił się przelotny uŒmiech.

- Trzymam pana za słowo - powiedziała. - Jeśli nie poznam pana Tomasza w najbliŒszych dniach, równie dobrze moŒe pan się nie pokazywać mi na oczy juŒ dziś.

- Ja teŒ jestem za sprowadzeniem tu Pana Samochodzika - powiedział z entuzjazmem w głosie Jagoda. - Łączą nas z Tomaszem wspomnienia...

- Tak więc - powiedziałem rzeczowo, aby przerwać niewygodny temat - ktoś kradnie monety z muzeum oraz z miejsca wykopalisk. Czy dobrze zrozumiałem?

- Nie tylko - powiedział Jagoda, a jego twarz pochmurniała.

- Czy ginie coŒ jeszcze? - spytałem. - JakieŒ srebrne zapinki albo ozdoby z bursztynu?

- Pudło, panie genialny! - odezwała się Kasia.

- Giną tylko dirhemy, takie jak ten - Jagoda przez chwilę przeszukiwał zakamarki swojego garnituru, aŜ w końcu wyjął z kieszeni marynarki nieduŜą poczerniałą monetę.

- Jest piękny, nieprawdaŜ? - zachwycił się podając mi ją.

- Rzeczywiście - potwierdziłem raczej z grzeczności.

Przyjrzałem się dirhemowi. Był niewielki, miał jakieś trzy centymetry średnicy, a jego waga nie przekraczała pięciu gramów. Na awersie i rewersie widniały arabskie napisy, większe w centralnej części. Nie zawierał Ŝadnych wizerunków ani symboli. Szczerze mówiąc, w porównaniu z follisami bizantyjskimi czy nawet denarami rzymskimi, wyglądał bardzo skromnie.

- Jak mam rozumieć, Ŝe giną nie tylko dirhemy?

- Owszem - powiedział Jagoda - giną tylko takie srebrne, arabskie monety, których zresztą trochę znaleźliśmy. Jak pan wie, była próba włamania do Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu, gdzie przechowujemy ich ponad dwieście, w tym niezwykle dla nas cenny skarb szesnastu dirhemów.

- Na szczęście próba nieudana - potwierdziłem.

- To prawda. Wie pan równieŜ, Ŝe odkąd rozpoczęliśmy w tym sezonie prace w Janowie, skradziono 35 monet, które wcześniej skatalogowałem na miejscu wykopalisk, ale które nie dotarły do muzeum.

- Ktoś musiał je zabrać tuŜ przed wywiezieniem do Elbląga.

- Genialnie, panie detektywie - skomentowała ironicznie Kasia.

- Niestety, na tym się nie skończyło. Odkąd zacząłem zamykać znalezione dirhemy w kasetce, którą trzymam w swoim samochodzie, złodziej zmienił taktykę.

Były to dla mnie zupełnie nowe informacje, nadstawiłem więc czujniej ucha.

- Co pan ma na myśli? - zapytałem.

- Pomijam hipotezę, Ŝe złodziejem jest ktoś z mojej ekipy i chowa sobie znalezione pieniądze do kieszeni, a potem wynosi je poza obóz. Nigdy nie szukałem niczego w osobistych rzeczach pracowników ekspedycji i robić tego nie będę. Zresztą na stanowisku pracuje zazwyczaj kilka osób naraz, więc kradzieŜ bezpośrednio spod łopaty, Ŝe się tak wyrażę, jest mało prawdopodobna i wielce dla złodzieja ryzykowna. Poza tym mam niezawodną asystentkę, która jest ciągle obecna na stanowisku i jako jedyna z całej ekipy wie kradzieŜach. Pani Kasia obserwuje zachowanie wszystkich pracowników ściśle ze mną współpracuje w poszukiwaniu sprawy.

Spojrzałem w stronę Kasi. Na jej pięknej, choć zimnej twarzy dostrzegłem delikatny uśmiech.

Taki sam, jak wtedy, gdy mówiliśmy o przyjeździe pana Tomasza.

- Skoro monety są tak zabezpieczone - ciągnąłem - w jaki sposób znikają z miejsca wykopalisk?

- Otóż to, panie Pawle. Nie tylko z miejsca wykopalisk!

- To znaczy skąd?

26

- Stąd!

Jagoda wziął w ręce arkusz papieru, który leżał przed nim na stoliku i obrócił go w moją stronę. Był to rzeczywiście plan. Bez trudu rozróżniłem na nim zarys linii brzegowej jeziora Drużno, tory kolejowe i szosę oraz zabudowania wiejskie w Janowie Pomorskim. Na południe od zabudowań, pomiędzy linią torów kolejowych a jeziorem znajdował się zakreskowany kilkucentymetrowy obszar.

- Czy to jest teren wykopalisk? - spytałem wskazując na to miejsce.

- Gratuluję - powiedziała Kasia, jakby nieco milej.

- Rzeczywiście - pan Jagoda znów się oświwił. - To jest teren, który do tej pory zbadaliśmy.

Przy takiej liczbie osób, jaką dysponujemy, rocznie jesteśmy w stanie odsłonić zaledwie kilka, może kilkanaście metrów kwadratowych stanowiska. Zaczęliśmy od terenów, które były najbardziej zniszczone przez głęboką orkę. Na szczęście okazały się bardzo bogate w znaleziska i zdołaliśmy je uratować. Ale teren, na którym rozciągało się Truso jest dużo większy. Zajmuje obszar ponad 20

hektarów. Oczywiście sami nie jesteśmy w stanie upilnować go całego.

- Powoli zaczynam rozumieć.

- Oto nie dalej niż wczoraj - ciągnął uczony - postanowiliśmy z panią Kasią zrobić rekonesans i zobaczyć, w jakim stanie znajdują się te tereny. Chodziło nam o sprawdzenie, czy nie ma zniszczonych miejsc, w których potrzebna jest szybka interwencja archeologów. Jak pan doskonale wie, zabytki archeologiczne są pod ochroną prawną i niszczenie ich jest przestępstwem, tak samo jak niszczenie, dajmy na to, obrazów w muzeum.

- To prawda - potwierdziłem.

- Wiadomo, że wszelkiej maści rabusie od dawien dawna przeszkadzają archeologom w ich pracy. Bezpowrotnie niszczą materiał wielkiej wagi historycznej, na przykład grobowiec, żeby ukraść stamtąd jakiś mało wartościowy przedmiot, na przykład bransoletę lub naszyjnik.

- Niektóre naszyjniki są bardzo cenne - celnie wtrąciła pani Kasia.

- Chodzi mi o wartość historyczną przedmiotu - wyjaśnił - której nie da się ustalić bez znajomości

kontekstu archeologicznego. Podobnie jest z tym dirhemem.

Spojrzałem na monetę - arabskiego dirhema z IX wieku, który teraz spoczywał w mojej dłoni.

Rzeczywiście sam w sobie nie mówił nic o ludziach, którzy go przywieźli, ani o towarze, za który nim zapłacili. Gdybym nie znał pochodzenia tej monety, mógłbym go potraktować jak bezwartościowy, zupełnie niemy kawałek srebrnego złomu. Za kilka gramów kruszcu u współczesnego jubilera pewnie nie dostałbym więcej niż pięćdziesiąt groszy. Archeolodzy jednak patrzyli na tę sprawę zupełnie inaczej. Podałem więc monetę Kasi, która schowała ją do kieszeni swoich spodni-bojówek. Po kolejnym łyku herbaty Jagoda kontynuował swój wywód.

- Archeologa o wiele bardziej interesuje, w którym miejscu zabytek został znaleziony, w jakiej warstwie lub w powiązaniu z jakimi innymi przedmiotami, niż to, ile kosztuje na rynku antykwarycznym. Potrzebujemy wiedzy, którą przynosi odkrycie, a nie samego znaleziska. Jeśli zdobędziemy tę wiedzę, oddajemy wisiołek, zapinkę albo monetę do muzeum, gdzie trafia do gabloty, aby ją mogły oglądać wycieczki szkolne.

- I to, jeśli będzie miała szczęście - dodałem. - Ale co z tym rekonesansem?

- Otóż to, panie Pawle! Proszę spojrzeć.

Wskazał palcem kilkanaście zaznaczonych na planie czerwonych punktów, które były porozrzucane na całym terenie stanowiska, z wyjątkiem zakreskowanego pola. Domyśliłem się, że Jagoda ze swoją asystentką musieli znaleźć coś niepokojącego na niezbadanych przez archeologów łakach, gdzie tysiąc lat temu rozciągało się Truso.

- Co oznaczają te punkty? - spytałem.

27

- To dziury - Kasia wyprzedziła odpowiedź swojego szefa.

- Co?

- Dziury - powtórzyła. - Dziury w ziemi.

- W ciągu ostatnich kilku nocy - wyjaśnił Jagoda - ktoś zrobił na całym obszarze Truso dziesiątki otworów w ziemi. Nie są duże, największy ma pół metra średnicy i metr głębokości.

Akurat tyle, żeby znaleźć jedną lub kilka monet.

- Skąd złodziej wiedział, gdzie kopać?

- Są sposoby, żeby precyzyjnie namierzyć nawet kilkogramowy kawałek metalu zakopany pół metra w ziemi. Wystarczy być odpowiednio zamożnym.

- Ma pan na myśli wykrywacz metali?

Jagoda wzdrygnął się na dźwięk tego słowa.

- Wykrywacz metali! - krzyknął tak głośno, że w restauracji zamilkł gwar. - Przecież to coś najgorszego na świecie! Wszędzie pełno teraz tych eksploratorów ze swoimi wynalazkami, którzy chodzą po polach i niszczą materiał archeologiczny. Ohyda!

Uśmiechnąłem się w duchu. Znałem wielu odkrywców, którzy dzięki detektorom metali uratowali bezcenne zabytki przed zniszczeniem albo właśnie przed kradzieżą. Rzeczywiście jednak urządzenia te, często najwyższej klasy, więc najdroższe, służyły w złych celach ludziom, którzy nie są ani odkrywcami, ani archeologami, a po prostu zwykłymi złodziejami.

- Liczymy na pana pomoc - zakończył Jagoda i zwinął rulon z planem.

- To bardzo utrudnia sprawę - powiedziałem. - Nie mogę sam, nawet ze swoimi pomocnikami, pilnować dwudziestu hektarów łąk przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Właśnie dlatego poprosiliśmy o pomoc Pana Samochodzika - powiedziała Kasia - który potrafiłby znaleźć złodzieja nawet na stu dwudziestu hektarach. Skoro pan sobie nie poradzi, nie będziemy pana zatrzymywać.

- Pani Kasiu - odważnie odparłem - źle mnie pani zrozumiała. Nie powiedziałem, że nie znajdziemy złodzieja. Jak jednak widać, jest to człowiek przebiegły, dobrze wyposażony i pewnie doświadczony. Na razie jest tu przed nami, ale do czasu. Na pewno zrobi kiedyś fałszywy krok, który go zdemaskuje. Zwłaszcza że do tej pory nie zdaje sobie sprawy, ile o nim wiemy. Nie wie też, kto go będzie szukał.

- Znowu mówi pan o sobie? - zapytała zaczepnie.

Pokręciłem głową.

- Tym razem mówię o nas wszystkich oraz o moich bystrych przyjaciółach. Musimy zacząć działać natychmiast.

- To mi się podoba - zawołał z entuzjazmem Jagoda. - Jaki ma pan plan?

- Pierwsza zasada - powiedziałem - nikt z ekipy nie może wiedzieć, w jakim celu tu przyjechaliśmy.

- To oczywiste - Jagoda poklepał mnie po ramieniu, a jego asystentka kiwnęła głową.

- A oto mój plan - mówiłem dalej. - Pan Jagoda i pani, droga pani Kasiu, dalej pracujcie na stanowisku, ale pilnie obserwujcie zachowanie każdej osoby z waszej ekipy oraz wszystkich, którzy się kręcą po okolicy. Tymczasem ja z chłopcami rozbiję obóz kilka kilometrów od miejsca wykopalisk, na przykład gdzieś nad jeziorem, i stamtąd będziemy śledzić wydarzenia. Jeśli zauważycie coś podejrzanego, na przykład ludzi kręcących się nocą, natychmiast mnie powiadamiajcie.

Jagoda zatarł z radości ręce.

- Oto ktoś, kto nam pomoże, pani Kasiu!

- Możemy dać temu panu szansę - powiedziała pani magister i podniosła głowę do góry. - Ale 28 sprawa jest poważna. Każdego dnia giną skarby Truso. Proszę o tym pamiętać, panie Pawle.

Spojrzałem na nią uważnie. Przypomniałem sobie wiadomość otrzymaną dzień wcześniej od pana Tomasza: „Niedługo znikną skarby Truso...” Czyżby to były jej słowa? Skoro tak jej zależy na powstrzymaniu kradzieży, dlaczego nie chce ze mną współpracować? Zastanowiłem się, co naprawdę myśleć o tej dziewczynie, której niebieskie oczy patrzyły teraz wprost na mnie. Kogo we mnie widziała? Rywala czy współnika? Wroga czy przyjaciela? Wiedziałem, że pani Kasia wie o dirhemach z Truso więcej i ma o wiele szerszy dostęp do źródeł niż ktokolwiek inny.

Wiedziałem, że jeszcze nie raz będę musiał uwzględnić ją w swoich działaniach.

Zakończyliśmy rozmowę na parkingu przed zajazdem i umówiliśmy się na spotkanie wieczorem w naszym obozie. Interesowało mnie sporo spraw związanych z odkryciem pana Jagody, ale on i jego asystentka musieli wracać szybko na miejsce wykopalisk. Ich dłuższa nieobecność mogłaby wzbudzić w złodzieju podejrzenia albo zachęcić do kradzieży w biały dzień.

Pani Kasia obiecała, że przyjdzie do nas i opowie chłopcom coś więcej o Truso. Rzuciła kilka uszczypliwych uwag w moją stronę, gdy dowiedziała się od nich o tanim wybiegu z opowieścią o Troi. Natomiast Marek Jagoda miał wieczorem opisać nam każdego uczestnika ekspedycji i razem planowaliśmy zastanowić się, w jaki sposób można bez wzbudzania ich podejrzeń dostać się na stanowisko. Dał mi też plan wykopalisk z zaznaczonymi otworami w ziemi i poprosił, abym w wolnej chwili przyjrzał się niektórym z tych zniszczonych przez złodzieja miejsc. Obiecałem, że zrobię to z samego rana. Wymieniliśmy się z Jagodą numerami telefonów komórkowych i powiedziałem, że gdy tylko znajdziemy odpowiednie miejsce na biwak, zadzwonię do niego.

Przed pożegnaniem poprosiłem:

- Proszę dać mi znać, gdybyście zauważyli gdzieś w pobliżu białego lexusa GS 300 z austriacką rejestracją.

- Może pan na nas liczyć - powiedział Jagoda.

- Ale i pan obiecał coś dla nas zrobić - dodała pani Kasia.

- No tak, odnaleźć złodzieja.

Uśmiechnęła się.

- Zobowiązał się pan sprowadzić do Janowa swojego szefa.

- Ach, rzeczywiście - odpowiedziałem szybko. - Dziś jeszcze będę dzwonił do pana Tomasza i



zrobię wszystko, aby dał się zaprosić. Obawiam się, że nie będzie to łatwe.

- Proszę pamiętać, że to warunek naszej współpracy.

- Mam nadzieję, że będzie owocna.

Powiedziałem i wyciągnąłem rękę w kierunku pani asystent. Bez wahania podała mi swoją i pośgnęliśmy się serdecznym uściskiem dłoni.

Para archeologów ruszyła starym polonezem w kierunku Janowa Pomorskiego. Przez moment jechaliśmy za nimi, ale skorzystałem z pierwszej okazji, aby ich wyprzedzić i zaraz po tym manewrze dynamicznie przyspieszyłem. Mijając środkiem drogi sznur estońskich ciężarówek, udało mi się zwiększyć dystans o kilka minut.

- Z kimś się znowu ścigamy? - spytał zdziwiony Rufus.

- Z czasem - odpowiedziałem.

- Myślałem, że do wieczornego spotkania pozostało kilka godzin.

Machnąłem lekceważąco ręką.

- Oczywiście.

- Więc...? - dopytywał się.

- Więc zastosujemy plan B - odrzekłem.

29

Chłopcy zaczęli się wiercić.

- Plan B? - zawołał Kuba. - Jaki plan B?

- Ten, którego szczegółów nie może znać Jagoda ani przede wszystkim jego asystentka, pani Kasia.

- Podejrzewa pan ją?

- Na razie nikogo nie wykluczam z kręgu podejrzanych. Pani asystent, jak pewnie zauważyliście, świetnie się orientuje we wszystkich sprawach dotyczących wykopalisk i znalezionych tam przedmiotów. Poza tym mam wrażenie, że nie chce dopuścić nas do sprawy i pod pretekstem ściągnięcia pana Tomasza, próbuje zyskać na czasie.

- Mówi pan tak dlatego, że pana nie polubiła.

- Nie musiała mnie polubić. Ale jeśli przebywa na tym stanowisku osoba, która ma swobodny dostęp do zabytków, jest nią właśnie pani magister.

- To prawda - zripostował Rufus - ponieważ jest asystentką szefa ekspedycji. Ale sam pan Jagoda ma większy dostęp do dirhemów.

- Jagoda poświęcił całe swoje zawodowe życie sprawie Truso. Od ponad dwudziestu lat prowadzi wykopaliska w Janowie i coraz więcej faktów przemawia na korzyść jego tezy. Powoli zyskuje międzynarodową sławę odkrywcy. Przecież o Truso wspominały anglosaskie kroniki, a interesują się nim też miłośnicy wikingów z całego świata.

- I co z tego?

- śaden człowiek nie ryzykowałby tak ciężko zdobytej reputacji dla podejrzanego procederu.

- Ludzie czasem mają kłopoty finansowe - zaoponował Rufus. - Niech pan pomyśli, jakim samochodem jeździ ten sławny uczoney. Zresztą sam narzekał, że nie dysponuje takimi funduszami, jak jego koledzy z innych krajów.

- Masz rację - odpowiedziałem. - Szybkie wzbogacenie się przez nielegalny obrót zabytkami może być wielką pokusą. Ale musimy pamiętać, że to Jagoda powiadomił nas o kradzieży i udostępnił nam wszystkie informacje o Truso, łącznie z planem wykopalisk. A funduszy potrzebuje nie tyle dla siebie, co dla swojej misji. Poza tym ręczy za niego pan Tomasz.

- Więc pani Kasia? - dopytywał Kuba.

- Tego nie wiem, ale na razie nie mam podstaw, żeby wtajemniczać ją we wszystkie plany, łącznie z planem B.

- Niech pan w końcu powie, panie Pawle - tracił cierpliwość Kuba.

- Plan B to nic innego jak plan A wzbogacony o jeden, bardzo mały szczegół.

- Szczegół...?

- Szczegół, który wiozę ze sobą.

Kuba oświł się.

- Wziął pan ze sobą swoją „Śyletkę”?

Zaśmiałem się.

- Nie. Wątpię, czy byłby to dobry pomysł. Pewnie w naszym „tysiącgwiazdkowym hotelu” na nic by się zdał najlepszy komputer.

- Więc może ma pan jakiś GPS albo coś takiego?

- Nowinki techniczne owszem - odrzekłem - ale ten szczegół wzbogacający mój pierwotny plan to tajemna broń, której nie skonstruował jeszcze śaden inżynier ani wynalazca.

Niespodziewanie wtrącił się Bazyli:

- Wiecie pan ze sobą psa szkolonego do wyszukiwania po zapachu arabskich dirhemów z IX wieku?

- O nie - zatrząśłem się na swoim siedzeniu ze śmiechu - coś znacznie czujniejszego.

30

- Co? - krzyknęli jednocześnie Rufus, Bazyli i Kuba.

Odrzekłem spokojnie:

- Was.

Gdy dojechaliśmy do zabudowań w Janowie, skręciłem nagle w polną drogę prowadzącą do stanowiska archeologów. Ponieważ pomiędzy główną szosą a miejscem wykopalisk biegła linia kolejowa, od ekspedycji oddzielał nas teraz wysoki nasyp, który urozmaicał monotony Suławski krajobraz. Zatrzymałem auto tu przed nim, wiedząc, że nie jesteśmy teraz widoczni.

- Musimy się rozdzielić - powiedziałem rzeczowo. - Nie mamy dużo czasu.

Rufus zdziwiony zmierzył mnie wzrokiem.

- Przecież mieliśmy najpierw rozbić obozowisko i...

- To był plan A - przerwałem mu. - Mieliście jednak rację, że dwóch z nas powinno zacząć się tu wcześniej i, jak się wyraził Rufus, opracować typy psychologiczne podejrzanych. Chociaż ja wyraziłbym to inaczej, po prostu przyjrzeć się temu, co dzieje się na stanowisku.

- Dlaczego nie pomyślał pan o tym wcześniej - spytał zaczepnie Kuba, którego niestety nie zacytowałem.

- Na wszelki wypadek - nadrobiłem stratę - a konkretnie dlatego, ponieważ myślałem, że na spotkanie przyjedzie tylko pan Jagoda, który jest poza podejrzeniami.

- Kogo wyznacza pan do planu B? - spytał Rufus.

- Bazyli i Rufus - odpowiedziałem - zostańcie na miejscu i z ukrycia będziecie obserwować ekipę. Za kilka minut przyjedzie Jagoda z asystentką. Zwróćcie uwagę zwłaszcza na jej zachowanie zaraz po przyjeździe. Poza tym przyjrzyjcie się pozostałym członkom ekspedycji i ewentualnym gościom.

- Może pan na nas liczyć - powiedział Rufus. - Co prawda szkoda, że nie możemy do nich po prostu podejść i zadać im kilku pytań albo zagadek. Ale skoro mamy działać z ukrycia...

- Byłoby inaczej, gdyby pani Kasia was nie widziała - odpowiedziałem. - Będziemy z Kubą czekać

na was za trzy godziny w Komorowie śulawskim koło sklepu Śelaznego. To niedaleko, dwa kilometry stąd w stronę Pasłęka. Bazyli ma mapę „Okolice Elbląga”, więc traficie bez problemu.

Teraz musimy szybko jechać, Śeby nie minąć się z polonezem Jagody.

- A co ze mną? - zapytał Kuba.

- My w tym czasie pojedziemy do Elbląga, aby dowiedzieć się kilku spraw.

- A nie mógłbym zostać z chłopakami?

- Zadania się nie wybiera - odpowiedziałem z przekąsem. - To przecieŚ nie jest przedszkole dla mięczaków.

- Nie znaczy, Śe się boję - ciągnął - ale nie rozumiem, dlaczego oni zostali, a nie ja.

- Na wszelki wypadek - powiedziałem. - Potrzebuję cię na wszelki wypadek.

Rufus z Bazyliem wyskoczyli z samochodu. Wzięli swoje telefony na kartę, notesy i nieśmiertelne noŚe fińskie, a Bazyli równieŚ kanapki, ostatnie z tych, które przygotowała mu pani Kowalczykowa. Zawróciłem samochód, podczas gdy oni schowali się pomiędzy wierzbami.

- Jesteśmy gotowi na męską przygodę - krzyknął Rufus i jego głowa znikła w wysokiej trawie.

31

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

**W ANTYKWARIACIE • DUKATY CZY DIRHEMY? • GÓRY NA MAPIE SAUTERA • PO  
CO NAM STARE MAPY? • KTO SKUPUJE DIRHEMY? • ZNALEZISKO •**

# NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

Chwilę potem byliśmy już na „siódemce”. Zatrzymałem się za jakimś budynkiem gospodarczym i zacząłem, aś polonez Jagody wjedzie w pełną drogę, co rzeczywiście nastąpiło kilka minut później. Szybko włączyłem się do ruchu i po upływie kwadransa nasz niezbyt piękny, ale niezawodny samochód zaparkował na Starym Mieście w Elblągu, przy ulicy Bednarskiej, naprzeciw odbudowanej niedawno kamienicy. Mieścił się w niej niewielki antykwariat, w którym, przy zastawionym ksiąŜkami biurku, urzędował starszy, łysiejący męŜczyzna w grubych rogowych okularach. Nad jego głową znajdował się poŜółkły napis: „Monety-Münzen. Skup, sprzedaŜ”.

Podszedłem do stolika, a za mną przestraszony nieco Kuba.

- Interesują mnie dirhemy - powiedziałem na przywitanie.

MęŜczyzna oderwał wzrok od gazety i spojrzał na mnie badawczo.

- Co takiego? - zapytał zdziwiony.

- Dirhemy, arabskie monety z czasów średniowiecza.

- Aha - podrapał się w łysiejący obszar głowy - dirhejmy, dirhamy albo dirhemy, bo tak teŜ je nazywają. Chcesz pan kupić czy sprzedać? - zapytał. - Jeśli kupić, to nie mam nic takiego na stanie.

MoŜe jakaś sestercja albo nawet aureus, ale to czasy duŜo wcześniejsze, rzymskie.

- Właściwie interesują mnie tylko dirhemy - odpowiedziałem.

- To najszybciej będzie przez Internet, na aukcji.

Sprzedawca monet przez cały czas dziwnie mi się przyglądał. Z jego twarzy wyczytałem, Őe chce się mnie jak najszybciej pozbyć. Pewnie wyglądałem na wyjątkowo trudnego klienta, który zajmie tylko cenny czas, a koniec końców nic nie kupi. Postanowiłem jak najszybciej przejść do sedna sprawy.

- Nie interesuje mnie ani kupno ani sprzedaŜ. Jestem pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki i Őledzę losy niektórych zabytków. Niedawno w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu doszło do nieudanej próby kradzieŜy dirhemów z IX wieku. Czy zauwaŜył pan ostatnio zainteresowanie tymi monetami?

- Dirhejmami? - spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - Od trzydziestu lat prowadzę ten interes i jesteŝ pan pierwszą osobą, która o nie pyta. Czy myŝlisz pan, Őe dzisiaj kogoŝ interesują zabytkowe monety?

- Co w takim razie pan sprzedaje? - zapytałem zdziwiony.

Antykwariusz podniósł krzaczaste brwi.

- Owszem - powiedział - na giełdach numizmatycznych wymieniamy się najcenniejszymi okazami. Ale klientów, Źe tak powiem, ogółu ludności, to nie rajcuje. Kiedyś było inaczej. Zanim doszło do zjednoczenia Niemiec, turyści z RFN często wyszukiwali u nas pamiątki po swojej tu bytności. Pfenigi i marki szły jak woda, im starsze, tym lepiej. To był dla nas raj. Ale kiedy się otworzył rynek wschodniemiecki, wszystko, panie, siadło. Tam mają takie zapasy, Źe starczy na dziesiątki lat.

- A starsze monety? - dopytywałem się. - Średniowieczne albo staroŜytnie?

- Z tym teŜ jest źle, panie. Bo jak ma być dobrze, skoro sestercję rzymską kupisz pan juŜ za dziesięć złotych? Popyt jest mały, towaru sporo. A jakie są ładne sztuki na rynku, panie. Dajmy na to talary Batorego albo dukaty Zygmunta Starego. Prawdziwe cacko. Ludzie owszem, oglądają, 32

podziwiają. Ale jak się juŜ napatrzą, nikt nie kupuje. Jak ktoś szuka starej monety, to patrzy po aukcjach internetowych.

- A co idzie?

- Ludzie się, panie, ustawiają w kolejki, kiedy mennica wypuści jakiś pamiątkowy numizmat.

Najlepiej z bursztykiem albo innym diamencikiem. Kto to słyszał, panie, Źeby moneta pięćdziesięciozłotowa w dniu emisji w banku centralnym kosztowała dwieście pięćdziesiąt! A ja taką monetę mieć muszę, dlatego jadę, stoję całą noc w kolejce i potem za dwieście siedemdziesiąt sprzedaję. ToŜ to, panie, rozbój w biały dzień.

- A jednak doszło do próby kradzieŜy - powiedziałem szybko, aby uciec od śliskiego tematu. -

Dlaczego ktoś miałby się interesować srebrnymi dirhemami z IX wieku?

- Dlaczego dirhejmami? - antykwariusz mówił do samego siebie. - Dlaczego dirhejmami?

Wziął z wysokiej półki opasłe tomisko i zaczął wertować strona po stronie.

- Dirhejmy... - dalej mruczał pod nosem. - Niech no sprawdzę.

- Co pan znalazł? - zapytałem po dłuŜszej chwili.

- Dirhem lub dirham - zaczął głoŹno czytać - srebrna arabska moneta, początkowo o masie 2,97 grama i wartości 1/10 dinara, bita od końca VII do XVI wieku w róŜnych krajach muzułmańskich. To tyle, panie.

- Niewiele - stwierdziłem rozczarowany. - Tę samą formuškę moŜna znaleźć we wszystkich encyklopediach.

- Poszukajmy gdzie indziej - powiedział znów do siebie gospodarz. Wyjął z szuflady swego biurka stos katalogów, periodyków numizmatycznych i innych mniej lub bardziej rozbudowanych opracowań. Znanym chyba tylko sobie systemem odrzucał jeden, a wertował inny wolumin i w miarę postępu poszukiwań jego twarz stawała się coraz bardziej nieobecna. Zanurzony w swej pracy,

przestał na nas zwracać uwagę.

Nie chcąc przeszkadzać, podeszliśmy z Kubą do map zawieszonych na ścianie po przeciwnej stronie antykwariatu. Najstarszą z nich była „Mapa Królestwa Prus”. Pochodziła z roku 1725, a jej autorem był, jak informował umieszczony w centralnej części napis, Matthaeus Sauter, oficjalny kartograf króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I. Wykonana techniką miedziorytniczą kolorowana mapa przedstawiała obszar panowania tego władcy, jego wizerunek i herby oraz liczne alegorie, które wysławiały majestat i dobrobyt jego rządów. Szybko znaleźliśmy na mapie region, który nas interesował. Jak mogliśmy zobaczyć, należał on, razem z Warmią, do „Prussia Polonica”, czyli był częścią Rzeczypospolitej. Kuba głośno odczytał dawną nazwę miasta „Elbing” oraz znalazł

położone na południe jezioro „Drausen See”. Na mapie nie było oczywiście linii kolejowej ani słynnego Kanału Elbląskiego, które to osiągnięcia cywilizacji powstały ponad sto lat po czasach wybitnego królewskiego kartografa.

- Panie Pawle - zapytał niespodziewanie Kuba - a co to za góry?

- Góry? - zdziwiłem się. - Gdzie?

- Tutaj - wskazał mi miejsce na mapie - między jeziorem „Drausen” a miastem „Holland”.

- Rzeczywiście - odpowiedziałem - Mateusz Sauter pomiędzy Drużnem a Pasłękiem narysował pagórki.

- Przecież tam nie ma żadnych gór!

- To prawda - potwierdziłem. - I pewnie wtedy było tam równie płasko, jak dziś rano. Myślę, że Sauter w tym miejscu zastosował zwykłą w jego czasach metodę usuwania „białych plam”.

- Co takiego?

- Dawni kartografowie nie dysponowali, jak współcześni, zdjęciami satelitarnymi ani systemem GPS. Swoje dzieła tworzyli na podstawie wcześniejszych, niedokładnych map albo na

podstawie opowiadań ludzi, którzy odwiedzali różne strony. Miejsca nie zamieszkane albo te, o których nic nie wiedzieli, czyli tak zwane „białe plamy”, rysownicy wypełniali różnymi ozdobami.

W ten sposób w miejscu, gdzie rozciągał się na przykład las, na mapie było widać góry.

- Jak można było wierzyć takim mapom?! - Kuba nie krył oburzenia.

- W czasach Sautera, czyli w XVIII wieku, kartografia i tak osiągnęła już wysoki poziom, oczywiście w porównaniu z wcześniejszymi wiekami.

- A jak było wcześniej?

- Mapy znano już w starożytności - powiedziałem. - Archeolodzy czasem znajdują schematyczne rytzy na tabliczkach glinianych albo egipskich papyrusach. Wiadomo, że Jozue używał

map podczas podboju Kanaanu. a cesarze rzymscy oglądali swoje imperium na mozaikowych posadzkach i złotych tablicach. Natomiast w średniowieczu niektórzy feudałowie i papieże kazali sporządzać pergaminowe plany okolicznych włości, księstw, a nawet całego świata. Wiemy, że Karol Wielki miał w swoich zbiorach wiele takich prac, w tym trzy srebrne tablice, z których dwie przedstawiały plany największych miast, Rzymu i Konstantynopola, trzecia zaś mapę znanego wtedy świata. W późniejszych wiekach mapy były dostępne prawie w każdej bibliotece klasztornej i pałacowej. Do naszych czasów przetrwało sporo z nich. Niektóre są bardzo ozdobne i okazałe, sięgają nawet trzech i pół metra szerokości.

- Czy były dokładne?

Uśmiechnąłem się.

- Nawet nie da się ich porównać z arcydziełem, które wisi przed nami. Zwłaszcza te przedstawiające „totius mundi”, czyli cały świat.

- A skąd oni brali te mapy? - dopytywał się mój pomocnik.

- Oczywiście nie było wtedy druku, więc takie dzieła po prostu przerysowywano z wcześniejszych źródeł. Przy czym ci pionierzy kartografii nie troszczyli się zbytnio o odpowiednią skalę ani proporcje. Chodziło im głównie o właściwą kolejność.

- Kolejność? - Kuba jeszcze raz szeroko otworzył oczy.

- Mapy były potrzebne kupcom, podróżnikom i oczywiście władcom, których zajmowała polityka zagraniczna i prowadzenie wojen. Dlatego chcieli wiedzieć, że za tą rzeką mieszka taki lud, a za tym ludem mieszka kolejny, za którym z kolei ma swoje siedziby jeszcze inny i tak dalej.

Ważne też było, gdzie do morza wpływa duża rzeka, ponieważ tam mogły cumować statki. Ważne było, gdzie jest przełęcz górska albo brody na rzece, ponieważ tamtędy można było planować szlaki handlowe albo podboje militarne. Odległość liczone w dniach drogi pieszej, konnej albo morskiej, a kierunek wyznaczano po prostu na podstawie wschodów i zachodów słońca. Drogi przedstawiano dla ułatwienia w postaci prostych kresek, tak jak na dzisiejszym planie linii metra.

- Taką mapę to i ja mógłbym zrobić.

- Nie wątpię, przyjacielu - poklepałem Kubę po ramieniu. - Średniowieczne mapy były niczym innym jak rysunkowym przedstawieniem chorografii.

- Choreografii? - Kuba spojrzał na mnie, jak gdybym stracił zmysły. - A co ma do tego tańczenie i choreografia?

Parsknąłem śmiechem. Na szczęście gospodarz antykwariatu tak był pochłonięty poszukiwaniami, że nadal nie zwracał na nas uwagi.



- Nie choreografii - odpowiedziałem w końcu - ale chorografii.

- A co to takiego?

- Chorografia - wyjaśniłem - to typowy dla średniowiecza sposób opisywania świata, w którym bez dodatkowych szczegółów wymienia się kraje, góry, rzeki czy morza na tle otaczającego całą ziemię Oceanu.

34

- Nigdy o tym nie słyszałem - powiedział Kuba. - Proszę powiedzieć coś więcej.

- Cóż, żeby to zrozumieć, musimy się cofnąć nieco bardziej w czasie - rozpocząłem improwizowany wykład. - Gdy starożytni Grecy zakładali swoje kolonie handlowe, tamtejsi uczeni zaczęli interesować się krainami i ludami, które otaczały ich cywilizację. Zastanawiali się, jak i gdzie żyją ludzie, którzy różnią się od nich obyczajami, językiem czy religią. Zamiast opierać się na pogłoskach, tacy pisarze, jak żyjący w V wieku p.n.e. Herodot, sami odwiedzali ościennie narody albo rozmawiali z ówczesnymi obywatelami. Pisarze ci chcieli zebrać jak najwięcej informacji z pierwszej ręki i umieścić je w swoich opisach świata. Najwybitniejszym ze starożytnych geografów był Ptolemeusz Klaudiusz, który żył w II wieku p.n.e. Podsumował dokonania swoich poprzedników i zawarł je w potężnych księgach. W jednej z nich podał zestawienie około ośmiu tysięcy nazw geograficznych z całego znanego wówczas świata, w tym nasz prastary Kalisz.

Kuba ze zdumienia pokręcił głową.

- To później już pewnie nie było co do tego dodawać.

- Nie zapominaj - powiedziałem - że ludzie ciągle poszerzają wiedzę o świecie i ciągle odkrywają nowe kultury. Tak było też w starożytności. Na przykład w czasach rzymskich dużym zainteresowaniem cieszyły się opisy nieznanymi Ptolemeuszowi krajów środkowej i zachodniej Europy. Jak zapewne wiesz, Cezar dokładnie opisał Galię, a Tacyt Germanię.

- A co z tą chorografią?

- Pod koniec istnienia cesarstwa rzymskiego zainteresowanie geografiami, czyli „opisaniem ziemi”, powoli zamierało. Działający w tym okresie autorzy zadowalali się zwykłym wyliczaniem krain i ludów, zgodnie z ówczesnymi poglądami, że ziemia jest płaska, a lądy opływa Ocean.

Krótko mówiąc, będąca u szczytu swojego rozwoju geografia, przekształciła się wtedy w chorografię.

- Czy uczonych nie interesowały już inne kraje?

- Oczywiście, że interesowały - zaprzeczyłem. - Ale jeszcze bardziej interesowała ich teologia. Z czasem inne nauki musiały się jej podporządkować.

- To znaczy?

- Dam ci przykład - odpowiedziałem. - Na początku V wieku Śył w Hiszpanii historyk Paweł Orozjusz. Był duchowym uczniem znanego teologa Augustyna z Hippony. Orozjusz napisał siedmiotomowe dzieło o dziwacznym, ale bardzo charakterystycznym dla tamtego okresu tytule „Historia przeciwko poganom”. W dziele tym, za pomocą historii, udowadniał trafność poglądów Augustyna na dzieje ludzkości. Na początku swego dzieła Orozjusz zamieścił właśnie chorografię, czyli opis krajów objętych jego „Historią”.

- Co się stało z tym dziełem?

- O ile jego wywody historyczne z czasem poszły w zapomnienie, chorografia, którą ułożył, zyskała wielką popularność. W średniowieczu przepisywano ją i naśladowano, a nawet tłumaczono na niektóre języki. I oczywiście rysowano na jej podstawie mapy.

Kuba skrzywił się i machnął ręką.

- Takie stare mapy do niczego się nie nadają! Lepiej wydrukować sobie z Internetu nowoczesny plan topograficzny, gdzie lasy to lasy, a góry to góry, a nie na odwrót.

Odwrocił się i z niecierpliwością spojrział na zegarek, a potem na antykwariusza, który przeglądał kolejny katalog. Przez chwilę w milczeniu patrzyłem na wiszącą przed nami „Mapę Królestwa Prus” z 1725 roku, a potem na inne, wiszące obok, niemieckie mapy tego regionu z XIX

wieku.

- MoŜe turystom - zwróciłem się do Kuby - którzy dziś pędzą „siódemką” w kierunku morza, dzieło Sautera na niewiele by się zdało. Ale nam, odkrywcom zagadek przeszłości, mówi ono 35

bardzo wiele.

- Co na przykład? - z ironią spytał Kuba.

- Przyjrzyj się ujściu Wisły.

Kuba podszedł bliŜej, ale ponieważ mapa wisiała powyŜej poziomu jego wzroku, musiał stanąć na stołek, Ŝeby dostrzec wszystkie szczegóły.

- Wisła uchodzi do Morza Bałtyckiego - wyrecytował, jak gdyby odpowiadał w szkole.

- Oczywiście - powiedziałem. - Ale którędy?

- Nic nie rozumiem z tej mapy. Proszę mi pomóc.

- Z przyjemnością - odrzekłem i wskazałem na mapie linię rzeki. - TuŜ przed Malborkiem Wisła

rozdziela się na dwa ramiona, które tworzą jej deltę.

- Rzeczywiście.

- Prawe ramię, Nogat, mija „Marienburg”, czyli Malbork, i wpada do „Frische Haff.

- A co to takiego?

- Świeży Zalew, czyli obecny Zalew Wiślany - wytłumaczyłem. - Zobacz, oddziela go od morza Mierzeja Wiślana, którą nazwano tu „Frisch Nerung”.

- Czyli „ŚwieŜą”?

- Świetnie - pochwaliłem Kubę. - Natomiast lewa odnoga Wisły płynie na północ głównym korytem i...

- Wpływa do morza?

- Nie od razu.

Kuba przyjrzał się mapie.

- Rzeczywiście, tuŜ przed samym morzem znowu się rozdziela.

- Słusznie - powiedziałem. - Z mapy Sautera wynika, Őe główne koryto Wisły, tak zwana Leniwka, rozdzielało się na kolejne dwie odnogi, z których prawa płynęła wzdłuŜ Mierzei Wiślanej na wschód i wpadała do Zalewu Wiślanego.

- Czyli ŚwieŜego - podchwycił Kuba.

- A druga?

- Druga płynęła chyba do Gdańska.

- Tak - potwierdziłem - i wpływała do morza w okolicach Gdańska, w miejscu, które na tej mapie nazywa się „Weixelmunde”, czyli Wisłoujście.

- A co to ma wspólnego z wartością starych map? - zapytał zaczepnie.

Podszedłem do innego planu, który wisiał na ścianie.

- A teraz zobacz tę drugą mapę. Jest o prawie dwieście lat późniejsza. Pochodzi z początku XX wieku i przedstawia Pomorze Gdańskie pod zaborem pruskim. Czy widzisz jakąś różnicę?

Kuba wyteŜał wzrok, starając się rozszyfrować nazwy podstawowych jednostek geograficznych.

- Jest „Elbing”, jest „Frische Haff” - dukał - i jest „Weischel”. To chyba Wisła?

- Świetnie, a róŚnice? - zapytałem.

- Nogat tak samo wpływa do Zalewu Wiślanego - zastanawiał się głoŚno - a główne ramię Wisły...

- Tak?

- Wpada bezpośrednio do morza! - Kuba krzyknął, jak gdyby odkrył nową ziemię.

- Dokładnie do Zatoki Gdańskiej - potwierdziłem. - W roku 1895 dokonano przekopu przez Mierzeję Wiślaną w okolicy Mikoszewa. Od tamtej pory jest to główne ujŚcie Wisły. Dwa pozostałe straciły na znaczeniu i sĄ znane teraz jako Martwa Wisła i Szkarpawa. Tak jest do dnia dzisiejszego.

36

- To bardzo ciekawe.

- Dzięki takim mapom i dawnym opisom, na przykład chorografii, moŚemy przeŚledzić zmiany, jakim ulegały tereny, które nas interesują. Zapisane sĄ tam nazwy geograficzne, zupełnie dziś zapomniane, chociaŚby ŚwieŚy Zalew. Szczegóły ze starych map pomogły teŚ odtworzyć historię Truso.

- Naprawdę?

- Oczywiście - odrzekłem - czy pamiętasz, co o ujŚciu Wisły napisał Wulfstan?

Kuba jednak nie zdąŚył odpowiedzieć. Kiedy bowiem my wymienialiŚmy ostatnie uwagi na temat największej polskiej rzeki, właściciel antykwariatu wstał od swojego biurka i podszedł w naszą stronę. Teraz czekał, aŚ skończymy głoŚną konwersację i będzie mógł nam przedstawić wyniki swoich poszukiwań. Pomyślałem, Śe znajdzie się jeszcze niejedna okazja, Śeby wrócić do Wulfstana, Truso i roli starych map w jego odnalezieniu.

- Co pan znalazł? - odezwałem się do znawcy numizmatów.

Antykwariusz pogłaskał się po łysiejącej głowie.

- NieduŚo, panowie. Ale coŚ tam wiem.

- Proszę mówić.

- Dirhejmy - zaczął powoli - zaczęły docierać na nasze ziemie w pierwszej połowie IX wieku.

Były to monety bite w dalekich mennicach Bliskiego Wschodu, północnej Afryki i muzułmańskiej Hiszpanii. Napływ dirhejmów był masowy i trwał niemal dwa stulecia. Prawie przez cały IX i X

wiek pieniądz arabski był praktycznie jedynym znanym i uŚtykowanym pieniądzem na ziemiach polskich. Podobnie zresztą jak na Rusi, Połabiu i w Skandynawii.

Kuba zdziwiony aŚ usiadł na stołek.

- Na terenach polskich - ciągnął antykwariusz - znaleziono łącznie około 40 000 monet arabskich z tego okresu. Daje to wyobrażenie o tym, jak wiele ich kiedyś na te tereny nawieziono.
  - Prawdopodobnie - wtrąciłem - w obiegu musiało być nawet kilka milionów tych monet.
  - Bardzo możliwe - potwierdził gospodarz - widzę, że masz pan zmysł numizmatyczny.
  - Ale co z tymi dirhemami?
  - Arabski system pieniężny, jak tu piszą, polegał w tym czasie na współobieganiu złota i srebra, czyli dinarów i dirhemów. W mniejszych transakcjach używano również miedzi lub brązu.
- Ciekawe jest jednak to, że na nasze ziemie dotarły niemal wyłącznie monety srebrne.
- Srebrne dirhemy! - zawołał Kuba.
  - Skąd się ich tyle tu wzięło i dlaczego tylko te srebrne? - zapytałem antykwariusza.
  - Piszą w księgach, że przywieźli je arabscy kupcy - odpowiedział drapiąc się w wysokie czoło. - Ale ja tam temu nie wierzę.
  - Dlaczego? - spytałem zdziwiony.
  - Jak u nas środkiem płatniczym były zielone, wiesz pan jakie, to nikt nie mówił, że je amerykańscy kupcy w walizkach przywieźli. Silny pieniądz jest jak zaraza, jeden go wypuści, drugi przeniesie, a trzeci zachoruje. Przenika wszędzie bez względu na granice, wyznaczenie i kulturę.
  - Coś w tym jest - potwierdziłem.
  - Ja to wiem, panie.
  - Nie wątpię - powiedziałem popatrzawszy na resztki jego siwych włosów. - A do kiedy używano na naszych ziemiach dirhemów?
- Antykwariusz zerknął do katalogu.
- Mniej więcej w latach 960 do 980 ustał ich napływ.
  - Lata panowania Mieszka I - stwierdziłem.
  - Dirhemy zostały wtedy wyparte przez napływ denarów zachodnioeuropejskich, głównie 37 niemieckich.
  - To wszystko bardzo ciekawe - powiedziałem zrezygnowany. - Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby się interesować srebrnymi dirhemami z IX wieku?
  - Tego, panie, w księgach nie wyczytasz.

- Co robić? - zapytałem drapiąc się po głowie.

Właściciel antykwariatu uśmiechnął się szeroko i zawołał:

- Sprawdźmy w Internecie!

- Ma pan tu komputer? - rozejrzałem się zdziwiony.

- Na zapleczu - powiedział - niech pan przejdzie. I młodzieniec takŜe.

Weszliśmy do oddzielonego zasłoną od antykwariatu pomieszczenia, wypełnionego najprzeróŜniejszymi woluminami. Na samym ŝrodku stał nowoczesny fioletowy Macintosh obłoŜony katalogami monet. Oczy Kuby zaiskrzyły z zazdrości.

- Niezła maszyna - powiedział.

- To prezent od wnuka - pochwalił się antykwariusz. - Bez takiej zabawki dzisiaj nie masz się pan co bawić w numizmatykę.

- Rzeczywiście - potwierdziłem. - Często pan zagłąda na strony z aukcjami?

- Praktycznie cały czas - odpowiedział. - To aukcja ustala cenę i dzięki niej moŜna ciągle trzymać rękę na pulsie.

- Czy moŜemy sprawdzić, ile warte są dirhemy?

- Oczywiście, juŜ szukam.

Weszliśmy na najpopularniejszą polską stronę aukcyjną. Zawężiliśmy cel naszych poszukiwań do monet z okresu ŝredniowiecza. Było ich sporo, zwaŜcza denarów z rozmaitych księstw piastowskich i niemieckich. Znaleźliśmy teŜ kilka wystawionych na sprzedaŜ brakteatów i groszy praskich. Oczywiście nie tego szukaliśmy. W oczy rzuciły nam się przede wszystkim wystawione trzy srebrne arabskie dirhemy. Wszystkie trzy datowano na IX lub X wiek. Niestety, wszystkie trzy były juŜ sprzedane.

- Spóźniliśmy się - powiedziałem rozŜalony.

- Sprzedano je niecały miesiąc temu - zauwaŜył gospodarz.

- Poszukajmy na innych stronach - zaproponowałem.

Odwiedziliśmy kolejną, potem jeszcze jedną i jeszcze kolejną. Wszystkie polskie i najwaŜniejsze ŝwiatowe strony z aukcjami. Wszędzie zastaliśmy to samo - dirhemy sprzedane.

- Dziwne - powiedział właściciel Macintosha. - Naprawdę dziwne, panie. Dlaczego nie ma takiego zainteresowania innymi monetami z tego okresu? Tylko dirhemy! Co się z nimi dzieje?

- No właśnie!

- Coś mi świta - antykwariusz poprawił okulary. - Być może ktoś skupuje te monety przez dom antykwaryczny, który nie ogłasza się w Internecie. Często robią tak kupcy chcący zachować anonimowość. Pomniejsi pośrednicy odwiedzają regularnie takie miejsca, a potem na własną rękę i różnymi metodami zdobywają eksponaty. Dzięki temu główny nabywca działa incognito, a w razie kradzieży nie ponosi za nic odpowiedzialności. Ale system ten sprawdza się tylko przy olbrzymich zakupach, gdzie w grę wchodzi setki tysięcy dolarów. Komu i z jakiego powodu zależałoby na srebrnych arabskich monetach?

- To właśnie pytanie nas nurtuje.

- Mnie również. Ale dzisiaj nie dam panu odpowiedzi. Muszę nieco pospacerować znanymi mi tylko ścieżkami w Internecie i odwiedzić kilku specjalistów. Znam sporo wybitnych numizmatyków z całego świata, którzy często bywają w słynnych domach antykwarycznych, tych w realu, oczywiście. Wpadnij pan do mnie jutro, najlepiej w południe, gdy nie ma klientów. Myślę, 38

że coś będę wiedział.

- Będę jutro - odpowiedziałem - Natomiast gdyby ktoś jeszcze pytał o dirhemy, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

Wręczyłem antykwariuszowi wizytówkę ze swoim numerem telefonu, na co odwdzieczył mi się tym samym, po czym się pośgnaliśmy. Gospodarz antykwariatu siedział na zapleczu przy komputerze i próbował odnaleźć kolejny element skomplikowanej układanki, jaką okazała się kradzież monet w Truso.

Po wyjściu z antykwariatu udaliśmy się piechotą na pobliską ulicę Mostową, gdzie miał swoją siedzibę oddział Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, któremu podlegał nadzór nad wykopaliskami w Janowie. Powiadomiłem konserwatora, czyli Piotra, mojego dawnego znajomego ze studiów, o swojej misji i jeszcze raz uzyskałem poręczenie za Marka Jagodę.

Pozostali uczestnicy ekspedycji, w tym pani Kasia Haase, nie podlegali bezpośrednio Elblągowi.

Ponieważ przysłały ich tu ośrodki naukowe z innych miast, Piotrek nie miał w tym momencie żadnych informacji o członkach ekipy. Obiecał jednak sprawdzić wszystko w odpowiednich instytucjach i dać mi znać w ciągu kilku dni.

Tymczasem zbliżała się godzina umówionego spotkania z Bazylim i Rufusem w Komorowie śulawskim koło sklepu Śelaznego. Ciekaw byłem, co ci sprytni chłopcy zdołali zdziałać. Szybko wyjechaliśmy z Elbląga, ale ponieważ trafiliśmy na poważne prace drogowe, do Komorowa przyjechaliśmy spóźnieni dziesięć minut.

Rufusa i Bazylego nie było. Siedzieliśmy w zaparkowanym przed sklepem samochodzie i czekaliśmy. Minęło kolejne piętnaście minut. Nikt się nie pojawił. Jeszcze jeden kwadrans. Bez zmian. Zacząłem się niepokoić. Wyjąłem z torby telefon komórkowy i wybrałem numer najpierw Rufusa, potem

Bazylego. śaden z nich nie odpowiadał. Z kaŜdą kolejną minutą do głowy przychodziły mi nowe, czarne myśli. Być moŜe złodziej działa bardziej bezwzględnie, niŜ mi się wydawało. śałowałem, Őe tak lekkomyślnie zostawiłem chłopaków samych sobie. WyobraŐałem juŜ sobie spojrzenie pana inŜyniera i pani Kowalczykowej, kiedy będę musiał powiadomić ich o najgorszym. Odgłosy sumienia zagłuszało mi teraz tylko głoŐne bicie serca.

Zdenerwowany sięgnąłem do torby, aby schować telefon i znaleźć gumę do Őucia. Szukając jej w kieszeni mojej skórzanej torby, poczułem opuszkami palców niewielki, metaliczny przedmiot.

Powoli wyjąłem tę rzecz, ale tak, Őeby nie widział Kuba. Spojrzałem. W mojej dłoni znajdował się... srebrny arabski dirhem z IX wieku. Ten sam, który dał mi obejrzeć Marek Jagoda, gdy rozmawialiśmy w restauracji. Dokładnie ten sam, który przekazałem jego asystentce.

Przez chwilę byłem odrętwiały. Zastanowiłem się. Czy na pewno jej przekazałem? MoŜe przez nieuwagę włoŐyłem go do torby, ot tak, machinalnie, niezauwaŜenie. Przypominałem sobie spotkanie w „Nowej Holandii” minutę po minucie. Coraz bardziej byłem pewien, Őe dałem monetę Kasi wprost do ręki. Pamiętałem ten moment zbyt wyraźnie, by moŜna było mówić o pomyłce.

Skąd się zatem wziął w mojej torbie? Przychodziła mi do głowy tylko jedna odpowiedź na to pytanie. Panna Kasia musiała włoŐyć mi dirhem, gdy otworzyłem torbę, aby w niej schować plan, który dostałem od Jagody. Tak, to mogło być tylko wtedy! PrzeraŐony pomyślałem: „O co w tym wszystkim chodzi? Do czego dąŐy ta dziewczyna?”

Moje rozmyślania przerwał jednak inny, równie niezrozumiały dla mnie widok. Nowy nissan micra z gdańską rejestracją, o jasnozielonym metalicznym kolorze, podjechał na parking sklepu, przed którym staliśmy. Przez moment nikt z niego nie wychodził, ale za kierownicą dostrzegłem znajomą sylwetkę. Po chwili boczne drzwi kierowcy szeroko się otworzyły i z samochodu 39

wysiadła...

- Pani Kasia? - zawołał Kuba nie mniej zdziwiony ode mnie.

- Witam - powiedziała spokojnie. - Podobno na kogoś czekacie?

40

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

**CO SIĘ STAŁO Z CHŁOPCAMI? • OBÓZ ARCHEOLOGICZNY „TRUSO” • KIM SA**

**BIGOS I KUGIEL? • JORVIK • CZYM JEST ARCHEOLOGIA? • JAJECZNICA PO**

**KRÓLEWSKU**

Pani Kasia z tryumfującym wyrazem twarzy stanęła naprzeciw naszego wehikułu, postawiła nogę na masce i poprawiając długie, jasne włosy powiedziała z przekąsem:



- To nie fair, panie detektywie. Myślałam, że gramy w otwarte karty?

- Gramy? - zapytałem osłupiały.

- Jeśli to nie jest gra - odbiła z gracją piłeczkę - jak pan wytłumaczy obecność swoich dwóch nieletnich agentów na moim terytorium?

Udałem, że nadal nic nie rozumiem.

- Agentów?

- Przemądrzały okularnik w wyprasowanych na kant spodenkach i powolny grubasek z kieszeniami wypełnionymi prowiantem.

- Bazyli wcale nie jest grubasem - Kuba stanął w obronie kolegi.

- Ale Rufus z całą pewnością jest przemądrzały - dodałem z rezygnacją w głosie.

- O tak - potwierdził Kuba - i to go pewnie zgubiło.

Kasia zajrzała w głąb auta, skąd wydobywał się ten młodzieńczy głos.

- Dobrze, że cię tam nie było - powiedziała - przynajmniej ocaliłeś swoje ubranie.

Ubranie? Kamień spadł mi z serca. „Jednak Syją” - pomyślałem.

- Czy chłopcom nic się nie stało? - zwróciłem się do Kasi.

- Im samym nie, ale pana misji nic bardziej nie mogło zaszkodzić.

- Dlaczego?... - nie wiedziałem, o co pytać. - Co się wydarzyło?

Kasia zachichotała.

- Pańscy pomocnicy skąpali się w kanale.

- Jakim kanale?

- Gdy zostawił ich pan przed nasypem - wyjaśniła - przy polnej drodze na nasze stanowisko, chłopcy schowali się za wysoką trawą i rzędem wierzb. Każdy, kto choć trochę zna łąki, wie, co oznacza taka kompozycja.

- Rów melioracyjny - zgadł Kuba.

- Właśnie! - zawołała. - Zanim jeszcze pan ruszył, chłopcy zsunęli się po mokrej trawie wprost do rowu. Siedzieli w błotnistej wodzie, krzyčeli ale na nic się to zdało. Z trudem próbowali się wygramolić, żeby zdążyć przed waszym odjazdem. Ale gdy w końcu cali przemoknięci wyszli na drogę, pan właśnie włączał się do ruchu na „siódemce”.

- Œebym ja to wiedział... - cedziłem przez zęby.

- Oczywiście - mówiła dalej - próbowali do pana dzwonić, ale zamknięte telefony zupełnie nie działały.

- Nie dziwię się,

- W pierwszej chwili, gdy z daleka zobaczyłam przy drodze dwa pokryte czarnym szlamem kształty, pomyślałam, Œe ktoś wyłowił z rowu stare części karoserii albo zmurszałe fragmenty palisady przeciwpowodziowej. Ale z bliska nie miałam wątpliwości, Œe te dziwaczne twory trzymają w rękach telefony komórkowe. Na ich czarnych twarzach, gdzieś pomiędzy zwisającymi wszędzie wodorostami, widać było ludzkie, przestraszone oczy.

- Co pani z nimi zrobiła?

41

- Zabraliśmy biedaków na stanowisko.

- Co się z nimi teraz dzieje? - zapytałem szorstko. - Przetrzymanie młodzieŒy bez zgody opiekunów jest przestępstwem.

Kasia z dumą uniosła głowę.

- Proszę się nie martwić - powiedziała. - Chłopcy są bezpieczni. Daliśmy im jakieś robocze koszule i spodnie, a ich ubrania jeszcze nie wyschły. Siedzą teraz przed głównym namiotem i rozmawiają z dwoma studentami, którzy pracują przy wykopaliskach.

- Rozmawiają?

- Tak - odpowiedziała - zwłaszcza ten w okularkach. Zadręcza studentów jakimiś zagadkami.

Drugi z pana pomocników poprosił o coś do jedzenia, bo, jak mówił, cały prowiant uległ rozbłoceniu. Pan Jagoda bardzo lubi pichcić, więc coś tam sobie na kuchence gazowej gotują.

- Czy chłopcy - zapytałem nieśmiało - nie mówili nic o...

- O czym?

- O tym, Œe będę na nich czekał?

- Oczywiście - odpowiedziała i jednym gestem poprawiła włosy, które opadały na jej niebieskie oczy. - A skąd bym wiedziała, gdzie pana znaleźć?

- A jak oni to pani...

- Powiedzieli?

- Właśnie.

- Wszyscy byliśmy ciekawi, co tych dwóch bohaterów, którzy kwadrans wcześniej zostali z panem w „Nowej Holandii”, robi bez swojego opiekuna w rowie melioracyjnym. Nie uważa pan, że to interesujące?

- Czy ja wiem? - zbagatelizowałem pytanie Kasi.

- Przetrzymanywanie młodzieży w kanale - jej głos brzmiał sarkastycznie - nawet za zgodą opiekuna, jest przestępstwem, proszę pana. To wszystko wyglądało bardzo podejrzanie.

- Chłopcy po prostu się poślizgnęli - lawirowałem. - Nie ma w tym nic dziwnego.

- Oczywiście, że jest - postawiła na swoim Kasia. - Na przykład, bardzo ciekawiło nas, w jakim celu zostawił ich pan tuś obok naszego stanowiska, a sam odjechał w nieznanym kierunku. I oczywiście, dlaczego tak zależało panu na czasie.

- Nie musimy się pani tłumaczyć z każdego kroku - odrzekłem.

- To samo powiedzieli ci dwaj pana pomocnicy.

Uśmiechnąłem się do Kuby. Kasia zauważyła to.

- Może pan być z nich dumny - powiedziała - nie puścili pary z ust. Nawet ten, który mówi bez przerwy, nie zdradził pana. Dopiero, gdy zbliżała się piąta, zakomunikował mi, że musi już iść i zaczął zakładać mokre spodnie. Oczywiście nie pozwoliłam mu na to i w końcu powiedział, gdzie pan czeka.

- Czy mogę się z nimi zobaczyć? - spytałem.

- Oczywiście, przecież ja chłopców nie ukrywam. Ani niczego innego.

Spojrzała w moją stronę porozumiewawczo. Wyglądało to tak, jak gdyby chciała powiedzieć, że dawno już mnie rozszyfrowała.

- Będę jechała pierwsza, a pan za mną - wskazała mi rękę. - Zapraszam na stanowisko. Pański plan trzeba dostosować do nowych okoliczności.

- Jeszcze jedno, pani Kasiu - zawołałem nim wsiadła do swojego autka.

- Tak, wiem - machnęła ręką - nikt z ekipy nie może znać celu pana przyjazdu. Niech się pan mnie nie obawia. Przecież chodzi nam tylko o uratowanie skarbów Truso, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła, pewnie trzymając się drogi. Nie pozostało nam nic 42

innego, jak bez słowa podążyć na nią.

- Nareszcie pan jest, panie Pawle! - krzyczał z daleka Marek Jagoda, biegnąc do nas przez rozkopane poletko. - Chłopcy tyle na pana czekają.

- Przepraszam - odkrzyknąłem - ale zatrzymały mnie pilne sprawy.

- Dobrze, że pani Kasia tak szybko pana znalazła - wołał przeskakując ostatnie bruzdy.

- Jestem jej bardzo wdzięczny - powiedziałem, ale tak, by tylko ona słyszała.

Wzruszyła ramionami.

- To się okaże.

- Tak, to się okaże - potwierdziłem.

- To się jeszcze okaże - podsumowała Kasia, która jak zwykle chciała mieć ostatnie słowo.

Zapadła chwila przykrej ciszy. Na szczęście przybiegł Jagoda. Chwycił mnie mocno pod ramię i poprowadził z miejsca, gdzie zaparkowaliśmy samochody w stronę obozu archeologicznego

„Truso”.

W samym sercu stanowiska był rozstawiony duży, polowy namiot. Trzymano w nim wszelkie narzędzia i urządzenia, którymi posługiwali się archeolodzy. Stanowił też główne biuro pana Marka Jagody, tymczasowy magazyn znalezisk, kuchnię polową i schronienie w czasie deszczu. Obok niego rozbito trzy mniejsze, turystyczne namioty. Jeden z nich należał do pani Kasi, a kolejne dwa do pozostałych członków ekspedycji. Przed głównym namiotem swoje miejsce miał duży basen, w którym na szerokich sitach płukano tak zwany materiał archeologiczny. Pomiędzy namiotami, na białym sznurze, suszyły się ubrania Rufusa i Bazylego oraz przypominająca teraz mokre prześcieradło mapa „Okolice Elbląga” w skali 1:125 000.

- Znaleźli się moi pomocnicy - zawołałem na ten widok.

Jagoda pokiwał głową.

- Niezwykle bystrzy chłopcy, może kiedyś zostaną archeologami. Jeden z nich robi świetną herbatę z sokiem malinowym. Bo dobra kuchnia, panie Pawle, to w terenie rzecz podstawowa.

- A drugi - zgadywałem - pewnie zamęcza wszystkich głupimi pytaniami?

- W badaniach przeszłości nie ma głupich pytań. Czasem są tylko niemądre odpowiedzi.

- To może chce pan ich wypożyczyć? - zasartowałem

- Mam swoich pomocników - powiedział Jagoda i wskazał siedzących przy ogrodowym stoliku

dwóch męŝczyzn w wieku studenckim. Akurat razem z Rufusem głoŝno rozwaŝali, jaką najmniejszą iloŝcią kolorów moŝna wypełnić dowolną liczbę pól na mapie.

- Czy to członkowie pana ekipy? - zapytałem.

- To studenci - wyjaśnił - których skierowało do nas Towarzystwo Wspierania Badań Archeologicznych.

- Nigdy nie słyŝałem o tej instytucji.

- Powstała chyba niedawno. W maju skontaktował się ze mną jej prezes i zapytał, czy nie potrzebuję kogoŝ do pracy przy wykopaliskach. Nie muszę ukrywać, panie Pawle, ŝe ucieszyłem się tą propozycją. Ostatnio krucho z funduszami, a staŝyŝci z Freiburga mają się pojawić dopiero w połowie lipca.

- Z Freiburga? - spytałem zdziwiony.

- Tak - wyjaśnił Jagoda - utrzymujemy z tamtejszym Uniwersytetem ŝcisły kontakt. Co roku kilkoro studiujących przyjeŝdŝa stamtąd asystować przy wykopaliskach. Bez ich pomocy prace pewnie musiałyby stanąć w miejscu.

- Międzynarodowy team?

- Tak - pokiwał głową - bo nasze odkrycie zyskuje uznanie za granicą. Osadą Truso interesują 43 się miłośnicy historii w Niemczech, Anglii, Rosji, Szwecji i Danii. Moŝe nawet bardziej niŝ u nas.

- Swego nie znacie - potwierdziłem ze smutkiem.

Jagoda jednak uŝmiechnął się i wskazując na studentów, powiedział:

- Jakby z nieba nam spadło to Towarzystwo. Sfinansowali ich miesięczny pobyt, a nawet zaproponowali, ŝe przekaŝą nam w darze wykrywacz metali.

- Wykrywacz? - zdziwiłem się. - I co pan na to?

- Oczywiście odmówiłem, nie jestem przecieŝ poszukiwaczem skarbów.

- Zaŝmiałem się.

- A jednak je pan znajduje.

- Metodami konwencjonalnymi - zaprotestował.

- Kaŝdy sposób jest dobry - powiedziałem - z tego, co mi wiadomo, archeologia pełną garŝcią korzysta ze zdobyczych techniki. Lotnicze i satelitarne zdjecia, badania geomagnetyczne, datowanie izotopami, cyfrowa dokumentacja na stanowisku czy komputerowe metody typologiczne...

- To prawda - przerwał mi energicznie - ale wynalazki eksploratorów są nieetyczne.

- Nieetyczne?

- Każdy domorosły poszukiwacz złomu może zamówić taki poszukiwacz metali przez Internet albo z jakiejś taniej gazety dla „odkrywców”.

- A jednak są skuteczne.

- O tak - zawołał - gdyby Schliemann, odkopując Troję, mógł użyć buldożerów, na pewno by ich użył. Czy to znaczy, że mam go we wszystkim naśladować?

Zaczęliśmy obaj śmiać się głośno. W głębi duszy zgadzałem się z nim, że nie zawsze cel uświęca środki. Pan Jagoda, wierny ideałom dwudziestowiecznej archeologii, dał się lubić za swoją szczerłość. Trzeba mu było też przyznać, że w swoich poszukiwaniach był niezwykle skuteczny.

- Czy mógłbym poznać tych dwóch studentów? - spytałem.

- Oczywiście - odpowiedział i podeszliśmy do nich bliżej. - Oto moi pomocnicy, pan Kisiel i pan Budyń, studenci z Warszawy.

- Protestujemy - zawołał niwszy z nich, długowłosa i przyszczaty, ubrany niechlujnie w dżinsy i pognieciony czarny podkoszulek. - My się wcale tak nie nazywamy.

- Ciągłe się pan myli - do protestu przyłączył się wyższy, puchowaty blondyn w okularach, którego koszula i spodnie nie były w lepszej formie. - Mamy już tego dosyć.

Jagoda zaczął skubać brodę.

- Och, przepraszam, macie trudne imiona i wasze nazwiska tak jakoś brzmią...

Wyższy wyciągnął do mnie dłoń.

- Jestem Nereusz Kugiel - przedstawił się.

- Miło mi, panie Irku - odpowiedziałem. - Ja nazywam się Paweł Daniec.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedział. - Nie nazywam się Ireneusz, ale Nereusz. Moi rodzice byli rozmiłowani w literaturze antycznej. Po nich mam chyba zamiłowanie do starych rzeczy.

- Przepraszam - odrzekłem i zwróciłem się do niższego ze studentów - czy pana rodzice też

lubili starożytność?

- Bigos jestem - wyciągnął rękę - Andronik Bigos. Wolałbym nie komentować upodobań tatusia.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedziałem, ale studenci nie zrozumieli moich szczerych

intencji.

- Niech się pan nie czepia - rzucił wyższy, czyli Kugiel.

- Znalazł się kolejny mędrzec - dodał Bigos.

Jagoda szybko załagodził, sytuację.

44

- Panowie Kugiel i Bigos - powiedział - są bardzo cennymi pracownikami. Pomagali nam cały czerwiec i obiecali zostać do przyjazdu ekipy z Freiburga.

- Bo mają tam być dziewczyny - wtrąciła niespodziewanie Kasia, która dołączyła do naszej grupy. - Podobno ta Włoszka jest bardzo sympatyczna. Ale pan Bigos musiałby zacząć prasować koszulę.

- My jesteśmy ponad tym - odezwał się Kugiel. - Nie interesują nas dziewczyny, tylko archeologia.

- Ho, ho, ho - zawołała Kasia - Widział ktoś coś takiego?

- Pani Kasiu - przerwał jej Jagoda - niech pani nie prześladowuje studentów, którzy kosztem swoich wakacji obiecali zostać jeszcze dwa tygodnie z nami.

- Czy ja panów prześladowuję? - wyzywająco spytała Kugiela i Bigosa.

- No!!! - odpowiedzieli jednocześnie i ryknęli dzikim śmiechem.

- JuŜ nie Ŝyjecie - powiedziała i pokazała im gest, który stanowczo nie pasował do jej urody.

Jagoda podniósł ręce do góry.

- Ekipa, spokojnie! - krzyknął, następnie zwrócił się do swojej asystentki.

- Pani Kasiu, juŜ wystarczająco duŜo dokuczała pani tym młodzieńcom. W końcu to tylko studenci po pierwszym roku.

Panowie Kugiel i Bigos - odpowiedziała - zamiast wieczorami chodzić na ryby, powinni nadrabiać te stracone dwa semestry. Luk w wiedzy teoretycznej nie da się nadrobić podczas siedzenia do późnej nocy z wędką i popijania piwa.

- Nadmiernie pani wyolbrzymia - nie dawał za wygraną jej szef - na własne oczy widziałem indeksy naszych pomocników. Skoro sam docent Lewarek zaliczył Mykeny na czwórkę...

- Niech pan ich zapyta, gdzie leŜały Mykeny - odparowała.

- To wiemy bardzo dobrze - odezwał się niskim głosem Bigos. - Lewarek wystarczająco nas przemaglował, Ŝebyśmy jeszcze przed panią się egzaminowali.

- To gdzie leżały te Mykeny?

- Niech pani nas nie prowokuje - Bigos próbował opanować drżenie grdyki. - Bo zrobimy coś nieobliczalnego, coś...

- Bo spakujemy walizki - na ratunek ruszył mu Kugiel - i pojedziemy do Wolina.

- Tere fere - Kasia odwróciła się na pięcie i poszła w stronę dużego namiotu.

Tymczasem z tego właśnie miejsca doszedł nas odgłos, który świadczył, że oprócz pracujących ciężko archeologów, na stanowisku w Janowie mieszkał na specjalnych prawach pewien osobnik, którego hałasowanie nie tylko tolerowano, ale suto je nagradzano.

Jorvik, czarny owczarek szetlandzki, był pupilem całej ekipy. Nie znaczy to, że był

rozpieszczony i wszystko mu było wolno. Wręcz przeciwnie, jego właścicielka, Kasia Haase, doskonale rozumiała zasady właściwego prowadzenia psa. Szkolenie zapewniła mu, gdy jeszcze był

szczeniakiem i od tamtej pory konsekwentnie stosowała swoją niemałą wiedzę na temat psychiki tych zwierząt. Rozumiała, że psy, podobnie jak wilki, instynktownie dążą do życia w stadzie, na czele którego stoi przywódca, zwany osobnikiem alfa. Ponieważ pies uzna swojego właściciela za przywódcę stada tylko wtedy, gdy otrzyma ku temu wyraźne sygnały, pani Kasia nigdy nie pozwalała Jorvikowi spać w jej łóżku, wchodzić na kanapę albo jeść ze stołu. Nigdy nie uległa szczenięcym kaprysom owczarka, pomimo że otrzymała go mając lat szesnaście, gdy skłonność do sentymentów jest szczególnie u dziewcząt widoczna. Hojnie nagradzany i odpowiednio karcony, stopniowo nabierał ogłady i stawał się jej wiernym towarzyszem. Wyrósł na inteligentnego, posłusznego i pięknego psa. Od dziesięciu lat był wielką dumą Kasi, a teraz już drugi sezon strzegł

bezpieczeństwa skarbów Truso.

45

A jednak ich nie ustrzegł. Zastanowiło mnie to od momentu, gdy usłyszałem jego pierwsze szczeknięcie. Głośnym ujadaniem bowiem witał (lub raczej odstraszał) każdego nowego gościa, który pojawił się w okolicach stanowiska. Zwłaszcza nocą, spuszczone ze smyczy, Jorvik robił

straszny harmider przy każdym niepokojącym ruchu, jaki zauważał lub wyniuchał w promieniu kilkuset metrów.

Wesoło szczekając, Jorvik wybiegł z namiotu i machaniem ogona przywitał swoją panią. Za nim wyszedł zaspany Bazyli, który zobaczył nas w chwili, gdy akurat szeroko ziewał.

- Dobrze, że jesteś, przyjacielu - zawołał do niego Jagoda - czas przyrządzić kolację!

- Z przyjemnością bym coś przekąsił - Bazyli poklepał się po brzuszku. - Co będziemy jedli?

- Miałem na myśli twoją pomoc.



- Pomoc?

- Mówiłeś, że świetnie gotujesz - potwierdził z zadowoleniem kierownik ekspedycji - twoja herbata z sokiem malinowym była naprawdę wyśmienita.

- Ale ja...

- Nie bądź taki skromny, mamy sporo gości. Przyrządzimy jajecznicę po królewsku. Sam nie dam rady, a widzę, że moja asystentka nie jest dziś w humorze.

To mówiąc pociągnął go za rękę w stronę kuchni polowej, skąd po upływie kilku minut dotarł

do nas zapach smażonego boczku. Rufus i Kuba dołączyli do Kasi, która obiecała im pokazać wykopy i dzisiejsze znaleziska. Przy ogrodowym stoliku zostaliśmy tylko ja oraz panowie Kugiel i Bigos, dwaj studenci archeologii.

- Czy Rufus nie zamęczał zbyt panów swoimi zagadkami? - zapytałem grzecznie, aby załagodzić niekorzystne pierwsze wrażenie, jakie z pewnością na nich zrobiłem.

- Jego zagadki są ekstra - odezwał się Kugiel poprawiając swoje przetłuszczone włosy.

- Zwłaszcza ta o Andrzeju i Jurku - potwierdził Bigos. - Nigdy nie słyszałem tak zapętlonego zadania.

- Udało wam się ją rozwiązać?

- Jeszcze nie, ale jesteśmy blisko - pochwalił się Bigos.

- A pan - zapytał Kugiel - co właściwie tu robi z tymi dzieciakami?

- Jestem na urlopie - nie skłamałem, choć też nie powiedziałem całej prawdy - a chłopcy są na wakacjach. Chcemy trochę poobozować w pobliżu.

- Tutaj? - zdziwił się.

- Czemu nie - stwierdziłem. - śląawy o tej porze roku są bardzo malownicze. Może uda nam się obejrzeć jakąś pochylnię na Kanale Elbląskim albo zobaczyć skarb archeologiczny w Truso.

- W taki upał - pokręcił głową Kugiel - ludzie jadą nad morze albo na Mazury.

- My sami - potwierdził słowa kolegi Bigos - w każdym wolny dzień ruszamy na plażę.

- Słyszałem, że wieczory spędzacie na łowieniu ryb w Drużnie - powiedziałem.

Bigos skrzywił się.

- Ta Kaśka ma długi język! - zawołał.

- I ostry - potwierdziłem.

- Ale spoko, mamy pozwolenie na połów - zastrzegł od razu Kugiel - i wcale tam nie piwkujemy, tylko rozmawiamy o Śyciu.

- I o nauce - dodał Bigos poprawiając okulary - o archeologii.

Przez chwilę przyglądałem się tym młodzieńcom. Pomimo niechlujnego wyglądu, zrobili na mnie wrażenie osób bystrych i umiejących sobie w Śyciu poradzić.

- Dlaczego wybraliście archeologię? - zapytałem.

Kugiel wyprostował swoje chude, długie nogi, podrapał się za uchem i przez chwilę mruczał

46

pod nosem.

- Ludzie zazwyczaj myślą - powiedział w końcu - Śe archeologia to tylko nieustanna przygoda, poszukiwanie zaginionych miast, egzotyczne podróŚe i tak dalej. Rzeczywistość jest zupełnie inna.

- Nie szukamy skarbów z mapą w ręku - wszedł mu w słowo Bigos. - Znak X nigdy nie oznacza celu.

- Siedemdziesiąt procent archeologii - kontynuował Kugiel - to praca w bibliotece.

Wertowanie starych ksiąg, czytanie. Niestety, nie stać nas na to, by ufać mitologii.

„Dosyć dojrzałe przemyślenia - przeszło mi przez myśl - jak na tak młodych ludzi”.

- Archeologia - Kugiel mówił dalej - zajmuje się poszukiwaniem faktów, a nie prawdy. Jeden z naszych mistrzów powtarzał: „Jeśli interesuje was prawda, wykłady z filozofii są na końcu korytarza”.

„Gdzieś juŚ słyshałem to stwierdzenie - pomyślałem. - Cóż, w mojej profesji na co dzień spotykam różnyh dziwnych ludzi z różnymi dziwnymi poglądami”.

- Czy pan teŚ jest archeologiem? - zapytał Bigos.

- Nie - odpowiedziałem - jestem muzealnikiem.

- Nie wygląda pan na człowieka, który spędza całe dni w muzeum - zdziwił się.

- Bo nie spędzam - ugryzłem się w język, Śeby nie powiedzieć za duŚo. - Trochę podróŚuję po kraju, odwiedzam ciekawe miejsca.

- Z wycieczkami szkolnymi czy koloniami?

- Blisko - powiedziałem - wprowadzam chłopaków w trudną sztukę przetrwania na łonie natury.

- Trochę survivalu, co? - spytał retorycznie Kugiel. - To nie dla mnie, wystarczy mi machanie łopata.

- Właśnie - potwierdził Bigos - albo wywołanie taczka ziemi.
  - Panowie - zmieniłem temat - zamierzam rozbić swój obóz niedaleko jeziora. Czy znacie w pobliżu jakieś ciekawe miejsce?
  - Kugiel i Bigos spojrzeli na mnie, jak gdybym chciał przenieść w to miejsce Pałac Kultury i Nauki.
  - Nad Druśnem? - zapytali niemal równocześnie.
  - Dokładnie - odrzekłem. - Mówiłem przecieŜ, Œe to malowniczy region.
  - Tu sà bardzo podmokłe tereny - Kugiel przeciągał samogłoski. - Trudno będzie gdzieś rozbić namiot.
  - Z jeziora teŜ Œaden poŜytek - wtrącił w tym samym stylu Bigos. - Pozwolenie na połów trudno jest zdobyć. Jezioro jest płytkie, więc Œeglowanie prawie niemoŜliwe. Zresztà i tak wszyscy surfują na Zalewie.
  - Motorówkami teŜ nie wolno hałasować - dodał Kugiel - bo tu rezerwat czy coś takiego.
- Zaśmiałem się.
- Mnie się tu bardzo podoba. Nie przyjechałem tu hałasować, tylko odpocząć. Poza tym poznałem ciekawych ludzi, którzy mogą poszerzyć mojà wiedzę o największym odkryciu archeologicznym w naszym kraju.
  - Pan chyba naprawdę pracuje w muzeum - machnął rękà Kugiel.
  - Czy to dziwne? - spytałem.
  - Tylko proszę pamiętać - dodał Bigos - Œe czasem łowimy tu ryby, a ta dzieciarnia mogłaby nam je wypłoszyć.
  - Tam wisi mapa pańskiego pomagiera, bez trudu znajdzie pan sobie miejsce na wczasowisko 47
  - zakończył rozmowę Kugiel.

Właśnie pan Jagoda, szef ekspedycji, a obecnie równieŜ szef kuchni, wołał wszystkich na jajecznicę po królewsku. Dzięki temu prostemu, lecz skutecznemu zabiegowi, nastroje wśród ekipy nieco się poprawiły. Jedliśmy i Œartowaliśmy sobie z niespodziewanej kąpieli dwójki moich przyjaciół i ich przeraŜonych min, gdy zobaczyli samochód pana Jagody. Nawet studenci zachichotali kilkakrotnie, gdy archeolog opowiadał o tym, jak zobaczył dwa cudaczne stwory siedzące przy drodze. Pani Kasia nie odzywała się zbyt wiele, chyba Œe miała moŜliwość wbić kolejną szpilkę swoim młodszym kolegom lub skomentować moje wypowiedzi.

Dowiedziałem się wtedy, Œe w Janowie od kilku dni mieszka teŜ małŜeństwo archeologów ze Szczecina, którzy szukają na stanowiskach nadbałtyckich śladów osadnictwa Germanów i wikingów.

Jak wyjaśnił pan Jagoda, dzisiaj pojechali zobaczyć oddalone o kilkanaście kilometrów starożytny cmentarzysko w Weklicach i wrócą dopiero późnym wieczorem. Domyśliłem się, że właśnie do nich należał trzeci namiot mieszkalny, stojący obok namiotów Kasi i studentów.

Podczas tej wesołej kolacji nie padło ani jedno słowo na temat naszej misji, kradzieży dirhemów ani tajemniczych dziur w ziemi. Pomimo tego odniosłem wrażenie, że rozwiązanie zagadki jest blisko, wisi gdzieś tu w powietrzu. Gdzieś nad obozem archeologicznym „Truso”.

48

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

**TYSIĄCGWIAZDKOWY HOTEL • NOCLEG NA SAHARZE • CZY TO JEST DIRHEM? •**

**ARABOWIE • O CO CHODZI KASI? • GDZIE JEST PAN TOMASZ? • KONCERT**

Po kolacji Rufus z Bazylim przebrali się w swoje ubrania i zaczęliśmy się szykować do wyjazdu. Ponieważ straciliśmy dużo czasu i robiło się już późno, wizyta pana Jagody i pani Kasi została przełożona na następny dzień. Pośignaliliśmy archeologów i ruszyliśmy naszym wehikułem szukać dogodnego miejsca do rozbicia obozowiska. Wiejskimi drogami dotarliśmy do południowych nabrzeży jeziora Drużno i za zgodą pewnego miłego rolnika zatrzymaliśmy się na jego otoczonej wierzbami łące, jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, w okolicy Komorowa śląskiego.

- Jak wam się podoba? - spytałem Kubę, Rufusa i Bazylego.

- Bardzo ładnie - stwierdził Bazyl - ale gdzie właściwie będziemy nocować?

- Nie wiesz? - powiedział Kuba. - W tysiącgwiazdkowym hotelu.

- Oczywiście - potwierdziłem.

- Więc jednak pod gołym niebem! - zawołał z tryumfem Rufus wskazując na bezchmurny firmament. - To ja rozpalę ognisko, a wy rozłóżcie koce.

- A na co ognisko? - zapytał Bazyl. - Będziemy coś piec?

- Do odstraszenia dzikich zwierząt - wyjaśnił Rufus - na przykład węże. Myślę, że jest tu ich sporo.

- Węże? - Bazyl przeraził się.

- A tak - pokiwałem głową - węże bardzo lubią podmokłe tereny, podobnie jak śmieje, jaszczurki i ropuchy.

- I krokodyle - dodał śartobliwie Kuba.

- Jeszcze tego mi brakowało - twarz Bazylego stawała się coraz bielsza. - Najpierw ta kąpiel, potem jajecznicza, a teraz te gady...

- Nie smakowała ci jajecznicza pana Jagody? - spytałem powstrzymując śmiech.

- Smakowała, ale rozbicie i usmaŹenie dwudziestu pięciu jajek, a potem ukrojenie czterdziestu kromek chleba strasznie mnie umordowało.

- Na wszelki wypadek trzeba kupować krojony - skomentował Kuba.

Zaśmiałem się głoŹno i podszedłem do wehikułu. Otworzyłem tylną klapę i wskazałem duŹy, czarny worek foliowy.

- Panowie - zawołałem. - Oto tyŹcięgwiazdkowy hotel!

Chłopcy natychmiast się poderwali, wyciągnęli z samochodu worek i zaczęli go energicznie otwierać. Niestety, worek nie wytrzymał próby siłowej szeŹciu młodych rak. Na ziemię nagle upadły długie płachty brunatnego, wełnianego materiału oraz powiązane linkami koce i maty.

- Co to jest? - Kuba aŹ wrzasnął ze zdziwienia.

- Mój najnowszy nabytek - odpowiedziałem. - Skarb saharijskich nomadów.

- Tylko nie Źaden skarb - Bazyli kręcił głową - bo juŹ tego nie wytrzymam.

- To oryginalny namiot z wielbłądziej sierŹci, jaki od wieków słuŹy za mieszkanie Beduinom, plemionom wędrującym po pustyniach północnej Afryki i Bliskiego Wschodu. W upalne dni znajdują w nim przyjemny cień, a nocą chroni przed chłodami. Idealny na tamtejsze warunki.

- Po co go pan tu przywiózł - zapytał Rufus - w Truso raczej nie ma klimatu kontynentalnego.

- To prezent od mojego przyjaciela, korespondenta prasowego, który kilka miesięcy temu powrócił z Tunezji. Opowiadał, Źe wybrał się raz z przewodnikiem na południe tego kraju i 49

napotkał obóz koczowniczy, zwany tam „douar”. Zafascynowało go Źycie Beduinów i zamieszkał

na kilka tygodni z nimi w jednym z takich namiotów. Urzekła go ich niezwykła goŹcinnoŹć i oszałamiająca cisza pustyni, o której mówi się tam, Źe oczyszcza umysł. Obserwował ich proste, ale serdeczne Źycie, a ci synowie pustyni polubili jego. Na poŹegnanie otrzymał od nich ten prezent.

Nazywają go „bait esz-szar”, dosłownie „dom z sierŹci”. Ten prezent oznaczał, Źe Beduini uznali go za swojego.

- W tym moŹna mieszkać? - dziwił się Kuba.

- Mój przyjaciel mówi, Źe nie zamieniłby go na Źaden czterogwiazdkowy hotel. Opowiadał o nocach na Saharze, o tyŹcięcach gwiazd, które Źwiecą tam jak nigdzie indziej. Opowiadał o legendarnej goŹcinności saharijskich nomadów, wieczornych ogniskach, pieŹniach i niekończących się opowieŹciach o bohaterach pustyni. Tego nie zapewni Źaden inny hotel.

- Ja teŜ chciaÅbyÅm - odezwaÅ siÅ Rufus - spÅdziÅ noc na pustyni w takim tysiÅcgwiazdkowym hotelu.

- Kto wie - odpowiedziaÅem - moÅe najbliÅsze noce bÅdÅ rÅwnie ekscytujÅce.

Wtem wtrÅciÅ siÅ Rufus:

- A dlaczego pana przyjaciel, ten korespondent, oddaÅ panu swÅj namiot?

- PoniewaÅ wyjechaÅ na placÅwkÅ do Ameryki PoÅudniowej. WiedziaÅ, Åe lubiÅ podrÅe w czasie, wiÅc pomyÅlaÅ, Åe bÅdÅ chciaÅ zasmakowaÅ mieszkania w „domu z sierÅci”. Akurat lato mamy wyÅtkowo upalne, wiÅc gdy siÅ dowiedziaÅem o naszym wyjeÅdzie, pomyÅlaÅem, Åe druga taka okazja nieprÅdko moÅe siÅ zdarzyÅ.

- A jak go siÅ rozkÅada? - spytaÅ Kuba.

- Zobaczmy!

WziÅliÅmy siÅ do roboty. RozwinÅliÅmy gÅównÅ pÅachtÅ namiotu. Wykonana byÅa z kilku zszytych ze sobÅ pasÅw o dÅugoÅci piÅtnastu metrÅw i szerokoÅci piÅćdziesiÅciu centymetrÅw.

RozkÅadajÅc jÅ przyjrzaÅem siÅ wielbÅdziej sierÅci, z ktÅrej byÅ utkany materiaÅ. LuÅne sploty zapewniaÅ dobrÅ wentylacjÅ podczas upaÅÅw, ale wiedziaÅem Åe, gdy bÅdzie padaÅ deszcz, nici napÅczniejÅ i tkanina stanie siÅ wodoodporna. PomyÅlaÅem z uznaniem o pomysÅowoÅci beduiÅskich pasterzy.

Z pomocÅ rolnika, ktÅry udzielaÅ nam goÅciny, chÅopcy znaleÅli cztery drewniane sÅłupy, dÅugie na dwa i pÅÅ metra, ktÅre wkopaliÅmy w ziemiÅ, a wystajÅce koÅce poÅÅczyliÅmy deskami.

Na tej konstrukcji rozÅÅyliÅmy pÅachtÅ, a boczne Åciany i tyÅ namiotu wsparliÅmy na kilku krÅtÅszych drÅÅkach. WyÅÅyliÅmy podÅogÅ matami i odgrodziliÅmy pomieszczenie, w ktÅrym mieli spaÅ chÅopcy, od mojego. NastÅpnie przymocowaliÅmy wszystko do ziemi linkami skrÅconymi z koziej sierÅci i wÅasnoreÅcznie wykonanymi Åledziami. Po rozstawieniu nasz namiot miaÅ okoÅo dwunastu metrÅw dÅugoÅci, piÅÅ metrÅw szerokoÅci i dwa metry wysokoÅci. KsztaÅtem przypominaÅ

dwugarbnego wielbÅda, ale tak naprawdÅ byliÅmy z niego bardzo dumni.

RozpakowaliÅmy багаÅe i wnieÅliÅmy je do namiotu. Aby oswoiÅ nasz „tysiÅcgwiazdkowy hotel”, w jego przedsionku urÅdzeniÅmy prowizorycznÅ kuchenkÅ i na gazowym palniku wstawiliÅmy wodÅ na herbatÅ.

- To chyba lepsze niÅ siedzenie w czterech Åcianach, prawda? - spytaÅem, gdy herbata byÅa gotowa.

- CzujÅ siÅ, jakbym byÅ na Saharze - stwierdziÅ Kuba i pokiwaÅ gÅowÅ.

- Tylko zamiast wielbÅdÅw - zaÅartowaÅ Rufus - wehikuÅ Pana Samochodzika, a zamiast pustyni jezioro DruÅno.

Twarz Kuby poczerwieniała.

- MoŜe zamiast wielbłądów - powiedział złośliwie - dwa krokodyle, które pływają w rowach 50 melioracyjnych,

Rufus poprawił okulary.

- Ale przynajmniej weszliśmy na stanowisko.

- I nas wszystkich zdemaskowaliście - zacisnął zęby Kuba.

- Raczej rozpracowaliśmy podejrzanych.

- Czyli kogo?

- Wszystkich, to znaczy...

Wstałem i machnięciem ręki przerwałem kłótnię.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy - powiedziałem. - Wizyta na stanowisku i rozmowy z archeologami rzeczywiście nie rozwiąły naszych i wątpliwości. Myślę, Őe nawet zrodziły nowe.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z wszystkimi - zauwaŜył Bazyli. - Ci uczeni ze Szczecina. Oni teŜ przyjechali do Janowa niedawno. Kilka dni przed pierwszymi kradzieŜami.

- Słusznie - potwierdziłem.

- Pan Jagoda wspomniał mi - mówił dalej Bazyli - jeszcze o jakimś obcokrajowcu, który ma ich jutro odwiedzić.

Spojrzałem na niego z zainteresowaniem.

- MoŜe to dobrze, Őe dostaliśmy się na teren ekspedycji.

- Ma pan na myśli kontynuowanie misji? - zapytał Kuba.

- Oczywiście, ale musicie wiedzieć jeszcze o czymś.

Chłopcy w milczeniu spojrzeli na mnie. WłóŜyłem dłoń do kieszeni w spodniach i wyciągnąłem dirhema, który wsunęła mi, jak się domyślałem, pani Kasia.

- Skąd pan to ma? - wyrwał się spontanicznie Kuba.

- No właśnie, skąd? - powiedziałem popijając ciepłą herbatę. - A raczej dlaczego? Odpowiedź

na te pytania moŜe być kluczem do rozwiązania zagadki. Tyle Őe odpowiedź wydaje mi się coraz mniej oczywista.

- Czy to jest dirhem? - spytał Kuba.

- Tak, panowie - odrzekłem. - Obozujemy w miejscu, gdzie być może niegdyś cumowali swoje statki arabscy kupcy. Siedzimy w namiocie wykonanym przez arabskich Beduinów i patrzymy na srebrną arabską monetę, na którą ktoś właśnie czyha. Myślę, że to czyni zagadkę Truso jeszcze ciekawszą.

- Gdzie pan to znalazł? - Kuba ciągnął mnie za język - Na stanowisku?

- W kieszeni mojej torby. Najwyraźniej pani asystent wsunęła mi go niepostrzeżenie w „Nowej Holandii”.

- Ciekawe - zamruczał pod nosem Rufus. - Bardzo ciekawe...

- A niech to - westchnął Kuba - to lepsze niż wędrownia po Saharze.

Rufus podszedł do mnie, wziął monetę i w świetle latarki zaczął ją oglądać ze wszystkich stron.

- Co właściwie robili arabscy kupcy na południowym wybrzeżu Bałtyku? - zapytał jakby na marginesie całej sytuacji.

- Rozrzucali po ziemi dirhemy - zaczął Kuba - żeby archeolodzy mieli czego szukać.

- Pytam poważnie - rzucił Rufus nie odrywając oczu od monety.

- Co tu dużo mówić - chrząknąłem. - W czasie, gdy wybito tę monetę, my, Europejczycy, byliśmy zapyziałymi prowincjuszami.

- To jasne - wtrącił Bazyli - sam środek średniowiecza.

- Właśnie - ciągnąłem. - Stara, chrześcijańska Europa pogrążona była od kilku wieków w politycznej i gospodarczej zapaści. Na wschodzie powoli upadało cesarstwo bizantyjskie, które 51

zserały intrygi i spory teologiczne. Na gruzach zachodniego cesarstwa rzymskiego panowały ludy germańskie, takie jak Longobardowie, Wizygoci czy Frankowie. Spośród ich królestw największe znaczenie oczywiście zyskało imperium Karola Wielkiego, które w 800 roku obejmowało teren dzisiejszej Francji i Niemiec. Z czasem jednak i ono uległo rozbiciu. W potęgę rosły plemienne państwa Słowian, którzy w tym czasie opanowali środkową, a później te

południowo-wschodnią część kontynentu. Trzeba przyznać, że nasi przodkowie też narobili wtedy sporo zamieszania. Jakby tego było mało, pod koniec VIII wieku najazdami na zachodnią Europę dali o sobie znać wikingowie.

- To nieciekawa sytuacja - powiedział Kuba.

- Ale co z tymi Arabami? - niecierpliwie pytał Rufus.



Wypiłem kolejny łyk herbaty.

- W tym czasie na południe od Europy rozwijało się potężne imperium arabskie. W momencie największego zasięgu w VII wieku obejmowało ono cały Bliski Wschód aż do Indii i Afganistanu, północną Afrykę oraz tereny dzisiejszej Hiszpanii i Portugalii. Jak doskonale wiecie, Arabowie szerzyli na tych ziemiach nową wiarę, islam. W przeciwieństwie do Germanów nie niszczyli zdobywanych przez siebie krajów, ale pozostawiali całą ich dawną administrację i handel. Dzięki temu na podbitych terenach unikali zakłóceń w rozwoju gospodarczym i szybko prześcignęli starą Europę.

Słyszając to, Bazyli podrapał się w głowę.

- Hm, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie to wszystko. Myślałem, że Arabowie szerzyli swą wiarę ogniem i mieczem.

Spojrzałem na chłopców i wziąłem głębszy oddech.

- Niewątpliwie „święta wojna” nie była im obca. Jednak dla zwykłych ludzi islam, głoszący równość wszystkich wobec Allana, oznaczał wyzwolenie spod feudalnego ucisku. Często też

przynosił wytęskniony pokój. Tak było chociażby w Mezopotamii i Syrii, gdzie podbój zakończył

wyniszczające wojny. Na kwitnące metropolie z czasem wyrosły stolice tych krain, Bagdad i Damaszek. Muzułmanie opanowali najważniejsze szlaki handlowe do Indii i Chin, w tym prastary jedwabny szlak. Dzięki temu na nowo ożywiły się kontakty handlowe bogatego Wschodu z prowincjonalnym Zachodem. Z układu takiego skorzystały obie strony, ale nie muszę dodawać, że Arabowie w tych kontaktach pośredniczyli i nieźle na nich zarabiali.

- A płacili srebrnymi dirhemami - zgadł Kuba.

- Właśnie - potwierdziłem. - Świat islamu naprawdę przeżywał wtedy swój złoty wiek.

Powstawały wspaniałe meczety i pałace kalifów i emirów. Kwitła literatura, poezja i filozofia.

- Baśnie tysiąca i jednej nocy? - wtrącił Rufus zajęty oglądaniem monety.

- Chociażby - odpowiedziałem. - W rozwijających się miastach tworzone uniwersytety. Na język arabski tłumaczono dzieła greckich i rzymskich uczonych, rozwijała się medycyna, nauki przyrodnicze, astronomia i matematyka. Wiele używanych dziś pojęć powstało w tamtym czasie, na przykład algebra czy cyfry arabskie.

- Czy Arabowie interesowali się naszymi stronami? - najwyraźniej Kubę zaciekał temat.

- Oczywiście. Geografowie arabscy byli rozmiłowani w opisach dalekich krajów. Podróżnicy i kupcy po powrocie do swoich domów opisywali zwyczajnie barbarzyńskich ludów, które zamieszkiwały daleką Północ. Na przykład żyjący w X wieku geograf Al-Masudi opisał żyjących na terenach południowej Polski „Chorwatów”, którzy walczyli z Frankami i Bizantyjczykami. Ich wódz

miał na imię Awandza. Niektórzy sądzą, że ma to coś wspólnego z krakowską Wandą.

Awandza to dość zagadkowa postać, która czeka na swego odkrywcę.

- Jak zdobędę trochę doświadczenia - wtrącił Kuba - to sam będę tym odkrywcą.

52

- Kto wie? - powiedziałem powstrzymując śmiech. - A czy wiecie, że jednego z pierwszych opisów naszego kraju dokonał arabski podróżnik?

- Coś o tym słyszałem - odezwał się Rufus - chyba wspomniał o Mieszku I.

- Tak - potwierdziłem. - Był to Ibrahim ibn Jakub. Pochodził z muzułmańskiej Hiszpanii i dotarł w nasze strony jako kupiec w jakieś sto lat po wyprawie Wulfstana do Truso. Ibrahim opisał

trzy duże kraje słowiańskie, kraj Wioletów, Czechy oraz państwo Mieszka I. Inni podróżnicy i kupcy docierali do dużych portów nad Bałtykiem i Morzem Północnym, a nawet jeszcze dalej.

Oczywiście interesowały ich głównie ośrodki handlowe.

- Czy jacyś arabscy kupcy bywali w Truso? - spytał Kuba

- Tego nie wiemy. Na pewno swoje towary dostarczali do duńskiego portu Hedeby w okolicach dzisiejszego Szlezewiku. Mogli też docierać do szwedzkiej Birki, innej dużej osady handlowej nad Morzem Bałtyckim. W czasach Wulfstana handel bałtycki kontrolowali wikingowie, więc pewnie oni przywozili stamtąd do Truso dirhemy. Zresztą monety, jak już wiecie, były powszechnie używane również w sąsiednich krajach.

- Musiały być ich miliony - rzucił dumnie Kuba, który był świadkiem rozmowy o dirhemach w antykwariacie.

Wtem Bazyli energicznie wstał z miejsca, przyłożył palec do ucha i pokazał nam gestem, że byśmy zamilkli.

- To Jorvik - szepnął. - Niesie aż tutaj.

- Ktoś musiał przyjść do obozu archeologów - stwierdziłem. - Jorvik jest bardzo czujny.

Bazyli spojrzął na zegarek.

- Pewnie wrócili na noc ci uczeni ze Szczecina - stwierdził. - Jeśli to oni, za chwilę przestanie szczebrać i będzie siedział cicho aż do powrotu studentów z wędkowania.

- Chyba że ktoś będzie się kręcił nocą po stanowisku - dodałem.

- O tak - Bazyli pokiwał głową - pani Kasia mówiła, że Jorvik wyczuje obcego nawet w odległości

kilkuset metrów.

- No właśnie - westchnąłem - obcego...

Bazyli i Kuba nie zwracali już na te słowa uwagi, ale wybiegli nad wodę, aby słuchać odgłosu niesionego gładką taflą jeziora. Rzeczywiście po niecałych pięciu minutach przestaliśmy słyszeć szczekanie owczarka. Chłopcy jednak dalej stali nad brzegiem podziwiając zachodzące właśnie nad Druśnem słońce.

W namiocie zostaliśmy tylko ja i Rufus.

- Ciekawe, jak znalazła się tutaj ta sztuka - powiedział wskazując na poczerniałą monetę.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

- Zastanawiam się, w jakim celu pani Kasia podrzuciła panu tego dirhema.

- Masz może jakąś hipotezę?

Rufus podniósł głowę i poprawił okulary, które zsunęły mu się podczas analizy monety.

- Tak... Przychodzi mi do głowy pewna możliwość - powiedział przykładając palec do ust.

- Mów śmiało.

- Myślę, że Kasia może próbować zrobić nas w swoje niejasne postęпки.

- O ile ona za nimi stoi - wtrąciłem.

- Właśnie. Może chce nas skompromitować w oczach ekipy i pozbyć się ze stanowiska, bo przeszkadzamy jej w swobodnym przeczesywaniu dirhemów. Wystarczy, że ktoś niby przypadkowo odkryje u nas skradzioną monetę i więcej nie mamy się co pokazywać.

- Też się nad tym zastanawiałem. Ale ta teoria ma swoje mankamenty.

Rufus spojrzał uważniej.

53

- Jakie?

- Gdyby Kasia chciała nas skompromitować przy pomocy tego podrzuconego znaleziska, musiałaby to zrobić dzisiaj, podczas naszego pobytu w Truso. Tego się zresztą po niej spodziewałem. Dlatego schowałem dirhema do kieszeni spodni, a torbę postawiłem przy stoliku, w miejscu dla wszystkich dostępnym. Zakładałem, że Kasia, nie wiedząc o znalezieniu przeze mnie monety, zahaczy niby to przypadkiem o torbę albo w inny sposób ją otworzy na oczach całej ekipy i będzie chciała zrobić ze mnie złodzieja. Wtedy straciłbym zaufanie w oczach Jagody i do czasu wątpliwego przyjazdu pana

Tomasza pani asystent miałaby na stanowisku święty spokój. Do niczego takiego jednak nie doszło.

- MoŜe wiedziała, Ŝe wyjął pan monetę?

- Wątpię. W trakcie naszej wizyty, Kasia w ogóle nie interesowała się moją torbą. Zresztą prawie wcale nie zwracała na mnie uwagi.

- Jest pan zawiedziony?

- Nie o to chodzi - wyjaśniłem. - Zastanawiam się tylko, co teŜ ta dziewczyna chce nam powiedzieć.

- Powiedzieć?

- Tak. Myślę, Ŝe skoro Kasia nie próbowała się nas pozbyć, chce nam za pomocą podrzuconej monety przekazać jakąś wiadomość.

- Czyli - draŜył - sugeruje pan, Ŝe ten dirhem to jakiś znak, jakiś tajny kod?

- Kto wie - powiedziałem biorąc do ręki numizmat - moŜe w tej monecie zawarta jest jakaś informacja, której Kasia nie mogła przekazać osobiście. Ale to ty jesteś specjalistą od zagadek.

- Jestem pewien - uśmiechnął się Rufus - Ŝe ma pan juŜ kilka moŜliwych rozwiązań.

- O tak - krzyknąłem z ironią - moŜliwych rozwiązań jest bez liku! MoŜe pani Kasia mówi nam: spadajcie, gdzie pieprz rośnie. Albo wręcz przeciwnie, zostańcie jak najdłuŜej. MoŜliwe, Ŝe ta moneta jest zachętą do poszukiwań złodzieja, a moŜe ostrzeŜeniem: nie zbliŜajcie się do tej sprawy.

Być moŜe Kasia sugeruje, Ŝe ona sama jest złodziejem, bo ona ją włoŜyła. Albo daje nam do zrozumienia, Ŝe to Jagoda kradnie, no bo przecieŜ on przyniósł dirhema na spotkanie. Przy czym oczywiście ostatnia moŜliwość jest tak prawdopodobna, jak wygrana w toto-lotka trzy razy z rzędu.

Rufus słuchał uważnie, a potem długo rozwaŜał kaŜdą moŜliwość.

- Nic z tego - powiedział po kilku chwilach - to jest zadanie z samymi niewiadomymi.

- A jednak mamy tę monetę.

- Dlaczego ambitna pani asystent miałaby dawać tak niejednoznaczny znak?

- MoŜe to tylko część łamigłówki - odrzekłem - taka strzałka, która ma skierować naszą uwagę na kolejną wskazówkę, która odkryje właściwą informację.

- Srebrny arabski dirhem z IX wieku - zastanawiał się głośno Rufus - wrzucony do kieszeni pana skórzanej torby...

- Właśnie - powiedziałem - nic mi to nie mówi. A raczej mówi zbyt wiele.

Rufus podrapał się za uchem.

- Mówił pan, że to taka strzałka, jak w grze w podchody. Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak myślę.

- Kasia włożyła dirhema do kieszeni torby?

- Właśnie.

Nagle się oświł.

- A co pan w niej jeszcze ma?

- Zobaczmy.

Podniosłem z ziemi swoją skórzaną, wytartą torbę detektywistyczną. Trzymałem w niej 54

najniezbędniejsze przedmioty, z którymi nigdy się nie rozstawałem - telefon komórkowy z wbudowanym cyfrowym aparatem fotograficznym, latarkę, notes z adresami, szwajcarski scyzoryk, ulubioną książkę Ryszarda Kapuścińskiego, mapę kraju i ostatnio aparat GPS, dzięki któremu zawsze znałem swoje dokładne położenie geograficzne. Boczna kieszeń służyła mi natomiast jako tymczasowy schowek, gdzie na bieżąco wkładałem rzeczy, do których w wolnej chwili zamierzałem wrócić.

- Czego tu nie ma! - wykrzyknął Rufus zaglądając do środka.

- Pani magister raczej tego nie wiedziała.

- Racja, zobaczmy w bocznej kieszeni.

Otworzyłem ją i po kolei wyjąłem paczkę gumy do żucia, moje odręczne notatki z wczorajszych poszukiwań internetowych, drukowaną mapę Elbląga i okolic oraz... plan stanowiska archeologicznego, który dostałem od pana Jagody.

- Kolejna wskazówka! - aż klasnął w ręce Rufus na widok planu. - Pozostałe rzeczy nie wchodzi w rachubę.

- Ja też myślę, że Kasia nie interesowała moja guma do żucia. Ale przecież plan Truso z zaznaczonymi otworami dał nam Jagoda, nie ona - powiedziałem z dużym entuzjazmem.

- Fakt - potwierdził kiwnięciem głowy mój przyjaciel - ale Kasia widziała, jak wkładał go pan do kieszeni swojej torby. A ponieważ chciała coś przez ten plan przekazać, niepostrzeżenie wsunęła monetę w to samo miejsce. Dirhem miał pana zaintrygować, panie Pawle.

- Hm...

- Być może liczyła na pańskie zdolności detektywistyczne, którymi tak się pan przy niej przechwalał.

- Masz rację - mruknąłem - być może chciała zwrócić uwagę na plan...

Rozwinęliśmy rulon papieru i przez kilka minut w milczeniu przyglądaliśmy się rysunkowi w ciepłym świetle zawieszanej w namiocie lampy naftowej. Potem zaczęliśmy go prześwietlać naszymi traperskimi latarkami, dotykać, wachać, a wręcz wsłuchiwać się w jego treść. Plan jednak milczał i Śadnej tajemnicy nie zdradzał, rzecz jasna poza zaznaczonymi na nim otworami w ziemi, które stanowiły sekret sam w sobie.

- Ten trop prowadzi donikąd - odezwałem się zrezygnowany.

- Nie zniechęcajmy się w połowie zagadki, tylko dlatego, że wydaje się nam zbyt zapętlona.

- A co mamy zrobić? - spytałem młodszego kolegę.

- Wróćmy do początku.

- Więc?

- Kiedy Kasia mogła włożyć panu monetę? - spytał. - Chodzi mi o konkretny moment.

- Podrapałem się w głowę.

- W restauracji na pewno nie. Co prawda siedzieliśmy obok siebie, ale torbę miałem po drugiej stronie.

- A po wyjściu?

- Tak... - zastanowiłem się. - Na parkingu otwierałem ją, żeby włożyć plan. Ale kiedy zamknąłem?

- Niech pan sobie przypomni.

- Wymieniliśmy się jeszcze wizytówkami z Jagodą. W tym czasie wszyscy staliśmy w grupie, blisko siebie. Podawaliśmy sobie ręce, wymienialiśmy grzeczności. Kasia podała mi rękę ostatnia.

Być może dirhem trafił do torby podczas tego zamieszania.

- Więc jednak - zawołał - wsunęła go, gdy plan był już w kieszeni.

- Na to wygląda, ale to nic nie wyjaśnia - odrzekłem i schowałem plan z powrotem do torby.

55

Rufus przetaił okulary i po cichu jeszcze raz powtarzał sobie wszystkie fakty. Ja tymczasem wyszedłem do Kuby i Bazylego, żeby choć przez chwilę popatrzeć na zachodzące na płaskim horyzoncie słońce. Nad jeziorem panowała cisza, przerywana z wolna coraz głośniejszym

rechotaniem Śab. Z obozu archeologów nie dochodziły Śadne odgłosy, więc pewnie dwaj studenci, panowie Bigos i Kugiel, siedzieli jeszcze z wędkami gdzieś w trzcinach okalających DruŚno. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy i srebrzysty, niczym nowy dirhem, księŚyc. Staliśmy tak w trójkę rozmawiając o niegdyś ludnym Truso i jeziorze, które gościło kupców i podróŚników z całego Świata.

Po upływie kilku chwil podszedł do nas Rufus.

- Panie Pawle - zapytał - czy Kasia coś mówiła, gdy się z panem Śegnała?

- O ile pamiętam - odrzekłem - przypomniała mi, Śebym ściągnął do Janowa Pana Samochodzika.

- Czy dzwonił juŚ pan do niego?

- Jeszcze nie - stuknąłem się w czoło i pobiegłem szybko do namiotu, a za mną popędził

Rufus.

- Pani magister - powiedział, gdy ja wyjmowałem z torby komórkę - ma jednak niskie mniemanie o pańskich zdolnościach detektywistycznych.

- Skąd taki wniosek?

- Zostawiła strzałki - odrzekł - ale wie, Śe tylko pan Tomasz je zrozumie. Dlatego tak bardzo zaleŚy jej na przyjeździe pańskiego szefa. Ta wiadomość była dla niego!

- MoŚliwe - kiwnąłem głową wybierając numer. - W końcu na niego czekała w restauracji.

Tak czy inaczej pan Tomasz musi tu jak najszybciej przyjechać.

Nie minęła chwila, gdy juŚ przysłuchiwałem się w słuchawce charakterystycznemu odgłosowi połączenia dwóch telefonów komórkowych. Miałem nadzieję, Śe uda mi się namówić szefa na choćby krótki przyjazd do Janowa Pomorskiego. Wiedziałem, Śe dzięki temu nie tylko pozyskam do współpracy panią Kasię, ale teŚ szybciej zdemaskuję złodzieja.

Po krótkim piknięciu, gdy nabrałem do płuc powietrza, by przywitać swojego zwierzchnika, na drugim końcu łączy usłyszałem tylko nagrany przez niego krótki komunikat:

- Witaj, Pawle, fajnie Śe dzwonicz! Jak tam ratowanie skarbów? Dobrze się bawisz? Ja teŚ. To jest nas dwóch. Przez najbliższe trzy dni będę poza zasięgiem. MoŚe dłuŚej, kto wie? Powodzenia w zabawie w detektywa. No i udanego urlopu! Nie szukaj mnie na Mazurach ani w Warszawie.

Szukaj skarbów. To na razie. Jeśli spodobała ci się ta wiadomość, odsłuchaj jeszcze raz. Pa!

Zaskoczony tym, co usłyszałem, zadzwoniłem ponownie. Potem jeszcze jeden raz i kolejny.

W końcu znałem nagraną wiadomość na pamięć.

„Co to znaczy?” myślałem. Nie poznawałem swojego szefa, zresztą nie po raz pierwszy w ostatnich dwóch dniach. „Fajnie, Śe dzwonisz”? „Zabawa w detektywa”? Skąd u pana Tomasza tak lekkie podejście do zagadek? „Jestem poza zasięgiem”? „Nie szukaj mnie na Mazurach”? CzyŚby zmienił plany urlopowe? Zazwyczaj mówi mi o takich rzeczach. Gdzie on teraz jest? śałowałem, Śe nie zajechałem z Małdyt do jego wakacyjnego domku nad Jeziorakiem. Być moŚ wtedy coś bym z tego rozumiał. Kto wie? Tymczasem musiałem sobie radzić bez Pana Samochodzika. Na szczęście miałem trzech bystrych pomocników i niezawodny wehikuł. I oczywiście mnóstwo znaków zapytania.

Kuba, Rufus i Bazyli, zmęczeni i niewyspani, szybko padli na swoje materace, gdy tylko wieczorna szarówka przemieniła się w mrok. Ja jeszcze przez moment siedziałem pod jasnym księŚycem i tysiăcem gwiazd przy nieduŚym ognisku, które roznieciliśmy, Śeby nie myśleć nocă o gadach. Natomiast duŚo miłsze płazy, czyli jeziorne Śaby, urządziły nam na dobranoc prawdziwy 56

koncert, przy którym orkiestra symfoniczna wydała mi się tylko małą wiejską kapelă Około jedenastej wieczorem od strony stanowiska dobiegło krótkie, przytłumione przez odległóść i gęstă mgłę, szczekanie Jorvika, a potem dwa obozy nad jeziorem DruŚno, archeologiczny i detektywistyczny, pogrăŚyły się we śnie. Jak się jednak później okazało, oprócz księŚyca i Jorvika, tej nocy nie spał ktoś jeszcze.

57

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

**PORANNY JOGGING • NOWY DOŁEK • KTO CZYTA KRYMINAŁY? •**

**TWORKOWSCY • PODEJRZLIWOŚĆ I UCIECZKA KASI • GDZIE PARKUJE LEXUS? •**

### **OSTATNIE ŚNIADANIE**

Wstałem o świcie, gdy chłopcy pogrăŚeni byli jeszcze w sennym letargu. Wszedłem przed namiot i przemyłem twarz zimną wodă. Przyroda równieŚ powoli budziła się ze snu. Po jeziorze nióś się krzykliwy odgłóś dzikich kaczek i łabędzi, a w gałęziach pobliskiego rokitnika świergotały wesoło wygłódniałe wróble. Na całej równinie Śuławskiej zalegała mlecznobiała mgła. Wraz z pochylonymi wierzbami tworzyła ona wokół naszego obozu iście bajkową scenerię.

Swoim zwyczajem rozpocząłem dzień od krótkiej rozgrzewki, a potem, w ramach porannej zaprawy fizycznej, postanowiłem pobiegać po okolicznych łąkach. WłóŚyłem do kieszeni dresów podarowany mi przez pana Jagodę plan stanowiska. Przy okazji joggingu chciałem się przyjrzeć z bliska wykopanym w ziemi dołkom. Po szybkim przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów, gdy zmusiłem serce do intensywnego wysiłku, natknăłem się na pierwszy otwór. Znajdował się dokładnie w miejscu zaznaczonym na mapie. Dołek ten był nieduŚy i na pierwszy rzut oka widać było, Śe sprawca nie zadbał o zatarcie śladów. Ziemia, jak oceniłem, musiała być ruszona łopată zaledwie dwa lub trzy dni wcześniej. Podeptana wokół niej trawa zdăŚyła juŚ uschnăć, a poza niă nie znalazłem w okolicy Śadnych oznak czyjejkolwiek obecności. Oczywiście same ślady wykopu czy połamanych źdźbeł nic nie mówiły mi o toŚsamości złodzieja. Równie dobrze mogli je pozostawić Jagoda i Kasia, którzy dwa dni wcześniej urządziłi rekonesans po polach Truso.



„Szukajmy dalej” - pomyślałem i sprintem pobiegłem do kolejnego czerwonego punktu na planie. Dawałem duŜe susy przeskakując przeszkody w postaci rowów melioracyjnych i kęp wikliny. Nie zamierzałem popełnić błędu Bazylego i Rufusa i spędzić połowy dzisiejszego dnia na suszeniu ubrania.

Posuwałem się szybko od jednego do drugiego dołka ze smutkiem stwierdzając, Ŝe wszystkie pozostawione przez złodzieja ślady są tak samo nieme i anonimowe, jak pierwszy. Mniej lub bardziej rozkopana ziemia, która straciła swoją wilgotność na skutek działania słońca i pogięta kilka dni temu trawa to było wszystko. Ŝadnych niedopałków, śmieci ani tym bardziej, pomyślałem z sarkazmem, srebrnych monet.

Postanowiłem jednak nie zniechęcać się i wywnioskować jak najwięcej z tego, co pozostało.

Przestępca, jak się słusznie domyślił pan Jagoda, doskonale wiedział, gdzie zapuścić swoją łopatę.

Nic nie wskazywało, Ŝeby rozkopywał całe połacie gleby, a później je przesiewał czy rozgrzebywał

w poszukiwaniu numizmatów. Niewielkie, pojedyncze otwory musiały być tylko ostatnim ogniwem wcześniejszych, profesjonalnych poszukiwań. Z pewnością złodziej posługiwał się wykrywaczem metali dobrej jakości z niezwykłym znanstwem. Działał prawdopodobnie sam i nie tracił czasu na krajoznawcze spacery, o czym jednoznacznie świadczyły nieduŜe obszary pogiętej trawy wokół

dołków. Spróbowałem teŜ pójść śladami prowadzącymi do punktów i od nich. Musiał przecieŜ

jakoś tu dojść i stąd wrócić. Rzeczywiście, wyteŜając wzrok, ledwie dostrzegłem wąskie ścieŜki, których na pewno nie pozostawili archeolodzy. Prowadziły one bowiem w kierunku cieków wodnych i zazwyczaj urywały się w ich pobliŜu. Sam przez się nasuwał się wniosek, Ŝe poszukiwany Ŝwiadomie zacierał ślady przemieszczając się kanałami lub utwardzaną drogą. Jest nie tylko sprytny i doświadczony, ale musi dobrze znać okolice.

W miarę odnajdowania kolejnych dołków przybliŜałem się lekkim truchtem do miejsca wykopalisk. Gdy dostrzegłem na horyzoncie namioty archeologów, zwątpiłem. Nie bardzo

wiedziałem, czy mądrze byłoby się do nich przybliŜać. Pomyślałem o tym, co zdarzyło się wczoraj, o niefortunnej kąpieli chłopców w kanale, o podrzuconym przez panią Kasię dirhemie i wszystkich komplikacjach, które z tego wyniknęły. A teraz jeszcze archeolodzy mogliby mnie zobaczyć wracającego o Ŝwiecie z miejsca kradzieŜy. Doszedłem do wniosku, Ŝe przy tak nadweręŜonym zaufaniu mógłbym zostać potraktowany przez ekipę, zwłaszcza przez panią asystent, jak złodziej i zupełnie stracić swobodę działania. Skręciłem więc na jednej nodze i pobiegłem w stronę jeziora, aby wzdłuŜ brzegu bezpiecznie wrócić do naszego obozowiska. Wchodziłem juŜ między trzciny, gdy raptem usłyszałem za sobą dobiegający z oddali głos Marka Jagody:

- Panie Pawle! - krzyczał - Niech pan poczeka!

Zdębiałem. Odwróciłem się i całkowicie zaskoczony zobaczyłem w odległości jakichś stu kroków machającego do mnie Jagodę oraz stojącą obok niego Kasię.

- Dzień dobry - odkrzyknąłem i pozornie beztrzesko odmachnąłem - ja tylko sobie biegam.

- Niech pan tu przyjdzie - zawołał Jagoda i obiema rękami energicznie dał mi znać, abym się do nich zbliżył.

Podbiegłem z sercem walącym jak dzwon Zygmunta, które nagle przyspieszyło i to bynajmniej nie z powodu joggingu. Okazało się jednak, że moje zdenerwowanie było niepotrzebne.

Widok przyjaźnie uśmiechniętego archeologa szybko mnie uspokoił. Najwyraźniej ucieszyła go moja osoba, podobnie jak wtedy, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się w „Nowej Holandii”, a potem na stanowisku w Janowie. Albowiem pan doktor był człowiekiem o gołęmbim sercu i ufał ludziom, z którymi przyszło mu pracować. Ostatnią rzeczą, jakiej po nim można by się spodziewać, były podejrzenia wobec współpracowników, a do takich pan Jagoda już mnie zaliczył. Nawet z wyrazu twarzy jego asystentki, osoby jakże innej, wyczytałem teraz radość na mój widok.

Archeolodzy nie wyglądali na zaspanych. Wręcz przeciwnie, odniosłem wrażenie, że od świtu są na nogach. Jagoda był ubrany dokładnie tak, jak wczoraj, jak gdyby nie zauważył minionej nocy.

Jedynie zamoczone w porannej rosie zamszowe buty i podwinięte powyżej kostek nogawki wskazywały, że uczonego już jakiś czas temu opuścił swój obóz. Kasia natomiast wyglądała zupełnie inaczej, świeżo, a nawet uroczo. Była ubrana w krótkie dżinsowe spodenki do kolan w kolorze jasnozielonym i takiej samej barwy podkoszulek zawiązany na wysokości talii. Pomyślałem, że najwyraźniej lubi ten kolor i z bliska spojrzałem na jej wysoką sylwetkę, którą oczywiście wieńczył nieodłączny kapelusz z szerokim rondem.

- Dzień dobry - przywitał mnie radośnie Jagoda, a zaraz potem zrobiła to samo jego piękna partnerka.

- Witam - odpowiedziałem. - Co państwo tak wcześnie tu robią?

- Zapytałabym o to samo pana - odezwała się Kasia.

Spojrzałem na nią z niepewnością.

- Co ma pani na myśli?

- Mam nadzieję, że to nie pańskie dzieło - powiedziała z syczącym przekąsem i wskazała ręką ziemię.

Dopiero teraz zobaczyłem u ich stóp fragment rozkopanej gleby. Dołek był dokładnie taki sam, jak te, które przed chwilą oglądałem. Z jednym wszak wyjątkiem. Przerzucona ziemia była jeszcze wilgotna, rozkop był świeży, a pocięta trawa nie zdążyła uschnąć. Nie ulegało wątpliwości, że dołek powstał dziś w nocy.

- Nowy? - spytałem retorycznie.

- Nie ten jeden - odpowiedział Jagoda. - Chodzimy tu z Kasią już od pół do piętej i zdążyliśmy

znaleźć takich sześć. Złodziej nie próśnował równieś dziś w nocy.

- Czy pozostałe są gdzieś tu w pobliśu?

59

Jagoda w odpowiedzi wyjął ze swojej tweedowej marynarki plan, podobny do tego, który dał mi dzień wcześniej. Wskazał palcem sześć punktów, dla odróśnienia zaznaczonych na zielono.

Były porozrzucane po całym stanowisku.

- Są wszędzie - powiedział kręcąc ze zdziwienia głową.

- Ten łotr musiał się niezłe napracować - stwierdziła Kasia. - Działał chyba całą noc.

- Znów nas wyprzedził - rzekł Jagoda chowając plan do kieszeni. Spojrzałem w stronę obozu uczonych. Mgła zdąśyła opaść, więc był widoczny jak na dłoni.

- A Jorvik? - spytałem niespodziewanie i skierowałem się w stronę Kasi. - Czy pani owczarek niczego nie wyczuł?

- Całą noc był cicho - odpowiedziała. - Zrobił tylko harmider, gdy do obozu wieczorem przyjechali Tworkowscy.

- Tworkowscy? - spytałem.

- To małśeństwo archeologów ze Szczecina - wyjaśniła. - A potem jeszcze pohłasował około jedenastej, kiedy Bigos i Kugiel wrócili z ryb. Resztę nocy siedział cicho.

Rozejrzałem się raz jeszcze.

- Dziwne - mruknąłem pod nosem. - Bardzo dziwne...

- Myślę, śe nie ma w tym nic dziwnego - oświadczyła poprawiając z gracją kapelusz. - Ten punkt jest zbyt daleko od obozu, aby Jorvik wyczuł czyjś zapach, chyba śe wiatr wiałby z tego kierunku. Dzisiejsza noc była jednak, jak zauwaśyłam, bezwietrzna, a za to bardzo mglista. A w gęstej mgle nawet psy tracą orientację.

- Pani magister ma rację - potwierdził Jagoda - zwłaszcza, śe pozostałe dołki, które wykopano tej nocy, są oddalone od obozu jeszcze bardziej. Jorvik miał prawo nic nie poczuć.

- Nie to miałem na myśli - wyjaśniłem. - Pani owczarek jest naprawdę wyjątkowo mądrym psem i w pełni podziwiam jego umiejętności. Zastanawia mnie tylko jedno. Skąd złodziej wiedział, jak ominąć obozowisko, tak, śeby Jorvik go nie zdemaskował? W gęstej mgle łatwo podejść zbyt blisko albo zmylić kierunek. Chyba śe zna się doskonale teren.

- Pan oczywiście podejrzewa kogoś z naszej ekipy? - zapytała Kasia.

- Cóż - odpowiedziałem - wiele wskazuje, że złodziej ma świetną orientację w okolicy. A z tego co pamiętam, pierwsze dirhemy zginęły wprost z wykopalisk. Oczywiście państwa, panie Marku i pani Kasiu, wyłączyłem z kręgu podejrzanych z przyczyn oczywistych.

- Kasia spojrzała na mnie swoimi niebieskimi oczyma uważnie.

- To niedobrze - powiedziała - to bardzo niedobrze. Nie powinien nas pan wyłączać z tego grona, tak jak my nie wyłączamy pana.

- Mnie? - zdziwiłem się i poczułem na plecach mrowienie.

- A jakże. Wszyscy to wszyscy. Nie słyszał pan, że w dobrych powieściach kryminalnych przestępcą okazuje się zawsze ten, którego czytelnik najmniej podejrzewa?

- Nie czytuję kryminałów, nawet tych dobrych.

- To błąd - zawołała. - Może uchroniłby pan Truso od takich aktów wandalizmu.

- Mam nadzieję, że tak się niedługo stanie.

- Kiedy? - zapytała zaczepnie. - Jak to pole zostanie zupełnie przeorane?

- Pani Kasiu, litości! - wtrącił się w dyskusję Jagoda. - To nie pan Paweł jest winny tej kradzieży, ale nieznaną nam złodziej. Nieznany na razie. Pan Paweł przyjechał do Janowa, aby nam pomóc go znaleźć.

Kąciki ust Kasi delikatnie się uniosły.

- Ach tak, zapomniałam - zawołała. - I do jakich wniosków pan dochodzi, panie detektywie?

- Rozmawiałem wczoraj z dwoma studentami...

60

- Kisiem i Budyniem? - upewnił się pan Jagoda.

Uśmiechnęliśmy się z Kasią. Zmieszany archeolog pogłaskał swoją siwą brodę.

- To jak im tam? - zapytał.

- Kugiel i Bigos, panie Marku - wyjaśniłem. - Czy wczoraj wrócili z wędkowania o zwykłej porze?

- Tak - odpowiedziała Kasia - jak zawsze o jedenastej już byli w obozie. Jeszcze nie spaliśmy.

Zresztą Jorvik narobił tyle hałasu, że nikt nie mógł nie usłyszeć ich powrotu. Później jeszcze długo ze sobą w namiocie rozmawiali. Pamiętam, że nawet musiałam ich uciszać, bo trudno było mi zasnąć.

Jak pan widzi, studenci mają alibi.

- A ci Tworkowscy? - pytałem dalej. - Czy opuszczali obóz?

- Nie - wyjaśniła. - Po przyjeździe z Weklic byli wycieńczeni i chcieli jak najszybciej pójść do łósek. Ale oczywiście pan Jagoda im na to nie pozwolił i wdał się w niezwykle ważną naukową dysputę na temat osadnictwa Gotów nad południowym Bałtykiem. Chcąc nie chcąc musieli siedzieć do późnego wieczora. Położyli się dopiero krótko przed północą. Nie byli zbyt szczęśliwi. Czy nie tak, panie Marku?

- Rozmowa była zajmująca - odpowiedział speszony - i rzeczywiście nie patrzyłem na zegarek.

Spojrzałem na Kasię. Miała w oku wyraźny błysk. Wpatrywała się we mnie, jakby oczekiwała, że będę pytał dalej. Zaspokoilem jej oczekiwania.

- Od jak dawna państwo Tworkowscy przebywają w Janowie?

- Przyjechali jakieś dwa tygodnie temu - odpowiedział Jagoda. - Doktor Tworkowski jest antropologiem. Specjalizuje się w wędrówkach ludów germańskich i teraz zbiera materiały do swojej nowej publikacji. Interesują go osady w okolicach ujścia Wisły, szczególnie te z czasów wczesnopruskich.

- Co w takim razie robi na pańskim stanowisku?

Jagoda się uśmiechnął.

- Chyba mu się tu podoba. Postawił swój namiot obok naszych i zrobił z Janowa swoją bazę wypadową. Przyjeżdża do nas nocować, a wcześniej rano rusza do jakiegoś okolicznego stanowiska.

Wczoraj był w Weklicach, kilka kilometrów stąd w stronę Młynar. Odkryto tam już przed wojną ciekawą osadę z IV wieku, która - jak sądzimy - była osadą Gotów. To bardzo interesujące, ponieważ ten germański lud wybrał sobie drogę ze Skandynawii na południe prawie dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kilkaset lat później powstało Truso.

- Tworkowski - dodała Kasia - również bardzo wypytuje o nasze odkrycia. Chce prześledzić, jak skandynawscy Germanie osiedlali się w tych stronach od czasów pierwszych wędrówek ludów aż po duńskie wpływy w okresie Truso i później. Podobno ma na to swoją teorię.

- Czyli typowy naukowiec? - spytałem retorycznie.

- Tak, ale... - w zawieszonym głosie Kasi było coś intrygującego.

- Ale?

- Ale nie zapytał pan, panie Pawle, kim jest pani Tworkowska.

- Zdawało mi się, że jest archeologiem.

- Poniekąd tak.

- Zatem kim?

- Otóż pani doktor Teodora Tworkowska jest...

- Tak?

- ...numizmatykiem! - zawołała i zamilkła czekając na moją reakcję.

- To ciekawe - oświłem się. - Bardzo ciekawe.

61

- Niezwykle - powiedziała zerkając tym razem na swego szefa - ponieważ panią Tworkowską, wybitną numizmatyk, bardzo zajmują stare, arabskie monety zwane dirhemami.

- Pani Kasiu, dosyć! - wtrącił oburzony Jagoda. - Pani Teodora jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Dla mnie właśnie pani Teodora jest główną podejrzaną.

- Absurd - zdenerwował się. - Tworkowscy są całkowicie oddani pracy naukowej. Znam ich od piętnastu lat i cieszę się, że ostatnio ten mój wybitny kolega objął Truso kręgiem swoich zainteresowań.

- Właśnie dlatego, że ostatnio - odcięła mu Kasia. - Dziwnym zbiegiem okoliczności kilka dni przed pierwszymi kradzieżami. Przypadek?

- Wszyscy tu się pojawiliśmy na krótko przed pierwszymi kradzieżami - nie dawał za wygraną Jagoda. - Ja, pani, panowie Kisiel i Budyń, Jorvik. Czy mam wymieniać dalej?

- Proszę bardzo!

- A pan hrabia von Winkel, który niemal codziennie odwiedza nasze stanowisko i ten biznesmen, który mu często towarzyszy? Oni też pojawili się w podejrzanym momencie.

- Oni nie wypytywali o dirhemy. A pańska przyjaciółka jak najbardziej.

- Na tym polega jej praca!

- Czy rzeczywiście?!

Zmieszany patrzyłem to na archeologa, to na jego asystentkę. Chyba nie była to ich pierwsza dyskusja na ten temat. Zdziwiła mnie otwartość Kasi w rzucaniu podejrzeń na jej starszą, jak mogłem przypuszczać, koleżankę. Z drugiej strony otwierałem szeroko oczy dowiadując się o kolejnych osobach, które mają dostęp do wykopalisk. Ci Tworkowscy? Jakiś hrabia i biznesmen?

Czy nie robi się tu zbyt tłoczno?

- Panie Pawle - zwrócił się do mnie archeolog - czy pan teŜ podejrzewa panią Teodorę?

- Szczerze mówiąc - wymamrotałem pod nosem - nie miałem jeszcze okazji jej poznać.

- Nic pan nie stracił - wtrąciła Kasia - to stary, opasły babsztyl, który udaje naukowca, Őeby zaspokoić swoją wybujałą próŜność.

Twarz Jagody spąsowiała, co komicznie kontrastowało z jego siwą brodą.

- Ppppani Kkkkasiu - wydusił po chwili - ddddosyc...

Po czym raptownie odwrócił się na pięcie i pomaszerował roztrzęsiony w stronę obozu.

Zostaliśmy z Kasią sami nad świeŜym dołkiem. Wokół nas na równej przestrzeni falowały wysokie trawy, w których oŜywiało się ptactwo rozbudzone stojącym coraz wyŜej słońcem.

Kasia popatrzyła na mnie ze smutkiem.

- Chyba trochę przesadziłam - powiedziała.

- O tak - kiwnąłem głową.

ZmruŜyła oczy.

- Pan Marek ufa swoim współpracownikom. Myślę, Őe za bardzo.

- Czy to źle? - spytałem.

- Zazwyczaj nie, ale teraz wszyscy jesteŝmy w wyjątkowej sytuacji. JeŜli nie odnajdziemy złodzieja, kaŜdego następnego ranka będziemy znajdować takie niespodzianki.

- Ale, o ile dobrze zrozumiałem, pani Teodora i jej mąŜ...

- Pan Tobiasz - wtrąciła.

- Właŝnie, państwo Tworkowscy nie opuszczali nocą obozu. Podobnie jak studenci mają alibi.

Kasia pokiwała głową.

- To mnie właŝnie niepokoi. Nie jest moŜliwe, Őeby ktoś się kręcił po łąkach przed dwudziestą, czyli godziną ich powrotu. Przyznam się, Őe po waszym wyjeździe z obozu spuściłam 62

Jorvika ze smyczy, a sama obserwowałam przez lornetkę okolice, dopóki nie zrobiło się ciemno.

Tworkowski z Őoną byli juŜ wtedy na miejscu, więc uwiązałam psa, a zaraz potem wrócili Bigos i Kugiel. Do jedenastej na pewno nikt po łąkach nie chodził. A w nocy nikt nie opuszczał naszego

obozu. Złodziej musiał się zatem zakraść z drugiej strony i to grubo po północy. I tak straciliśmy kolejną okazję, by go złapać.

- A co z tym hrabią i jego towarzyszem?

- To zupełnie inna historia - odpowiedziała. - Mają nas dzisiaj odwiedzić, jak zresztą każdego dnia. Zazwyczaj bywają wczesnym popołudniem. Hrabia von Winkel to zupełnie niewinny staruszek. Jest potomkiem dawnych właścicieli Janowa Pomorskiego. Przyjechał z sentymentalną podróżą do kraju swoich przodków i przy okazji dowiedział się o naszym odkryciu, Pan Jagoda namawia go na jakieś wspólne projekty. Rozumie pan, że hrabia dysponuje sporymi funduszami.

Podejrzewam, że szybciej zostawi tu jakieś monety niż ukradnie. Zresztą niech pan weźmie chłopaków, przyjdzie do nas o pierwszej na obiad i sam się przekona.

- Z przyjemnością - powiedziałem zadowolony, niezwykle chciałem bowiem poznać wszystkich bywalców obozu. - Mogę się troszkę spóźnić, bo wybieram się jeszcze do Elbląga. Ale na pewno przyjadę.

- Szuka pan złodzieja w Elblągu? - zainteresowała się niespodziewanie.

- Trafiłem tam na pewien trop - celowo zniżyłem głos - i to bardzo ważny trop.

- Jaki trop? - zapytała niecierpliwie. - Chyba nie będzie pan tego przede mną ukrywał?

- O nie, pani Kasiu. Z przyjemnością wszystko pani wyznam.

- Więc?

- O ile i pani zdradzi mi pewną tajemnicę.

Poprawiła nerwowo swoje długie jasne włosy.

- Tajemnicę?

- Tak - wyjaśniłem. - Chodzi mi o pewną monetę...

Kasia raptownie spojrzała mi prosto w oczy, po czym nagle odwróciła twarz w stronę obozu i zawołała:

- Ojej! Muszę już pędzić! Przepraszam pana, panie Pawle, ale czekają na mnie członkowie naszej ekipy. Mieliśmy analizować nowe zdjęcia geomagnetyczne stanowiska.

Mówiąc te słowa klepnęła mnie po ramieniu, odwróciła się na pięcie i podtrzymując swój kapelusz z szerokim rondem zaczęła biec tą samą ścieżką, którą wcześniej oddalił się jej szef. W

połowie drogi do stanowiska zatrzymała się i zawołała do mnie:



- Czekamy na was o pierwszej! Udanego pobytu w Elblągu! Potem pan nam wszystko opowie!

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć. Zagłuszyło mnie szczekanie Jorvika, który radośnie wybiegł

na spotkanie swojej pani. Ja również, tak niespodziewanie pozostawiony, postanowiłem wrócić do swojego obozu. Zerknąłem na zegarek. Chłopcy już pewnie wstali i liczyłem na to, że przywitają mnie jakimś śniadaniem. Boja miałem dla nich wiele nowych informacji.

Moje oczekiwania dotyczące śniadania okazały się jednak przedwczesne. Bazyli, Rufus i Kuba rzeczywiście już byli na nogach, ale nowy dzień woleli przywitać kąpielą w jeziorze. Nie dziwiłem się im, w końcu to był początek ich wakacji. Ponieważ jednak wytrzymałość Bazylego na głód miała swoje granice, postanowiliśmy powtórzyć jego wczorajszy wyczyn z jajecznicą po królewsku. Nasz gospodarz udostępnił nam świeże wiejskie jaja i pachnący boczek i chłopcy ochoczo zabrali się do pracy. Ja w tym czasie wybrałem się do sklepu spożywczego w Komorowie po chleb i masło. Spożywczy znajdował się tu obok sklepu śelaznego, tego samego, przed którym 63

wczoraj umówiliśmy się z Rufusem i Bazylim, a spotkaliśmy się z panią Kasią. Przy okazji chciałem też i tam zajść, aby kupić dwie śruby rzymskie, kawałek łańcucha i kilka wkrętów. Jak bowiem rankiem zauważyli chłopcy, nasz „tysiącgwiazdkowy hotel” potrzebował do wzmocnienia czegoś więcej niż linek z koziej sierści.

Obładowany śelastwem wychodziłem ze sklepu i już pakowałem się do wehikułu Pana Samochodzika, gdy usłyszałem za sobą głos:

- Co za spotkanie! To znowu pan?

Na szczęście to nie był głos pani Kasi ani nikogo z ekipy. Odwróciłem się.

- Witam - powiedział młody człowiek ubrany w koszulę z krawatem, z śelem we włosach i teczką pod pachą.

- Przepraszam, ale nie poznaję - odrzekłem.

- Ja teś bym pana nie poznał, gdyby nie to dziwadło - wskazał na wehikuł. - Wczoraj pan wyglądał jak dziennikarz albo detektyw. A teraz mam wrażenie, że odzepił się pan od jakiegoś maratonu.

- Czy my się wczoraj spotkaliśmy? - próbowałem szperać w zasobach pamięci.

- W Małdytach, na stacji benzynowej. Ci Rosjanie i to całe zamieszanie z lexusem z austriacką rejestracją.

Spojrzałem na stojącego w pobliżu opla corse i przypomniałem sobie rozgadanego przedstawiciela handlowego. Naklejki na samochodzie zdradzały, że przyjechał do sklepu śelaznego sprzedać jakieś śruby.

- Tak, pamiętam - potwierdziłem. - Pan w interesach?

- A tak, wracam z okolic Nowego Dworu. Cały czas w drodze, od sklepu do sklepu. A pan pewnie na wakacjach?

- Coś w tym rodzaju - potwierdziłem lakonicznie.

- Pewnie wesoło pan spędza czas? - zapytał nie czekając na odpowiedź - Te dzieciaki, jezioro, bieganko. A poza tym taki samochodzik, no, no. Ale w sumie fajny. Widziałem, jak pan nim wczoraj ruszył. Ma przyspieszenie. To sprowadzany czy samoróbka?

- PoŚyczony.

- A właśnie - ciągnął przedstawiciel - jak się panu udał pościg za lexusem? To pański znajomy? Tak pan wczoraj mówił. Dał mu pan nauczkę za to zamieszanie w Małdytach?

- Nie doścignąłem go.

- Wcale się nie dziwię - chłopak gadał jak katarynka. - Nie, nie chodzi mi o pana zabytek.

Lexus GS 300 to prawdziwe cacko. Znam te auta, to znaczy czytałem o nich w „Moto-Auto”.

Trzylitrowy silnik, nawet te standardowe wersje mają sportowe osiągi. A te nowsze, ho, ho, czterystatrzydziestki. Japończyki, nie to co moja corsa. Niech pan spojrzy. Maleństwo, silnik jeden trzy, najtańsza wersja, nawet bez klimatyzacji. Firma oszczędza, rozumie pan, koszty - machnął

ręką. - Ale na szczęście konkurencja jeździ fiatami, więc moŜna wytrzymać.

Nie chciałem słuchać tego potoku słów, z którego tylko zrozumiałem, Őe i tak nie miałbym szans w pościgu z nieznanym kierowcą lexusa.

- Dziękuję panu za zainteresowanie - powiedziałem, aby zakończyć rozmowę. - Miłej pracy.

- Do zobaczenia tu albo w Stegnie - odrzekł przedstawiciel i skierował się w stronę sklepu.

- A dlaczego w Stegnie? - zapytałem zaskoczony.

Przedstawiciel spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- PrzecieŜ tam jest pański przyjaciel.

- Mój przyjaciel? - nadal nie rozumiałem. - W Stegnie?

- No tak, mówił pan, Őe kierowca lexusa to pana znajomy. Myślałem, Őe wie pan, dokąd on 64 jechał.

Podniosłem brwi.

- A pan wie?

- Dziś rano widziałem tego lexusa w Stegnie na parkingu przy plaży.

- Tego samego?

Szeroko się uśmiechnął pokazując przy tym nienaganny rząd białych zębów.

- Nie mam wątpliwości. Biały lexus GS 300 ze starą austriacką rejestracją. Miał rację ten Rosjanin, jak mu było, Alosza. Aś podszedłem, aby się przyjrzeć. Na pewno jest z Austrii, dokładnie z Wiednia.

- A czy widział pan jego kierowcę?

- Nie, tylko zaparkowane auto. Ale wzbudziło ono w Stegnie taką sensację, że na pewno szybko pan go znajdzie.

- Bardzo dziękuję za te informacje. To dla mnie bardzo ważne.

- No pewnie - zażartował - każdy chciałby mieć takiego przyjaciela. Proszę go ode mnie pozdrowić.

- Nie omieszka - powiedziałem i uściśniłem mu rękę na pożegnania!

Wsiadłem do wehikułu i natychmiast ruszyłem do obozu. Chłopcy właśnie skończyli przygotowywać śniadanie, więc ciągle w dresie, przysiadłem się do nich i zjadając się w najlepsze opowiedziałem im dzisiejsze nowiny.

- Dziś zatem mamy sporo do zrobienia - powiedziałem na zakończenie. - Znow będziemy musieli się rozdzielić, żeby ze wszystkim zdążyć.

- Rozdzielić? - spojrzał na mnie przerażony Bazyli.

- A co myślałeś - odparował mu Kuba - że sobie poleniuchujesz po jedzonku?

- Ale ja nie chcę znowu kąpać się kanale ani pracować jako kucharz - odrzekł.

- Będziesz pracować jako detektyw - wyjaśniłem ku jego zadowoleniu - zawiozę ciebie i Rufusa do Stegny, uroczej miejscowości wypoczynkowej nad Zatoką Gdańską, gdzie będziecie obserwować białego lexusa i, co ważniejsze, jego kierowcę. Ja z Kubą zahaczymy w Elblągu o antykwariat i pojedziemy na stanowisko spotkać się z hrabią.

- A jak się będziemy kontaktować? - spytał Rufus. - Przecież nasze telefony nie działają.

- Fakt - powiedziałem. - Musimy mieć jakiś niezawodny kontakt. Kuba, czy pożyczysz chłopcom swoje cacko?

- Nie ma sprawy.

- Dzięki - Rufus uściśnił mu dłoń.

- Tylko pamiętajcie, Śadnych kąpieli! - rzekł Kuba z powaŚną miną.

Chłopczy zaczęli się śmiać. Gdyby jednak wiedzieli, do czego nas doprowadzi ten plan, nie byłoby im tak wesoło.

65

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**W STEGNIENIE • TAJEMNICZY GOŚĆ W ANTYKWARIACIE • WIZYTÓWKI W**

**BUTONIERCE • BATURA I WSPÓLNICY • POSZUKIWANIA W SIECI • ZNOWU**

**AUSTRIA • SMS**

Stegnę znałem bardzo dobrze ze swoich poprzednich wypraw. Ta rybacka i przede wszystkim wypoczynkowa miejscowość jest położona na tej części Mierzei Wiślanej, która oddziela Őulawy od Zatoki Gdańskiej. JakŚe często tu bywałem podczas swoich poprzednich wypraw, kiedy to poszukiwałem zatopionych okrętów wojennych czy teŚ łodzi wikingów. Tym razem jednak jechałem do Stegny, aby zostawić w niej swoich młodych pomocników. Miałem nadzieję, Śe w tak atrakcyjnym otoczeniu poszukiwania lexusa i jego kierowcy upłyną im w iście wakacyjnym nastroju.

Minęliśmy Elbląg i kierowaliśmy się w stronę Nowego Dworu Gdańskiego, gdzie znajduje się zjazd z „siódemki” na drogę prowadzącą na Mierzeję. Powoli przyzwyczajaliśmy się do płaskiego krajobrazu i zaczęliśmy dostrzegać jego specyficzny urok. Zwłaszcza gdy zjechaliśmy z drogi szybkiego ruchu i mijaliśmy Śulawskie wsie, podziwialiśmy charakterystyczną zabudowę, sięgającą XIX, a czasem nawet XVIII wieku. Drewniane domy z podcieniami, zagrody i wiatraki w stylu holenderskim, a przede wszystkim niezwykle urządzenia melioracyjne, te Őluzы, kanały, wały, mosty zwodzone i tym podobne cuda zainteresowały nas tak bardzo, Śe na moment zapomnieliśmy o celu wyprawy.

Mijaliśmy przecieŚ sam Őrodek bogatego systemu kanałów dolnej Wisły, będących pozostałością po licznych ramionach jej delty. Od Nowego Dworu jechaliśmy wzdłuŚ rzeki Tugi, która nieco wcześniej, w okolicach Nowego Stawu, nosi nazwę Święta. Wpada ona do Szkarpawy, odnogi Wisły, którą przekroczyliśmy w połowie drogi do Stegny, przejeŚdŚając przez most zwodzony w Rybinie. TuŚ za tą wsią od Szkarpawy odgałęzia się Wisła Królewiecka, a nieco dalej od niej samej odpływa Łaszka. Królowa naszych rzek wpływa do Zalewu Wiślanego niezliczoną ilością odnóg i kanałów, a przecieŚ jej główny nurt wpada teraz do Zatoki Gdańskiej w okolicach Mikoszewa. Widząc poprzecinany wodą krajobraz Őulaw, Śałowałem, Śe mogę się nim napawać zdawkowo i w przelocie.

Stegna, jak moŚna się było o tej porze roku spodziewać, była pełna turystów, którzy w mniej lub bardziej zorganizowanych grupach zaludnili ją na okres wakacji. Będąc największą w okolicy wsią słuŚyła jako punkt zaopatrzenia dla wycieczek i kolonii szkolnych zmierzających do Jantaru, Kątów Rybackich albo dalej na Mierzeję Wiślaną do Krynicy Morskiej. Niektórzy przyjezdni ruszali teŚ stąd, aby zobaczyć smutne Őwiadectwo historii, jakim jest umiejscowiony w Sztutowie były

hitlerowski obóz koncentracyjny, w którym zginęło ponad 60 tysięcy ludzi wielu narodowości.

Nie miałem jednak wątpliwości, że kierowca białego lexusa GS 300 zjawił się tu w zupełnie innym celu. Musieliśmy go tylko wyłowić spośród beztrudnego tłumu turystów i zatręśnienia samochodów wszelkich marek i krajów pochodzenia.

Czując wakacyjny klimat Stegny, Bazyli i Rufus szybko wyskoczyli z auta pełni zapału do poszukiwań.

- Przyjadę po was wieczorem - zapowiedziałem. - Gdyby coś się stało, zadzwońcie.

- Tak jest - zasalutował Rufus.

- Przedstawiciel widział lexusa na parkingu przy plaży - wyjaśniłem. - To jakieś dwa kilometry stąd. Mam nadzieję, że go tam zastaniecie. Na wszelki wypadek możecie dyskretnie zapytać od czasu do czasu w jakichś punktach po drodze.

66

- Na przykład w tej budce z kebabami? - spytał Bazyli i nie czekając odpowiedzi pomaszerał w jej stronę odliczając na dłoni pieniądze.

- Pilnuj go - zwróciłem się do Rufusa - żeby nie zatrzymywał się zbyt często w takich miejscach, bo przez tydzień nie dojdziecie do morza. A bez morza stracie całą frajdę z pobytu w Stegny.

To słysząc Rufus zarzucił na plecy podręczny plecak i pobiegł za Bazyliem. Kuba, podobnie jak dzień wcześniej, patrzył z zazdrością na tę dwójkę, ale mądrzejszy o wczorajsze doświadczenia zacisnął zęby i powiedział do mnie:

- Oj, żeby się tylko znów nie skąpali, te dwa krokodyle...

W odróżnieniu od Stegny, w Elblągu nie zauważało się turystów. Wręcz przeciwnie, to przemysłowe miasto sprawiało wrażenie wyludnionego na czas upałów. Ci, którzy w nim zostali, uciekali przed słońcem, jeśli tylko znaleźli odrobinę cienia i zieleni. Jedni jechali do parku, inni zaś do pobliskiego lasu, zwanego Bałantarnią, który rozciągał się w kierunku Wysoczyzny Elbląskiej.

Na ulicy Bednarskiej, gdzie przed antykwariatem zaparkowałem wehikuł, ten senny nastrój zdawał się sięgać zenitu. Z pobliskiego okna na całej ulicę rozbrzmiewał, nadawany z radia na falach długich, hejnał z Wieży Mariackiej. Jego usypiająca melodia, która przypominała o mijającym właśnie południu, docierała chyba jednak tylko do naszych uszu. Ulica była bowiem zupełnie pusta.

Nawet koty i psy pouciekały w zacienione podwórka przed lejącym się z nieba słońcem.

Wchodząc do antykwariatu poczuliśmy od wnętrza powiew przyjemnego chłodu. Znajomy antykwariusz przywitał nas uśmiechem.

- No, nareszcie - zawołał wstając od biurka. - Już myślałem, żeś pan zapomniał, panie detektyw z

ministerstwa. A tu takie nowiny!

- Nowiny? - spytałem ze zdziwieniem.

- Siadajcie, panowie - szerokim gestem zaprosił nas do środka.

Usiedliśmy przy stoliku, na którym stał fioletowy Macintosh. Kuba zapytał, czy może pogrzebać nieco w Internecie i gdy tylko otrzymał pozwolenie, zajął się tą niezwykłą maszyną.

Gospodarz tymczasem przyniósł dwie kawy i zaczęliśmy rozmawiać.

- Czy dowiedział się pan czegoś o wykupywaniu dirhemów? - zapytałem.

Machnął lekceważąco ręką.

- Co się tu działo - powiedział ścisząc głos. - Jakbyście się wszyscy umówili, żeby pytać o te dirhejmy.

- Wszyscy?

- A tak - wyjaśnił. - Nie minęło pół godziny, jakś pan ode mnie wyszedł, a pojawia się jegomość i znów mnie pyta o to samo.

- O dirhemy? - zgadywał Kuba.

- No tak. Pyta, czy można u mnie zakupić srebrne dirhejmy.

- I co pan na to? - pytałem niecierpliwie.

- A ja mu na to, że nic nie wiem o śladnych dirhejmach, że muszę poszukać i tym podobne. A pytam go, kto on taki. On mówi, że turysta. Ja pytam: skąd? On, że zza granicy. Ja na to, że po co do Elbląga przyjeżdża, skoro za granicą tyle monet. On na to, że nie może mi wszystkiego powiedzieć, ale jakby się coś pojawiło, to on ma pieniądze i każdą cenę zapłaci.

- Jak wyglądał ten człowiek?

- W średnim wieku, wysoki, dosyć przystojny. Poza tym był elegancko ubrany i cały wyperfumowany.

- Elegancik? - upewniłem się.

67

- A jak? - antykwariusz się uśmiechnął - ale rysów twarzy panu nie przedstawię, panie detektywy.

- Dlaczego?

- Tak mu było gorąco, że nie zdjął z nosa okularów.

Z zaskoczenia aś wstałem.

- Jakich okularów? - spytałem.

Antykwariusz przyłożył dłonie do swojej twarzy.

- Takich bardzo dużych, okrągłych. Jak na filmach amerykańskich, noszą policjanci.

Zerknąłem porozumiewawczo na Kubę.

- Czyli przyciemnianych, przeciwsłonecznych?

- A jakże, panie detektyw - spojrzał na nas zaskoczony. - A skąd pan wie?

- Domyślam się, że przyjechał luksusowym, białym samochodem z obcą rejestracją. Czy tak?

- Jakbyś pan tu był - potwierdził.

Zmrużyłem oczy.

- Kierowca białego lexusa - mówiłem na głos do siebie - ucieka na widok wehikułu Pana Samochodzika, potem przyjeżdża do Elbląga i interesuje się dirhemami. To musiał być on...

- A jeszcze jedno, panie detektyw - wtrącił gospodarz. - Ten przystojniaczek pytał też o pana.

- Otworzyłem szeroko usta.

- O mnie?

- A tak, opisał pana samochód i prosił, żeby powiadomić, jak się pan pojawisz.

- I co pan na to?

- Nic się ode mnie nie dowiedział. Przecież pan się normalnie przedstawił, że pan jest detektyw z Ministerstwa Kultury i tym podobne. A on nic o sobie mi nie powiedział, tylko że ma pieniądze i jak trzeba, to zapłaci. Ja tam takim, panie detektyw, nie ufam. W życiu takich spotkałem na pęczki, to cwaniaczki i złodzieje.

- Słusznie - odrzekłem. - Czy ten gość się panu przedstawił?

- Chyba tak, ale zabij mnie pan, a nie zapamiętałem nazwiska.

Zniechęcony pokręciłem głową.

- Jak w takim razie miał się pan z nim skontaktować i powiedzieć mu o mojej wizycie?

- Dał mi swoją wizytówkę - powiedział gospodarz i nerwowo zaczął się rozglądać po swoim biurku i porzucanych wszędzie książkach, kartkach, fiszkach i papierzyskach, które zalegały kaśdy

centymetr kwadratowy powierzchni antykwariatu. Szybko się zorientowaliśmy, że w tej atmosferze twórczego chaosu czeka nas szukanie igły w stogu siana.

- A czy ma pan moją wizytówkę? - zapytałem sprytnie.

- Pewnie gdzieś tu jest - podrapał się w wysokie czoło i rozejrzał bezsilnie wokół.

- W takim razie proszę zatrzymać drugą - wyjąłem z torby kartonik ze swoim nazwiskiem i wręczyłem rozmówcy. Jak się spodziewałem, nawet na nią nie spojrzął, za to machinalnie włożył ją do kieszonki swojej marynarki. W tym momencie już wiedziałem, gdzie wędrują wizytówki antykwariusza.

- Czy mogę oprószyć pańską butonierkę?

- Butonierkę? - zdziwił się. - Ale oczywiście.

Wyjąłem z kieszonki plik kartoników i szybko zaczęliśmy je przeglądać. Nawet Kuba, zaintrygowany odkryciem, odwrócił wzrok od monitora i razem z nami przyglądał się wizytówkom.

Odłożyłem dwie swoje i po kolei czytaliśmy każdą z nich. Większość była pozostawiona przez miejscowych handlarzy antykami, muzealników i różnych lokalnych intelektualistów. Nagle w oczy rzuciła mi się najbardziej tandetna z nich.

68

- Jest! - zawołałem.

- Coś pan znalazł, panie detektyw?

- Tak myślałem - powiedziałem przyglądając się napisowi. - To on!

- Kto, panie?

Wziąłem sółty połyskujący kartonik w dłoń i głośno przeczytałem:

- „Jerzy Batura, T.W.B.A.” i numer komórki.

- Batura? - Kuba otworzył szeroko oczy. - Ten Batura?

- Tak - kiwnąłem głową. - Ten sam. Znany przemytnik dzieł sztuki i handlarz kradzionych antyków, mój największy rywal znów stanął mi na drodze. Batura interesuje się srebrnymi dirhemami. Tylko dlaczego?

- Kto wie? - wtrącił Kuba.

- Co gorsza, Batura już wie o naszym przyjeździe w okolice Elbląga i jest tylko kwestią czasu, aby zaczął nam rzucać kłody pod nogi.



- Chyba Œe wczeŒniej go zdemaskujemy.

- Albo jego wspólników na wykopaliskach w Truso - dodałem.

- A co oznaczają te litery? - zapytał znieczeka antykwariusz. - T.W.B.A.

- Hm - zastanowiłem się - wygląają na jakiś skrót. Być moŒe to nazwa jakiejś spółki lub instytucji, pod której szyldem ten oszust prowadzi w Elblągu swoje ciemne interesy?

- MoŒe „B” w tym skrótce oznacza wlaŒnie Baturę? - stwierdził raczej niŒ spytał Kuba.

Kiwnąłem energicznie głową.

- Œwietny trop. To bardzo moŒliwe, a wtedy pozostałe litery oznaczałyby jego wspólników.

Antykwariusz wstał z krzeŒła i wziął ode mnie wizytówkę.

- W takim razie pozostają nam litery T, W i A. Czy znają panowie ludzi, którzy szukają arabskich monet, a których nazwiska zaczynają się od tych liter?

- SpojrzeliŒmy z Kubą na siebie. Najwyraźniej obaj pomyŒleliŒmy o tym samym.

- Jeszcze nie - odpowiedziałem po chwili - ale być moŒe niedługo ich poznamy.

- Oby, panie, jak najszybciej. Sam jestem ciekaw, kto i w jakim celu wykupuje dirhejmy. Pół

nocy tu siedziałem i szukałem w sieci odpowiedzi. Bo jak ja, panie, jestem ciekaw, to naprawdę chcę wiedzieć. I nie popuszczę!

ZaŒmiałem się głoŒno. Zaczynałem lubić tego jowialnego pana, który Œyjąc ciągle przeszłością nie boi się korzystać z osiágnięć nowoczesnej techniki.

- No wlaŒnie - pociągnąłem temat. - I co pan tam znalazł?

- Ano, panie detektyw, same niejasności - odpowiedział poprawiając swoje grube okulary. -

Dirhejmy na wszystkich aukcjach wykupione. Wszyscy znajomi numizmatycy, gdy się o tym dowiadują są niezmiernie zdumieni. I nikt nie wie, dlaczego nagle jest na nie takie zapotrzebowanie. Œadna ze Œlynnych giełd numizmatycznych ani przez Internet ani przez poŒredników nie skupuje tych monet. A jednak znikają.

- Zatem nic nowego? - spytałem retorycznie.

- WlaŒciwie to coŒ znalazłem - niespodziewanie na twarzy antykwariusza pojawił się dziwny uŒmieszek. - Ale sprawa jest nadal bardzo zagadkowa.

- Sprawa? - spojrzeliŒmy na niego uwaŒniej.

- Siedziałem wczoraj przy tej maszynie, to znaczy przy moim komputerze i gawędziłem sobie na specjalnym czacie dla miłośników starych monet. Na całe szczęście na drugim końcu długiego kabla, który spokojnie sobie leży na dnie Atlantyku, znajdował się mój stary przyjaciel z Nowego Jorku, pan Michael Watkins. Jest to, panie, profesor uniwersytecki, co prawda już na emeryturze, ale nadal wybitny numizmatyk, znawca monet średniowiecznych. Cierpliwie wczytywał się w moją 69

niedoskonałą angielszczyznę, ale zrozumiał, w czym tkwi zagadka, więc szybko uderzył do swoich przyjaciół z całego świata. To znaczy uderzył przez Internet.

- I co? - z otwartą buzią słuchał go Kuba, który doskonale wiedział od swojej mamy, jak bardzo potrzebna jest znajomość języka angielskiego.

- Mister Watkins - kontynuował antykwariusz - mój stary przyjaciel, jak już panom wspominałem, skontaktował się przez komunikator internetowy między innymi z jakimś panem Czangiem z Honkongu, który mu napisał, że widział na jakimś forum ogłoszenie poszukiwacza średniowiecznych monet arabskich i że było to chyba na jakiejś stronie skandynawskiej. Pan Watkins poprosił pana Czanga, aby poszukał tego forum i rzeczywiście po kilkunastu minutach pan Czang odnalazł na stronie Szwedzkiego Stowarzyszenia Numizmatycznego to ciekawe ogłoszenie.

- I co, i co?

- Pan Czang szybko wysłał e-maila do doktora Bjoernsena, prezesa tego stowarzyszenia, a tak się świetnie złożyło, że doktor Bjoersen miał ze sobą laptopa z bezprzewodowym łączem internetowym, chociaż akurat przebywa na wakacjach na wyspie Hiva Oa w Polinezji Francuskiej.

A ponieważ doktor Bjoersen bardzo lubi pana Czanga, poprosił go, żeby dał mu pół godziny, bo akurat na Pacyfiku jest świetna fala do surfingu i zaraz potem poszuka bliższych informacji na temat tego ogłoszenia.

- Przeszła fala i co?

- I rzeczywiście o drugiej w nocy naszego czasu, chociaż na Hiva Oa grzało w najlepsze słońce, doktor Bjoersen, posługując się znanym tylko sobie hasłem, wszedł do pamięci archiwalnej głównego serwera swojego stowarzyszenia i znalazł tam informację, że ogłoszenie to opublikował dwa miesiące temu niejaki pan Svensen, przedstawiciel szwedzkiej filii znanego Domu Aukcyjnego Herza.

- Herz? - pomyślałem głośno. - Rzeczywiście słyszałem o nim. Zdaje się że mają nawet filię w Warszawie.

- Doktor Bjoersen - ciągnął jednak gospodarz - natychmiast porozmawiał z panem Svensenem i zapytał go, skąd pomysł na tak nietypowe ogłoszenie.

- Zadzwoił do niego? - nie chciało mi się wierzyć. - Przecież był środek nocy, na pewno go obudził.

Antykwariusz wesoło zarechotał.

- Nie musiał do niego dzwonić do Szwecji. Tak się złożyło, że pan Svensen przebywa teraz na wakacjach w tym samym hotelu na Hiva Oa co doktor Bjoernsen. Obaj są miłośnikami pływania na desce. I obaj byli akurat na tej samej plaży.

- I co z tym ogłoszeniem? - pytał Kuba.

- Pan Svensen wyjaśnił, że zamieścił je na życzenie samego pana Herza, właściciela owego Domu Aukcyjnego. Pan Herz przypadkiem przy tym napomknął, że ich bardzo bogaty klient poszukuje właśnie srebrnych dirheimów z IX lub X wieku, najlepiej z wybrzeża Bałtyku.

- Bałtyku? - zdziwililiśmy się.

- Tak powiedział pan Herz panu Svensenowi. Ale najciekawsze jest to, że na drugi dzień pan Svensen otrzymał z głównego biura swojej firmy polecenie, aby ogłoszenie z forum natychmiast usunąć, ponieważ, jak się wyraził, „sprawa musi się odbyć w trybie niejawnym”. Niestety, a dla nas na szczęście, pan Svensen był już wtedy tak pochłonięty przygotowaniem do wyjazdu na wakacje, że zapomniał i o Herzu, i o ogłoszeniu, i o wszystkich arabskich monetach.

- Aż mu przypomniał doktor Bjoernsen pomiędzy jednym a drugim surfem - uprzedziłem.

- Tak, panie detektyw. I doktor Bjoernsen wysłał e-maila do pana Czanga. Pan Czang powiadomił przez ichnie gadu-gadu profesora Watkina, mojego przyjaciela. Watkins natomiast na 70

czacie opowiedział mi o tym wszystkim, co ja wam tu teraz przedstawiam. I co pan na to, panie detektyw?

- „Sprawa musi się odbyć w trybie niejawnym”? - powiedziałem głośno do siebie, chociaż

przed oczami miałem raczej wakacje na Hiva Oa, Bora-Bora lub chociażby we Władysławowie.

- Co to znaczy „w trybie niejawnym”? - spytał Kuba.

- Przypuszczam - wyjaśnił antykwareusz - że klient Domu Aukcyjnego zażyczył sobie pełnej dyskrecji przy poszukiwaniu monet i jest ono zlecone tylko najbardziej zaufanym współpracownikom pana Herza.

- Na przykład Baturze? - Kuba niespodziewanie się oświł. - Czy Batura jest tu z polecenia Herza?

- Kto wie? - powiedziałem.

- Rzeczywiście - potwierdził antykwareusz - istnieje takie prawdopodobieństwo, chociaż

raczej niewielkie. Możliwe, że pan elegancik Batura przypadkowo znalazł ogłoszenie na szwedzkiej stronie albo współpracuje bezpośrednio z tym bogatym klientem Herza i niezależnie od Domu Aukcyjnego szuka monet. Może gdybyśmy wiedzieli, kim jest ten tajemniczy bogacz, to co innego...

- Tak - dodałem - to zbyt śmiała teoria.

- A jednak - krzyknął Kuba - jest coś, co łączy pana Baturę z Domem Aukcyjnym Herza.

Zmarszczyłem ze zdziwienia brwi.

- Łączy?

- Proszę spojrzeć!

Kuba wskazał na monitor Macintosha i z zadowoloną miną obserwował naszą reakcję. Duży napis w języku niemieckim witał na stronie internetowej „Domu Aukcyjnego G. Herza i Wspólników”. Migające reklamy zachęcały do przyłączenia się do licytacji albo przejrzienia innych atrakcji oferowanych przez firmę. Oczywiście Źadne z ogłoszeń nie nawiązywało do bałtyckich dirhemów. Ani układ graficzny ani treść nie wyróżniała tej strony spośród innych witryn.

- Co masz na myśli, Kubo? - spytałem.

- Proszę spojrzeć - wskazał palcem na pasek z adresem internetowym i zatrzymał się na dwóch ostatnich literach, czyli domenie, która oznacza kraj pochodzenia strony. I nie był to, jak byłem do tej chwili święcie przekonany symbol „.de”, lecz jak najwyraźniej dwie literki „.at”.

- Austria! - wykrzyknąłem dokładnie jak dzień wcześniej na stacji w Małdytach. - Dom Aukcyjny pana Herza ma siedzibę w Wiedniu.

- Oczywiście - powiedział trzeźwo antykwariusz. - A pan myślałeś, Źe gdzie?

- A Jerzy Batura - dodałem zadowolony - przyjechał samochodem z austriacką rejestracją. On szuka dirhemów i oni szukali dirhemów. Oto właściwy trop.

- MoŜe to zbieg okoliczności? - antykwariusz nie tracił zimnej krwi.

- To jeszcze nie wszystko - Kuba znów wskazał na ekran. - Na wszelki wypadek sprawdziłem zawartość strony i znalazłem to!

Na jednej z zakładek internetowej strony firmy pana Herza i wspólników, w prawym dolnym rogu, znajdował się niewielki obrazek. Przedstawiał on piękne białe auto, limuzynę o sportowym charakterze, z kocimi tylnymi światłami, alufelgami i przyciemnianymi szybami. Kuba nie musiał powiększać tego obrazka (chociaŜ i tak „na wszelki wypadek” to zrobił), Źebym rozpoznał w nim lexusa GS 300. Takiego samego, jakim przyjechał z Wiednia do Truso Batura. A właściwie nie takiego samego. To było dokładnie to samo auto.

„Nagroda dla najlepszego kontrahenta” - przeczytałem podpis pod obrazkiem. - Panu Herzowi i jego klientowi musi bardzo zaleŜeć na elbląskich dirhemach, skoro wysyłają przez pół

Europy swojego „najlepszego kontrahenta” i dają mu swój najlepszy samochód.

- A może - spytał Kuba - pan Batura się w końcu ustatkował i znalazł sobie uczciwą pracę, zgodną z jego zainteresowaniami i zdolnościami?

Pokręciłem głową.

- Batura? Prędzej urzędnicy Ministerstwa Kultury i Sztuki będą jeździć takimi lexusami, niż z Batury ktoś zrobi skruszonego syna marnotrawnego. On zawsze dąży do celu po trupach!

Gdy wykrzykiwałem ostatnie słowa, twarz mojego pomocnika nabrała zielonego odcienia bladości, a jego wzrok, do tej pory rozkojarzony, zastygł nagle niczym poddana hartowaniu stal.

- Co się stało?

- Bbbazzyli i Ru...ru...fus - wymamrotał.

- Co z nimi?

- Po tru...tru...pach?

Poklepałem go po ramieniu.

- Eee, z tymi trupami to tylko przenośnia. Nie słyszałem, żeby Batura dopuścił się kiedykolwiek zbrodni. Ale - podrapałem się za uchem - poniekąd twoje obawy są słuszne. Nie wiadomo, do czego jest zdolny ten człowiek. Musimy ostrzec Rufusa i Bazylego, żeby pod ładnym pozorem nie zdradzili Baturze swojej tożsamości.

- Wyjąłem z torby telefon i spojrzałem na monitor.

- Jest SMS! - zawołałem. - Musiał przyjść, gdy jechaliśmy samochodem.

- Od nich? - Kuba spytał niecierpliwie.

- Tak, wysłany z twojego telefonu. Czytaj - podałem mu aparat.

- Nic wielkiego - przeciągał Kuba - bardzo krótka wiadomość. Czy oni nie wiedzą, że w SMS-ie można zmieścić sto sześćdziesiąt znaków, a jak się dobrze upchnie...

- Czytaj pan! - antykwariusz aż wstał z miejsca.

- Już czytam. „Znaleźliśmy go” - odczytał Kuba, po czym w milczeniu wpatrywał się w ekranik.

- I co dalej? - spytałem.

- Nic, tylko tyle.

Nie mogłem uwierzyć.

- Tyle?

- Właśnie tyle. Czternaście znaków. Znaleźli lexusa o jedenastej czterdzieści lub wcześniej, bo o tej wysłali wiadomość.

- Szybko się uwinęli - powiedziałem, po czym bez ceregieli wyrwałem Kubie z rąk telefon. -

Zadzwońmy więc i dowiedzmy się czegoś więcej.

Wybrałem z ksiągki adresowej numer Kubie i usłyszałem znany każdemu użytkownikowi telefonii komórkowej komunikat niedostępności abonenta.

- Wyłączyli? - spytał nieśmiało Kuba.

- Prawdopodobnie. Mam nadzieję, że nic im się nie stało.

Kuba machnął ręką.

- Pewnie się gdzieś zaczaili na Baturę i nie chcą, żeby ktoś usłyszał dzwonek. Rufus to antytalent do komórek. Nie umiał wyciszyć, to wyłączył.

- Miejmy nadzieję, że się znowu gdzieś nie potopili - mruknąłem. - Albo że nie stało się coś gorszego...

- Jedziemy ich szukać w Stegnie, panie Pawle?

- Nie, musimy natychmiast jechać do Janowa i zdążyć na spotkanie z hrabią. Nie mamy wiele czasu. Batura wie o naszym pobycie na łąkach, ale prawdopodobnie nie jest świadomy, że 72

mamy już tak dużo wiedzy na jego temat. Dlatego monety cały czas giną z wykopalisk, a on jeździ po antykwariatach i jawnie o nie wypytuje. Musimy jak najszybciej zdemaskować jego wtyczkę na stanowisku. A co do Rufusa i Bazylego, czekamy na kolejną wiadomość.

Kuba westchnął głęboko.

- Oby nadeszła.

73

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**KTO JEST WTYCZKĄ BATURY? • HRABIA I PAN „A” • WRAKOWISKO • CZY**

**PODRÓŻ W CZASIE JEST MOŚLIWA? • HISTORIE SENTYMENTALNE HRABIEGO •**

**KUSZĄCA PROPOZYCJA**

Do Janowa Pomorskiego na spotkanie z archeologami wracałem z mieszanymi uczuciami. Z

jednej strony cieszyłem się z faktu odkrycia powiązań Batury z Domem Aukcyjnym Herza i kradzieżą srebrnych dirhemów. Nie mogłem się też doczekać poznania kolejnych bywalców stanowiska archeologicznego pana Jagody. Podskórnie czułem, że zbliżyłem się o kilka kroków do rozwiązania zagadki. Z drugiej jednak strony ogromnie zaniepokoiło mnie, choć nie dawałem tego po sobie poznać, kolejne zerwanie kontaktu z Rufusem i Bazylim. Niestety - dręczyłem się - to było nieodpowiedzialne posunięcie, które na dodatek może nic nie wnieść do sprawy.

Z nieba lał się śnieg. Temperatura z pewnością przekraczała trzydzieści stopni w cieniu. Jakby na złość na horyzoncie nie widać było nawet najmniejszej chmurki. Kuba siedział przy otwartym oknie wehikułu i delektując się przewiewem nucił przebój tegorocznego lata, w którym mało znana mi piosenkarka co jakiś czas wołała „mam już dość twych kłamstw”. Ja też już miałem dość kłamstw Jerzego Batury i jego kumpli.

- Wiesz co? - powiedziałem ścisząc radio. - Myślę o chłopakach.

- Ja też.

- Batura to niebezpieczny typ.

- Może na wszelki wypadek zadzwońmy po policję?

- Policję? Po co?

- Szybko odnajdą w Stegnie lexusa, uwolnimy chłopaków i uchronimy dirhemy. Mamy przecież dowody, że interesuje się monetami, prawda?

- Batura bez wątpienia jest zamieszany w tę kradzież - odrzekłem. - Ale na razie nic mu nie możemy udowodnić. Brakuje nam ogniwa łączącego go z terenem wykopalisk. Nikt go tam nie widział ani nie znalazł jego śladów. Nie wiemy też, czy w nocy on sam chodzi po łąkach z wykrywaczem metali, czy też komuś to zleca. Wiele wskazuje, że to jego człowiek, który ma spore pojęcie o archeologii, bywa w Truso.

- O archeologii albo o numizmatyce.

- Właśnie - kiwnąłem twierdząco głową. - Poza tym ten wspólnik, o ile istnieje, musi widywać się z Baturą, żeby mu przekazywać skradzione przedmioty albo informacje o tym, gdzie ich szukać. Ale w pobliżu Janowa nikt nie widział białego lexusa. Pytałem kogo się dało.

- Może wtyczka Batury jeździ do Stegny?

- Kto wie?

- Czy ktoś z ekipy tam bywa?

- W Stegnie? - powiedziałem po chwili zastanowienia. - O ile wiem, Jagoda i Kasia rzadko

opuszczają stanowisko, a studenci spędzają wolny czas na rybach i piwku. Możliwe, że współnikami są Tworkowscy, którzy przyjeżdżają do Janowa tylko na noc. Być może widują się z Baturą właśnie w Stegnie. Kasia mówiła, że czasem zachowują się dziwnie i nie zapominaj, że ona podejrzewa właśnie ich.

- Mówiła też - przypomniał Kuba - że Tworkowscy nie opuszczają nocą obozu. A przecież wtedy doszło do kradzieży.

- Fakt - potwierdziłem. - Chyba że ich przyjazdy mają na celu rozeznanie się w sytuacji, a samych wykopów dokonuje Batura lub ktoś trzeci.

74

- A ten hrabia? - spytał Kuba po chwili zastanowienia.

- Jemu też musimy się przyjrzeć - orzekłem. - Podobno to nieszkodliwy staruszek, który interesuje się Truso ze względów sentymentalnych, a pan Jagoda liczy na jego wsparcie finansowe dla ekspedycji.

- To znaczy, że jest bogaty - zauważył Kuba.

- Tak, to potomek przedwojennych niemieckich właścicieli Janowa Pomorskiego. Nazywa się, o ile pamiętam, von Winkel.

- Tworkowscy, Winkel, Batura... - Kuba zadumał się przez moment - T.W.B...

Uśmiechnąłem się.

- Też mi to przyszło na myśl.

- Należy tylko odnaleźć „A” i zagadka rozwiązana! - wykrzyknął. - I na nic tu metody Rufusa!

Skrzywiłem się.

- Nie śpieszmy się tak z ogłaszaniem zwycięstwa. Co prawda mnie też to rozwiązanie wydaje się kuszące, ale mam wrażenie, że jest zbyt proste.

- Proste, ale jakie piękne.

- Słusznie - kiwnąłem głową - pięknie się wszystko układa w całość. Pamiętaj jednak, że jeśli ten trop jest prawdziwy, i tak musimy udowodnić powiązania grupy „T.W.B.A.” z kradzieżą monet w Janowie. Niezwykła zbieżność inicjałów do liter na wizytówce Batury nie jest przecież śladnym dowodem. Chyba czeka nas sporo pracy w terenie.

- W terenie?

- Tak. Obawiam się, że dzisiejszy dzień przyniesie nam dużo wrażeń. A i noc przed nami długa...



Kuba nie zdążył zapytać o szczegóły, ponieważ właśnie przejechaliśmy przez przejazd kolejowy w Janowie i wjechaliśmy na teren ekspedycji Truso. Nasz wehikuł zajął miejsce obok starego poloneza pana Jagody i nowego nissana jego asystentki. Tu obok był zaparkowany stalowoszary mercedes klasy E, o którym w pierwszej chwili pomyślałem, że przyjechał nim z Niemiec hrabia. Jednak samochód pochodził, jak informowały tablice rejestracyjne, z okolic Elbląga, co podpowiadało, że w Truso przebywa ktoś miejscowy.

Stanowisko sprawiałoby wrażenie opuszczonego, gdyby nie dwójka studentów, którzy leniwie dokonywali jakichś pomiarów. Snuli się w pogniecionych podkoszulkach, a na głowach mieli czapki z daszkiem i doczepionymi z tyłu chustkami, co nasunęło mi skojarzenie z kepi, jakie podczas upałów nosili żołnierze legii cudzoziemskiej. Rozejrzałem się w poszukiwaniu pozostałej części ekipy, gdy usłyszałem dochodzące z dużego namiotu odgłosy rozmowy. To trudny do wytrzymania skwar zatrzymał w nim archeologów i gości, choć, jak przypuszczałem, pora obiadu już dawno minęła.

Pierwszy zauważył mnie Jorvik. Naturalna u psa tej rasy nieufność do obcych szybko ustąpiła, gdy zorientował się, że jego pani potraktowała nas po przyjacielsku i głośne ujadanie zastąpił próbą oblizania nas od stóp po czubek głowy. Na szczęście Kasia, choć wyraźnie unikała rozmowy ze mną, wyratowała nas szybko z tej niezręcznej sytuacji i zaraz potem przeszliśmy z nią do namiotu.

- Jest pan Paweł Daniec - powiedziała, gdy weszliśmy. - Razem ze swoim młodocianym kolegą.

- Kubą - dodałem. - Witam panów.

- Witam, panie Pawle - Jagoda wstał i energicznie potrząsnął mą dłoń. - Musi pan poznać naszych gości.

75

Rozejrzałem się. Za stołem siedziało dwóch mężczyzn. Starszy z nich, wyraźnie po siedemdziesiątce, był ubrany w elegancko wyprasowane spodnie i koszulę, spod wykrochmalonego kołnierzyka wystawała gustowna apaszka. Był niewysoki i chudy, siwe włosy miał przerzedzone, a na haczykowanym nosie nosił połączone okulary. Na pomarszczonych, ale zadbanych dłoniach widniały dwa srebrne sygnety. Siedział wyprostowany i z godnością patrzył przed siebie. Nietrudno było zgadnąć, kim jest ten arystokrata.

Młodszy, okrągły na twarzy, ze sporym brzuszkiem, miał około czterdziestki i stanowił

przeciwieństwo hrabiego. Ubrany w markowy dres i sportowe buty ociężałe opierał się o stół.

Zaczesane na bok proste, czarne włosy nie były w stanie przyswoić ilości wydzielanego potu, który obficie spływał po niskim czole. Małe, rozkojarzone oczy wpatrywały się to we mnie, to w Kubę i zdradzały nerwowość człowieka, który wie, że znalazł się na niewłaściwym miejscu.

- Oto pan hrabia Gerhard von Winkel i jego przyjaciel, pan... - zastanowił się pan Marek. - Oj, że bym znów nie pomylił.

- Nic się nie stanie, jak się pan pomyli - powiedział towarzysz hrabiego. - Ja się już

przyzwyczajam. Nazywam się Jan Adamek. Moi goście hotelowi i tak mówią na mnie Adam albo Janek, albo jeszcze inaczej. Pan się nie przejmuje, panie naukowiec.

- Miło mi - podałem obu dłoni uważnie przypatrując się mężczyźnie, którego nazwisko zaczynało się dziwnym trafem na pierwszą literę alfabetu.

- Mnie również jest niezwykle miło - hrabia odezwał się po angielsku z twardym niemieckim akcentem. - Pan doktor Jagoda i panna Kattie wspominali o pańskiej wizycie. Pan tu przebywa na wakacjach, nieprawda? A w którym hotelu, jeśli wolno spytać?

- No właśnie - odezwał się również w języku Szekspira Adamek - bo chyba nie w moim dwugwiazdkowym „Latającym Holendrze”?

- O nie! - zaśmiałem się. - Wolę hotele, nad którymi świeci tysiące gwiazd. Rozbiłem tu niedaleko namiot razem z moimi przyjaciółmi.

- A to szkoda - Adamek nie dał za wygraną - bo u mnie i niedrogo, i przyjemnie. Szanowny pan hrabia już czwarty raz zaszczyił nas swoją obecnością, choć pewnie stać go na droższy pokój w Elblągu.

- Rzeczywiście, nie jest niemiło - odpowiedział dyplomatycznie - ale pański hotel wybrałem głównie ze względu na bliskość majątku, który niegdyś należał do mojego ojca. Zresztą ten pana

„Latający Holender” stoi na miejscu naszej powozowni.

Hotelarz rozłożył ręce.

- Nic na to nie poradzę, panie hrabio. Kiedy piętnaście lat temu kupiłem tę rudę, nie miałem pojęcia, że ktoś się zainteresuje tymi terenami. Nie wiedziałem nawet, że tu pod nosem coś z ziemi wygrzebią. Wszyscy mi mówili, że bym dał sobie spokój z tym hotelem, bo i miejsce liche, choć przy trasie, i pomysł niedobry. A teraz mogą mi pozazdrościć, bo coś czuję, że tu się złoty interes szykuje - zatarł z radości dłonie.

- Czy do pana - spytałem biznesmena już po polsku - należy ten obiekt w kształcie holenderskiego wiatraka, który stoi na górze po drugiej stronie „siódemki”?

- Tak jest - odpowiedział - to mój „Latający Holender”, dzieło mego syna, traf na loterii!

- A jaki złoty interes ma pan na myśli, jeśli mogę zapytać?

- Widzę, że pan nie w temacie. Bo my z panem hrabią i panem naukowcem już dwa tygodnie, dzień w dzień, omawiamy projekt budowy rekonstrukcji Truso. Nie słyszał pan o tym?

Zawstydził mnie, ale nie dałem po sobie poznać.

- Rekonstrukcji Truso? Coś mi się obilo o uszy.

- Taki drugi Biskupin? - wtrącił się Kuba.

76

- Świetnie, młody człowieku - powiedział Jagoda. - Traso zasługuje, żeby stać się nowym Biskupinem i nawet Biskupin prześcignąć. Nie ma w naszym kraju drugiego takiego miejsca, którego tak długo by poszukiwano i którego odkrycie było tak niezwykle dla nauki.

- To przecieŜ nasza Troja - zabłysnął wiedzą Kuba.

- Słusznie - zawołał Jagoda - mało jest w świecie miejsc tak legendarnych i ciekawych jak

„nasza Troja”. Dla nas, archeologów, i moŜe dla garstki miłośników, takich jak panowie, odkrywanie Truso jest niezwykłą przygodą. Każdey sezon przynosi nowe sensacje. Choćby w tym roku znaleźliśmy ślady osadnictwa z początku XI wieku. Znajdujemy fascynujące ślady wpływów wikińskich i duńskich. Nasza wiedza ciągle się poszerza. Znajdujemy skarby...

- Skarby? - pan Adamek zainteresował się tym tak niespodziewanie, że wzbudziło to salwę śmiechu.

- Oczywiście - kontynuował pan Marek. - Na przykład podczas badań sondaŜu I odkryliśmy skarb srebrnych dirhemów, który składał się z jedenastu całych i pięciu fragmentów tych monet. Jak oszacowała moja wybitna, choć - zerknął w stronę Kasi - niekoniecznie lubiana przez wszystkich, koleŜanka Teodora Tworkowska, ich data wybicia nie przekracza roku 830.

- I jakie jeszcze skarby? - pytał dalej Adamek.

- Wspominałem juŜ o wykopie K i szurfię H? - spytał nas Jagoda. - Odkryliśmy tam wrakowisko.

- Wrakowisko!? - wykrzyknął Kuba. - Niech pan o tym opowie!

- Lepiej chodźcie zobaczyć - powiedział archeolog, czym oderwał nas od stołu.

Podbiegliśmy w stronę trzcin okalających jezioro. Pierwszy Jagoda, oczywiście z podwiniętymi nogawkami, zaraz za nim Kuba. potem ja i pani asystent, a na końcu nieco otyły Adamek i sędziwy, choć Śwawy hrabia. Musieliśmy po drodze przeskoczyć nieduŜy rów napelniony wodą, co na ŗławach jest czynnością tak powszednią, jak przejście przez jezdnię na zielonym świetle w Warszawie. W końcu znaleźliśmy się na prostokacie odsłoniętej ziemi, czyli wlaśnie w wykopie K.

- Spójrzcie państwo - powiedział uczony - na te regularne zarysy.

- Nic nie widzę-powiedział szczerze Kuba. - Chyba tylko jakieś plamy.

- Te plamy w ziemi - wyjaśnił Jagoda - to zarysy średniowiecznych statków, którymi kiedyś być moŜe pływali po tych wodach duńscy wikingowie. Nie były to oczywiście te słynne długie, dwudziestometrowe „smoki”, z którymi najczęściej kojarzymy ich dalekomorskie podróŜe.

Pływając po wewnętrznych wodach Bałtyku, ówczalni Śeglarze o wiele częściej korzystali z takich

łodzi jak te. Spójrzcie na ich nautyczne kształty. Są długie na jakieś dziewięć metrów, a szerokie na trzy. Niektóre statki są naciągnięte na siebie, ale wyraźnie widać ich budowę. Co więcej, w dwóch przypadkach udało nam się uchwycić, na podstawie zarysu węgla drzewnego, pozostałości po klepkach, z których było zbudowane poszycie łodzi. Znaleźliśmy teŜ mnóstwo nitów Œelaznych, którymi je łączono, a poza tym wiele innych drobiazgów. Przypuszczam, Œe w tym miejscu znajdowała się niewielka zatoczka, w której składowano wraki starych łodzi.

- Rzeczywiście - powiedziałem - interesujące znalezisko.

Kuba przyglądał się ledwie widocznym dla niewprawnego oka zarysom.

- Szkoda - powiedział - Œe się nie moŜna przenieść w tamte czasy i zobaczyć, jak te statki naprawdę wyglądały. To by było dopiero ciekawe, zobaczyć wikingów, porozmawiać z nimi, pochodzić sobie po Truso, kupić coś za dirhema, zjeść jakąś rybkę...

- MoŜe sandacza? - ironicznie skomentowałem fantazje młodzieńca.

- Nie ma w tym nic dziwnego - trzeźwo powiedział Jagoda. - Sandacze jadano w Truso i to w duŜych ilościach. Siedemdziesiąt procent materiału ichtiologicznego, który odkryliśmy, to właśnie 77

szczątki tych ryb. A na ulicach i targach w Truso moŜna było spotkać Œwinie i krowy, czasem owce, koty, psy i róŜne ptactwo.

- Pan Samochodzik - wtrąciła Kasia - na pewno poŜałuje, Œe tu nie przyjechał.

Jagoda podszedł do Kuby i poklepał go po ramieniu.

- Jednak masz rację, młody przyjacielu. Zardzewiałe gwoździe i kawałki kości dla większości ludzi są nudne, jak flaki z olejem. Nikt nie przyjedzie do Janowa oglądać plam w ziemi. A przecieŜ

chcemy, Œeby nasze odkrycie przyciągnęło nie tylko specjalistów czy studentów archeologii.

Chcemy, Œeby Truso zaciekawiło wszystkich, którzy pragną się czegoś dowiedzieć o przeszłości, Œeby przyciągnęło młodzieŜ, turystów z kraju i zagranicy. Chcemy, by to wielkie odkrycie stało się atrakcją naszego biednego regionu, aby dało ludziom z byłych PGR-ów zajęcie, a przy okazji szerzyło wiedzę o Œuławach i regionie elbląskim.

- Myśli pan o muzeum? - spytałem.

- Panie Pawle, muzea to przeŜytek. Przykro mi, Œe to mówię najsympatyczniejszemu muzealnikowi, jakiego znam. Ale dziś do przyciągnięcia turystów potrzeba czegoś więcej niŜ

eksponatów z objaśniającymi je tabliczkami.

- Więc drugi Biskupin, rekonstrukcja grodu?

- Nawet coś więcej! - zawołał uczony. - Chcemy tu stworzyć rezerwat archeologiczny!

Oczywiście replika Truso to tylko początek tętniącego Śyciem centrum archeologii eksperymentalnej, miejsca festiwalu naukowych i projekcji multimedialnych. Chcemy zaciekać ludzi, aby mogli nie tylko obejrzeć stary garnek gliniany kultury wielbarskiej, ale zobaczyli, jak się go wytwarza, a nawet własnoręcznie wzięli w tym udział.

- JuŜ widzę umorusane w glinie ręce dzieciaków i miny ich rodziców - zaśmiałem się. - Ale pomysł jest ciekawy.

- W wiosce - ciągnął Jagoda - odtworzymy realia Śycia z IX wieku, aby chętni mogli przenieść się w czasie, zamieszkać tu i zakosztować Śycia sprzed wieków. Nasz młody przyjaciel Kuba rzeczywiście będzie mógł zajść do gospody zbudowanej według średniowiecznego projektu, gdzie usiądzie na niedźwiedziej skórce przy jednym stole z brodatym wikingiem, zapłaci pamiątkowym dirhemem i zje potrawę według przepisu jakiejś pani Trusowianki, a popije to miodem z pruskich bartni.

- O ile będzie pełnoletni - dodałem z uśmiechem.

- Mam nadzieję, Őe nasz projekt zrealizujemy pręcej - zapalił się jeszcze bardziej archeolog.

- W odbudowanym Truso powstanie wioska sztuki i rzemiosła. Czynne będą warsztaty rzemieślnicze, odtworzymy Śycie Őeglarzy, hodowców i rolników sprzed jedenastu stuleci. Dzięki temu pracę znajdzie wielu ludzi z okolicy. JuŜ teraz zachęcam mieszkańców Janowa i Komorowa, Őeby uczyli się wymarłych zawodów. Potrzebni będą kowale, cieśle, snycerze, garncarze...

- Kucharze, kelnerzy - Kubie najwyraźniej spodobał się pomysł.

- Truso moŐe stać się magnesem. Reszta naleŐy do takich ludzi, jak obecny tu pan Adamek.

Oni juŜ wiedzą, jak z tego skorzystać. A nam, archeologom, zapewni to środki na kontynuowanie prac wykopaliskowych. Bo z tym, niestety, krucho, a dwadzieścia hektarów czeka.

Jagoda nagle stracił ogień i zadumał się. Spojrzeliśmy za nim na rozciągające się wokół łąki.

Na razie nigdzie nie było widać rozkrzyczanych wycieczek młodzieŐy szkolnej. Wokół trawy i trzciny. Gdzieś w oddali poderwały się dwie czaple i kilka dzikich kaczek. Ale nic więcej.

Przypomniałem sobie wizyty na festiwalach archeologicznych, które we wrześniu kaŐdego roku Őciągają do Biskupina tłumy amatorów historii.

- Nie rozumiem jednej sprawy - po chwili refleksji zwróciłem się do Jagody. - O ile pamiętam, grodzisko w Biskupinie odsłonięto w dość szybkim czasie, chyba w dwa sezony.

78

Tymczasem w Truso prace trwają ponad dwadzieścia lat i końca nie widać...

Jagoda najwyraźniej posmutniał. Wstał znad wrakowiska i zaczął się oddalać w stronę namiotu. Podbiegłem wraz z Kubą do niego, a za chwilę dołączyła do nas reszta.

- Rzeczywiście - wyjaśnił po drodze archeolog - odkopaliśmy dopiero 30 arów, czyli niewielki ułamek całości. Nie tłumaczy tego nawet fakt, że stanowisko w Truso obejmuje obszar dziesięć razy większy niż słynne osiedle w Biskupinie. Chodzi o klimat.

- Czy w Truso był inny klimat? - wyrwał się Kuba.

- Klimat, czyli nastawienie do odkrycia. W latach trzydziestych, gdy dokonano odkrycia w Biskupinie, zrobiono z niego sprawę niemalże narodową. Był to czas, panie Pawle, gdy archeologia ściśle wiązała się z polityką. Kiedy na Kujawach odnaleziono tę osadę kultury łużyckiej z wczesnej epoki Żelaza, potraktowano ją jako dowód słowiańskiej tradycji tych ziem. Profesor Józef Kostrzewski, nasz największy przedwojenny archeolog, miał dużo łatwiejsze zadanie niż my.

Szybko znalazły się fundusze i wsparcie ośrodków naukowych, a co za tym idzie setki rak do pracy.

Na fali powszechnego entuzjazmu powstało miejsce, którym się szczycimy do dziś, chociaż tamta ideologia dawno przeminęła.

- A Truso? - spytałem.

- Czasy się zmieniły. Setki Biskupinów czeka w kolejce niemal w każdym zakątku kraju. Dziś nie ideologia decyduje o powodzeniu ekspedycji.

- A co?

Niespodziewanie do Jagody podeszła Kasia i niczym córka pogłaskała go po siwej brodzie.

- Pasja i niegasnący optymizm takich ludzi - powiedziała. - Pan Marek na przekór wszystkim wierzył, że znajdzie Truso i je znalazł. Przez dwadzieścia lat szukał na to dowodów w Janowie i za ich pomocą przekonywał uczonych z całego świata. I udało mu się ich przekonać. I tak samo będzie z tym rezerwatem archeologicznym. Jestem o tym przekonana!

- Gdyby nie pani wsparcie, pani Kasiu...

Przyglądałem się tej dziwnej parze naukowców. Z godziny na godzinę podejrzania, które kierowałem w stronę Kasi topniały, jak krawędź lodowa na wiosnę. Wyglądała na osobę oddaną swej pracy z najszlachetniejszych pobudek. Jagoda darzył ją najgłębszym zaufaniem, co zauważał każdy, z kim rozmawiałem. A jednak nie potrafiłem do końca pozbyć się dystansu czy też może ostrożności. Bo czy można było zapomnieć o podrzuconym dirhemie, porannej ucieczce i dziwnych aluzjach do pana Tomasza?

Tymczasem wróciliśmy do serca obozu archeologów, czyli centralnego namiotu. Studenci, zmęczeni słońcem, leżeli w jego cieniu, a zachęcony ich przykładem Jorvik zaszył się gdzieś głęboko w trzcinach. Kuba dołączył do Jagody i jego asystentki, którzy poszli obejrzeć świeżo znalezione ślady duńskiego osadnictwa. Wraz z hrabią i biznesmenem weszliśmy do namiotu, aby napić się zimnego kompotu z rabarbaru.

Gdy usiedliśmy, zagadnąłem hrabiego:

- To miłe, Œe zamierza pan wesprzeć projekt pana Jagody.

- Cóż - westchnął - właściwie przyjechałem na Œulawy w zupełnie innym celu. Tak się jednak zŒyłem z panem Markiem i panną Kattie, Œe chyba juŒ traktuję ich jak własne dzieci. Zwłaszcza, Œe tak dbają o ziemię, która mnie wychowała.

- Cóż w takim razie pana tu przywiodło?

Hrabia zdjął z nosa pozłacane okulary i chusteczką otarł wilgotne oczy.

- Wspomnienia, szanowny panie, wspomnienia. SzeŒćdziesiąt lat temu jako dwudziestoletni chłopak musiałem zostawić kraj swego dzieciństwa i wyruszyć w podróż, która nigdy się dla mnie

nie skończyła. Pięć lat temu przyjechałem jednak odwiedzić te strony i coŒ we mnie drgnęło. I tak mnie tu ciągnie co roku. Jestem starym człowiekiem i chciałbym ocalić coŒ z tamtych czasów dla przyszłych pokoleń.

- Panna Kasia wspominała, Œe rodzina von Winkel była przed wojną właścicielem dóbr w Janowie. Dzieje pańskich przodków muszą być niezwykle ciekawe.

- O tak - w jego oczach coŒ zaiskrzyło. - Mieszkaliśmy tu niemal pięćset lat.

- Kawałek historii - wtrącił pan Adamek, który przysłuchiwał się rozmowie prowadzonej po angielsku.

- Mój protoplasta, szlachcic małopolski imieniem Zygfryd Więcel herbu Półkozic, wsławił się niezwykle w walkach na Podolu. W nagrodę otrzymał od króla Jana Olbrachta majątek w Prusach Królewskich. Jeszcze w XVII wieku familia Więclów stała się jednym z największych posiadaczy Œywnych ziem Œulawskich, między innymi tych gdzie teraz siedzimy. Z czasem Więclowie stali się von Winkelami i, jak większość tutejszej szlachty, ulegli germanizacji. Pamiętam z dzieciństwa, Œe w latach trzydziestych w mojej rodzinie w ogóle nie wspomniano o polskich korzeniach. A potem przysły cięŒkie czasy, ale panowie są zbyt młodzi, Œeby coŒ o tym wiedzieć.

- Panie hrabio - zaprotestowałem - znamy historię i wiemy doskonale, co spotkało mieszkańców Prus Wschodnich w 1945 roku.

- Tak - pokiwał głową - miałem trzynaście lat, gdy w styczniu trzeba było uciekać przed Armią Czerwoną. Wzięliśmy ze sobą kilka tobołków załadowanych na wóz konny, ale i tak najcenniejsze rzeczy zostały na miejscu.

- I są pewnie gdzieś ukryte? - spytał biznesmen.

Hrabia machnął ręką.

- Mnie chodzi o pamięć, o wspomnienia. A zresztą te wszystkie „skarby”, które ze sobą zabraliśmy, teŒ na nic się zdały. Straciliśmy je po drodze. Przechodziliśmy, jak wszyscy, przez zamarznięty Zalew ŒwieŒy...

- ŚwieŚy? - zdziwił się Adamek.

- WiŚlany - wyjaśniłem.

- MoŚe i tak go nazywacie - ciągnął hrabia - ale lód był zbyt cienki i załamał się pod cięŚarem wozu. Ledwie uszliśmy z Śyciem, choć niestety nie wszyscy. Na wozie spała moja dziesięcioletnia siostrzyczka. JuŚ nigdy się nie obudziła.

- Przykro mi.

- Reszta mojej rodziny teŚ była w niebezpieczeństwie. Front posuwał się błyskawicznie, zapasy Śywności szybko się skończyły, a zima była wyjątkowo mroźna. Na szczęście mieliśmy ze sobą taki gliniany garnek ze smalcem. To był nasz prawdziwy skarb, bo dzięki niemu ocaliliśmy Śycie. Od tamtej pory nie Śal mi straconego majątku i nie wróciłem do Janowa go szukać. Szukam tu wspomnień szczęśliwego dzieciństwa.

- Mam nadzieję - powiedziałem - Śe pobyt w Janowie, gdzie na ziemiach pańskich przodków odkryto legendarne Traso, pozostawi równie miłe wspomnienia.

Hrabia uśmiechnął się.

- O poszukiwaniach Truso słyshałem juŚ jako młody chłopak, jeszcze przed wojną.

- Naprawdę? - otworzyłem ze zdumienia szeroko oczy.

- Czy słyshał pan nazwisko Max Ebert?

Podrapałem się w czubek głowy. Coś mi się kojarzyło, ale co? Spojrzałem na Adamka, który nawet nie próbował zgadywać, lecz czekał dalszego ciągu opowieści hrabiego.

- To był wielki archeolog niemiecki, który po pierwszej wojnie Światowej prowadził w tych stronach badania. Szukał w okolicach Elbląga zaginionego Truso i był często gościem mojego ojca.

80

Czasem dyskutowali do późnej nocy nad teoriami, które dla mnie były czymś równie bajkowym, co walkirie i Walhalla z oper Wagnera. Wędrówki ludów germańskich, bitwy Gotów z Hunami nad Wisłą czy Dunajem, starogermańskie eposy Nibelungów, Wandalowie, wikingowie i oczywiście jakieś Truso, którego wszyscy szukali i nikt znaleźć nie mógł. Taki był klimat lat dwudziestych, drogi przyjacielu. Nic dziwnego, Śe archeologów traktowaliśmy jak bohaterów, którzy raz na zawsze udowodnią niemieckość ziem, na których Śyliśmy.

- Mam nadzieję - wtrącił po polsku pan Adamek - Śe ta głupota się juŚ nie odrodzi.

Hrabia udał, Śe nie rozumiał.

- Czasami - ciągnął dalej - profesor Ebert zabierał mnie ze sobą w teren, choć byłem pędrakiem i



niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. Pamiętam wypad do miejscowości zwanej Weklitz. Profesor Ebert znalazł tam jakąś germańską osadę i przypuszczał, że może to być właśnie cel jego poszukiwań. Czy był pan kiedyś w Weklitz, panie Pawle?

- Nie, nie byłem w Weklitzach. Słyszałem tylko od pani Kasi, że prowadzą tam badania państwo Tworkowscy.

- Niech pan tam koniecznie pojedzie. Zauważyłem, że śląawy bardzo się panu spodobały.

Osada odkryta przez Eberta znajduje się na niewielkim wzgórzu, z którego rozciąga się malowniczy widok na Nizinę śląawską i jezioro Drużno. Goci, którzy przybyli tu ze Skandynawii w III czy IV

wieku wybrali piękne miejsce na swoją osadę. Piękne i praktyczne, bo ze świetnym i punktem obserwacyjnym na południowy zachód. Mieli mieszkańców tych ziem jak na dłoni. Oczywiście Max Ebert nie znalazł tu legendarnego Truso. Laury za to odkrycie musiały poczekać na pana Jagodę.

- Jak rozumiem - podsumowałem - to właśnie wspomnienia z dzieciństwa skłaniają pana do codziennego odwiedzania stanowiska w Janowie.

- Istotnie - potwierdził hrabia. - Poprzedniego lata pan Marek zainteresował mnie projektem rekonstrukcji osady. Przez rok rozważałem wszystkie za i przeciw. Teraz razem z panem Adamkiem poważnie rozmawiamy o inwestycji.

- Tak - zatarł dłonie Adamek - mam nadzieję, że wyciągniemy z Truso sporo grosza.

Wywołani przez Marka Jagodę wyszliśmy z hrabią i Adamkiem z namiotu. Skierowałem się w stronę Kasi i Kuby. Natomiast obaj goście pokręcili się kilka minut po stanowisku. Widząc jednak, że nikt z gospodarzy nie poświęca im uwagi, wsiedli do srebrnego mercedesa i odjechali w kierunku „Latającego Holendra”.

Jeśli oni, panowie Winkel i Adamek, mieliby tworzyć razem z Baturą i Tworkowskimi grupę przestępczą „T.W.B.A.” to albo byli świetnymi aktorami, albo ten trop był fałszywy. Hrabiego nie interesowały ani srebrne arabskie monety, ani w ogóle łatwe znalezione artefakty. Jeśli już coś się kryło za jego tkliwą historią, to najwyżej germanofilskie resentymy. Natomiast pan „A” w ostateczności mógłby być w tej grupie kasjerem lub księgowym.

Skoro nie goście, to może jednak ktoś z ekipy?

Na placu dostrzegłem Bigosa i Kugla, którzy nie pilnowani przez nikogo leniwie płukali w basenie dzisiejsze odkrycia. Niby przypadkiem zajrzałem im przez ramię i dostrzegłem wśród drobnych znalezisk dwie czy trzy poczerńnięte monety, dokładnie takie same, jak ten podrzucony mi wczoraj przez Kasię. Czy byłaby lepsza sposobność ukraść dirhemy? A jednak monety leżały grzecznie w rzędki z innymi drobiazgami. Przypomniałem sobie te, że ci młodzieńcy mieli alibi na dzisiejszą noc. Wrócili jeszcze przed porą kradzieży i do późnej nocy hałasowali w swoim namiocie, co wyraźnie słyszała czujna pani asystent.

Więc może Tworkowscy? Antropolog i numizmatyczka. Według Jagody tropią ślady 81

osadnictwa Gotów i wikingów nad południowym Bałtykiem. Według Kasi tropią działania ekipy archeologów, żeby donosić złodziejowi. Pewne jest tylko to, że tropią. Zbyt mało czasu spędzają w Janowie, bywają tu głównie nocą, a za dnia wędrują po okolicznych stanowiskach. Chociaż z drugiej strony są każdej nocy, więc wtedy, gdy dochodzi do kradzieży. Poza tym wystarczy tylko jedno spojrzenie ich fachowym okiem, żeby Batura nocą wiedział, gdzie szukać dirhemów. Kto wie, czy za dnia rzeczywiście pochłania ich praca naukowa? Według Kasi ich zachowanie bywa czasem dziwne. Co właściwie ona ma na myśli? I szczerze mówiąc, czy to właśnie jej zachowanie nie wzbudza moich największych wątpliwości?

Panna Kasia pokazywała właśnie Kubie, jak oznacza się warstwy stratygraficzne.

- Obawiam się - zagaiłem - że będę musiał pozbawić panią towarzystwa tego młodzieńca.

Mamy jeszcze dziś zaplanowany krótki wypad nad morze.

- Nad morze? - powiedziała zdziwiona i zwróciła się w moją stronę.

- Jedziemy do Stegny, może wybierze się pani z nami?

Kuba niemal zbaraniał, gdy to usłyszał.

- Ciekawa propozycja - odpowiedziała bez cienia zaniepokojenia, a za to z figlarnym uśmiechem - lubię Stegnę, zwłaszcza w taki upał.

- Więc?

- Niestety, będę musiała odrzucić tę kuszącą propozycję. Mam dziś dużo pracy. Ciągle czekam na nowe zdjęcia geomagnetyczne stanowiska. Miały być już wczoraj, czekałam dziś rano.

Mogą przyjechać w każdej chwili. Muszę być na miejscu.

- Tak mi przykro - odpowiedziałem z wyraźnie sztuczną kurtuazją - proszę jednak pamiętać, że zawsze jestem do pani usług.

W tym momencie Kasia parsknęła śmiechem.

- Co się stało? - spytałem zbity z tropu.

- Przed chwilą pan Adamek próbował zaprosić mnie w taki sam sposób.

- Tak?

- Dokładnie. I tak samo zakończył: „Jestem do pani usług”.

- Czy często zaprasza panią do swojego „Latającego Holendra”?

- Nie - wzdrygnęła się - on wcale nie chciał, żeby pojechała z nim do jego hotelu. Na to nie ma szans w najbliższej dekadzie! Pan Adamek złożył mi taką samą propozycję jak pan, panie Pawle. Choć mam nadzieję, że panem kieruje chęć rozwiązania nurtującej nas zagadki.

- To i tylko to kryło się w moim pytaniu - zapewniłem szczerze. - Po prostu chciałem spokojnie porozmawiać.

- Panie Pawle - wtrącił niespodziewanie blady jak ściana Kuba - pani Kasia właśnie powiedziała panu, że ten biznesmen złożył jej „taką samą propozycję”. Czy pan to rozumie?

- Nie bardzo.

- Dziesięć minut temu pan hrabia i pan Adamek pojechali do...

- Tak?

- Do Stegny - rzuciła od niechcienia pani Kasia i odwróciwszy się na pięcie, odeszła.

82

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

**E-MAIL DO PANA TOMASZA • RUFUS ZOSTAŁ W LEXUSIE • MOST ZWODZONY •**

**PRÓBA WODY • GOŃMY BATURE • MAJĄ ZDJĘCIE, NIE MAJĄ ŁOPAT**

W niewielkiej przymorskiej cukierni panował wakacyjny gwar. Sącząc powoli mocne espresso w milczeniu przyglądałem się letnikom stojącym w kolejce po lody. Sam już nie wiem, czy szukałem w ich beztrzęsłym uspokojeniu rozkołatanych myśli, czy może natchnienia do dalszych poszukiwań. Kuba najwyraźniej ciągle jeszcze wierzył w szybkie odnalezienie Rufusa i Bazylego.

Biegał na zewnątrz od jednego plażowicza do drugiego pytając a to o chłopaków, a to o luksusowe auto z austriacką rejestracją. Powoli mijało gorące popołudnie i zbliżające się nieuchronnie ochłodzenie wyganiało z plaży w Stegnie co bardziej delikatnych turystów. Stopniowo oswajałem się z myślą o przełożeniu poszukiwań na kolejny dzień.

Jakby tego było mało, obserwowanie hrabiego i Adamka nic nie wniosło do naszej misji, a tylko zdekoncentrowało działania mojej przerzedzonej ekipy. Panowie ci od kilku godzin siedzieli sobie przy stoliku w smażalni ryb położonej po drugiej stronie bulwaru. Z mojego miejsca doskonale ich widziałem, sam będąc niewidocznym. Namyślnie i długo o czymś ze sobą dyskutowali, choć oczywiście nie mogłem ich rozmowy słyszeć. Trudno było jednak wyobrazić sobie, że Adamka interesuje coś więcej niż tylko wyciągnięcie większej sumy euro od hrabiego. Jak się wydawało, czas poświęcony na obserwowanie tego oryginalnego duetu okazał się zmarnowany.

Najwyraźniej zbieżność miejsca ich rozmowy i pobytu Batury to czysty przypadek. W końcu każdy ma prawo skorzystać w taki sposób z orzeźwiającego morskiego powietrza.

A jednak...

Odstawiłem właśnie małą filiżankę na spodek, gdy z kieszeni marynarki dobiegł mnie krótki dźwięk. Otrzymałem SMS-a. Szybko wyciągnąłem telefon, przecieś każda informacja od chłopaków była na wagę złota.

O dziwo, wiadomość pochodziła od Pana Samochodzika:

*Jeś li masz już monetę (a myśl ją , że tak) prześ lij mi zdję cie awersu i rewersu na mój prywatny e-mail. Jak najszybciej. Tomasz.*

- O co chodzi? - powiedziałem pod nosem - Skąd on wie, że mam dirhema?

Zawołałem Kubę.

- To ciekawe - powiedział po przeczytaniu - jakby pan Tomasz czekał, a Kasia wsunie panu monetę do torby.

- Wygląda to bardzo tajemniczo. W końcu od dwóch dni nie mogę się z nim skontaktować.

Podobno łowi sandacze w Jezioraku. A tu nagle zainteresowanie naszą akcją.

- Na wszelki wypadek niech pan do niego zadzwoni.

- Słusznie.

- Niestety, w słuchawce usłyszałem tylko dobrze znany komunikat o niedostępności abonenta.

- Pozostaje nam zastosować się do jego polecenia - stwierdziłem.

- I to jak najszybciej.

Zawahałem się.

- Ale skąd tu w Stegnie wziąć...

Kuba uśmiechnął się pod nosem.

83

- Przecież trzyma pan w ręku.

Rzeczywiście, mój telefon komórkowy, jedyny jakim teraz dysponowaliśmy, był zaopatrzony w niewielki aparat cyfrowy o dużej rozdzielczości. Swoją drogą ten model komórek prawdopodobnie przyczynił się do zwiększenia skali szpiegostwa przemysłowego. Nikt przecież nie może zabronić biznesmenowi posiadania telefonu. Oczywiście myśl o wykorzystaniu tej zabawki do niecznych celów była nam obca.

Poczerniały srebrny dirhem z IX wieku na zdjęciu prezentował się doskonale. Pozostało znaleźć komputer z dostępem do sieci i wysłać.

- Poszukajmy jakiejś kafejki internetowej - powiedział Kuba.

- To dobry pomysł. Na plaży raczej jej nie znajdę, więc podskoczę wehikułem do centrum Stegny.

- A co ze mną?

- Prawdziwa męska przygoda, przyjacielu - zaśmiałem się.

- To znaczy co? Mam wpaść do jakiegoś zbiornika wodnego?

- O nie! - wykrzyknąłem - Już ja dopilnuję, żeby nikt z nas nie wpadnie do wody. Po prostu siedź tu i obserwuj dalej hrabiego i Adamka. Jeśli pojawi się rajdowiec z lexusa, po prostu zwracaj uwagę na jego zachowanie. Gdyby zaś zjawili się nasi bohaterowie, jak najszybciej zadzwońcie.

OK?

Kuba zadowolony kiwnął głową.

- Mówisz-masz.

- W ciągu pół godziny powinienem wrócić.

- Czekam - powiedział Kuba i zajął moje miejsce przy stoliku.

Zamówiłem mu jeszcze jedną porcję lodów (w końcu sporo się dziś nabiegał) i ruszyłem w stronę wsi. Jechałem powoli drogą prowadzącą przez sosnowy las, wzdłuż której mieściły się różne kempingi, hotele i pensjonaty. Rozglądałem się uważnie. Nigdzie nie było lexusa, chociaż jeszcze rano widział go tu przedstawiciel handlowy, a w południe Bazyli i Rufus.

Niedaleko urzędu gminy znalazłem budkę z wymalowaną wielką „małpą”. Wysłałem szefowi skompresowany plik graficzny ze zdjęciem dirhema. Dołączyłem też krótki list, w którym prosiłem go o przyjazd do Janowa lub chociażby o możliwość rozmowy telefonicznej. Postanowiłem na razie nie wspominać o poczynionych przez nas obserwacjach, dopóki nie wyjaśni się sprawa tajemniczych powiązań pana Tomasza i Kasi.

Wsiadałem już do auta, gdy znów w kieszeni marynarki usłyszałem znajomy dźwięk.

- Czyśby szef tak szybko odpowiedział? - mruknąłem do siebie biorąc do ręki telefon i wyłączając blokadę klawiszy.

A jednak nie. To była wiadomość od jednego z chłopaków:

*Lexus właś nie wyjechał w stronę Nowego Dworu. Czekam na pana przy wyjeździe ze Stegny.*

*Bazyli.*

- Dlaczego tylko Bazyli? - pomyślałem ruszając i kierując samochód w stronę wyjazdu na Nowy Dwór Gdański. - Co się stało z Rufusem?

Popołudnie wyganiało turystów znad morza, dlatego wybraną przeze mnie drogą ciągnął się sznur samochodów, zwłaszcza tych z elbląską rejestracją. Dzięki twardemu zawieszaniu i dynamicznemu silnikowi udało mi się jednak nadrobić kilka minut i sprawnie opuścić Stegnę.

Jakieś pięćset metrów za wsią, przy drodze siedział spocony Bazyli. Zahamowałem.

- Wskakuj - krzyknąłem i mój młody przyjaciel znalazł się w aucie. - A gdzie Rufus?

84

Bazyli nabrał powietrza w płuca.

- W lexusie.

- Gdzie?! - krzyknąłem z niedowierzaniem.

- Jedzie przed nami. Lexus odjechał stąd jakieś pięć minut temu.

- Co on robi w lexusie? Jak się tam znalazł?

- Już panu wszystko tłumaczę, panie Pawle. Ale niech pan natychmiast przyspieszy, bo inaczej nam uciekną!

Nacisnąłem mocniej pedał gazu. Wskazówka na zegarze obrotów silnika znacznie przekroczyła trzy tysiące i auto, dzięki stopniowemu uwolnieniu sprzęgła, dynamicznie ruszyło przed siebie.

- Kto? Jacy oni? - spytałem.

- Niech chwilę odsapnę - Bazyli chwycił butelkę wody mineralnej, nie zważając, że zagrzała się leżąc kilka godzin na tylnym siedzeniu. - Ma pan może jakiegoś batona?

- Masz - wyciągnąłem z torby kanapkę. - Ale powiedz, co z Rufusem!

- Kilka godzin temu - powiedział zajądając - na ogrodzonym parkingu przy jakimś hoteliku zobaczyliśmy lexusa. Na szczęście w płocie była dziura, więc mogliśmy obejrzeć go z bliska. To był dokładnie ten sam model, ta sama austriacka rejestracja z czerwoną obwódką. Samochód był

zamknięty, kierowcy ani widu, ani słyhu. Próbowaliśmy zobaczyć, co jest w środku, ale przez ciemne szyby nic nie było widać. Nie pozostało nic, tylko czekać. Na szczęście niedaleko była budka z goframi i tak jakoś wytrzymaliśmy do trzeciej czy czwartej.

- I co wtedy?

- Rufus powiedział, że zgodnie z prawem Murphy'ego, jak coś ma się zepsuć, to się zepsuje, a jak samochód ma kierowcę, to ten kiedyś się pojawi. To tylko kwestia czasu. I jakby Rufus wykrakał, w końcu kierowca lexusa się pojawił.

- Był sam?

- Sam jak palec.

- Wracał z plaży?

- O nie - zaśmiał się Bazyli - był w eleganckim letnim garniturze i miał ze sobą duży neseser.

Na parking przyszedł od strony domków letniskowych. Wyglądało, że w jednym z nich mieszka.

- A co z Rufusem?

- Ten elegant otworzył drzwi centralnym zamkiem i wrzucił torbę do bagażnika. W tym momencie zadzwonił jego telefon i zaczął głośno rozmawiać po niemiecku. Przy tym chodził w tę i z powrotem po parkingu, a auto cały czas było otwarte. Wtedy Rufus rzucił hasło „Wsiadamy” i już

znaleźliśmy się za przednimi siedzeniami w lexusie.

- I nie zauważył was?

- Nie. Po prostu wsiadł, włączył głośno radio i ruszył. Wyciszyłem pana komórkę, żeby nas przypadkiem nie zdradziła, ale Rufus dał wzrokiem znać, że wyciszona może powodować zakłócenia w radiu, więc ją wyłączyliśmy.

- ZauwaŜyłem.

- Siedzieliśmy cicho jak trusie - ciągnął Bazyli - gdy znowu zadzwonił jego telefon. Tym razem słyszeliśmy bardzo dokładnie sporą część rozmowy. Przedstawił się mówiąc „Jurek, słucham?”. Potem powiedział „Czescy jak tam przygotowania do dzisiejszej akcji?” Potem słuchał

kogoś przez kilkadziesiąt sekund, a następnie zdenerwowany zaczął krzyczeć do telefonu: „Nic mnie to nie obchodzi! Ja płacę i ja wymagam! Pracujecie dla mnie i ma być wszystko przygotowane!” Potem jego rozmówca coś długo tłumaczył. Widać, Őe pan Jurek mocno się zdenerwował, bo zatrzymał swoje auto na poboczu i wyszedł na zewnątrz, Őeby coś odkrzyknąć.

85

Słyszałem tylko: „Potrzebuję jak najwięcej tych monet, to jest dla mnie bardzo waŜne! Niczym się nie martwcie. Wszystko wam wynagrodzę, w papierach nie będzie śladu.” Potem wyszedł i chodził

wzdłuŜ szosy dalej rozmawiając. Daliśmy sobie wzrokiem do zrozumienia, Őe dobrze by było, gdyby jeden z nas został na miejscu i powiadomił właŝnie pana. PoniewaŜ byłem bliŜej drzwi, więc wyskoczyłem tak, Őe tego nie zauwaŜył. A resztę, to juŜ pan zna.

- To Batura - powiedziałem - musimy go doŝcignąć.

Pędziliśmy wąską drogą w kierunku południowym. ChociaŜ lexus miał nad nami kilka minut przewagi, wiedziałem, Őe moŜemy to nadrobić. Tym razem nic nie wskazywało, Őe nas zauwaŜył.

Poza tym droga, choć przed sezonem wakacyjnym starannie połatana, nie była pozbawiona nierówności. Jechałem więc tak szybko, jak tylko mogłem. Wyprzedziłem kilka osobowych aut po drodze. Ich kierowcy najwyraźniej nie byli tym faktem zachwyceni. W lusterku wstecznym widziałem ich niezadowolone miny oraz groŜące przez okno zaciśnięte pięści. Wehikuł mojego szefa często wzbudzał na drodze takie emocje z racji połączenia szkaradnego wyglądu i niezwykłych właściwości technicznych.

Po zaledwie kilkunastu minutach szalonej jazdy wjechaliśmy między zabudowania wsi Rybina. Wiedziałem, Őe po minięciu jej czeka nas długi odcinek prostej szosy prowadzącej do Nowego Dworu. Nie chciałem dopuŝcić, Őeby Batura wjechał do tego miasta, w którym lokalne drogi przecinają się z krajową „siódemką”.

W Rybinie znacznie zwolniłem, nie tylko dlatego, Őe nie przekraczam prędkości w terenie zabudowanym. Powodem był coraz większy tłok, który w końcu przepoczwarzył się w regularny korek i zmusił nas do zatrzymania auta.

- Co się stało? - spytałem zdziwiony.

- Zaraz sprawdzę - Bazyli nadzwyczaj sprawnie wyskoczył i pobiegł w stronę początku sznura samochodów.

Pomyślałem, Őe to nierozsądne. W końcu mógł tam być Batura.



- Poczekaj! - krzyknąłem - Ja zobaczę, a ty popilnuj wehikułu.

Nie musiałem biec zbyt daleko. Za niewielkim zakrętem moim oczom ukazał się widok, który wszystko tłumaczył. Wróciłem do samochodu zrezygnowany.

- I co? - spytał Bazyli.

- To sobie postoiemy - odrzekłem. - Most zwodzony otwarty, lexusa nie ma. Najwyraźniej Batura zdążył przejechać przed otwarciem. Zanim znów droga będzie przejezdna, trochę tu poczekamy.

Bazylemu nie wystarczyły moje słowa. Wybiegł ponownie, tym razem nikt go nie powstrzymywał. Zamknąłem auto i podszedłem do niego. Stał wśród gromady ludzi obserwujących przepływający stateczek.

- Ale ktoś głupio wymyślił - powiedział. - To nie mogli zrobić mostu nad rzeką?

- Chyba zbyt ironizujesz. To przecieś śuławy, teren płaski jak stół. Na dodatek poprzecinany odnogami delty Wisły. Pamiętasz, co wam opowiadałem o Rybinie, gdy pierwszy raz tędy jechaliśmy?

- Nie za bardzo.

- To węzeł komunikacji drogowej, kolejowej i wód śródlądowych, niestety.

- Niech pan powie po ludzku.

- W tej wsi droga przecina odnogę Wisły, Szkarpawę, po której czasami jeszcze pływają statki. Takich mostów jest w okolicy więcej, ale większość nie używanych. Ten jest otwierany na prośbę jednostek pływających. Przyjechaliśmy kilka minut za późno, po prostu nie mieliśmy szczęścia.

86

- A Batura miał - dodał Bazyli. - Ale chyba nie myśli pan tak tu beczynnienie czekać?

- A co innego nam zostało?

- Proszę nie śartować, panie Pawle. Przecieś to tylko woda!

Spojrzałem na zadowoloną twarz Bazylego i już wiedziałem, o co mu chodzi. Szybko precisnęliśmy się przez tłum gapiów i pędem pobiegliśmy w stronę naszego wehikułu-amfibii.

Niestety na miejscu spotkała nas kolejna niespodzianka. Nasze auto było otoczone przez kilkanaście osób. Ludzie ci jakby na nas czekali.

- O, już idzie! - krzyknął bardzo wysoki mężczyzna opierający się o maskę. - Idzie ten pirat drogowy!

- JuŜ my go nauczymy kultury na drodze - zawołała groźnie pani w średnim wieku ubrana w Őóltą sukienkê.

Pozostali milczeli, ale z wyrazu ich twarzy domyŐliłem siê, Őe mam przed sobà kierowców i pasaŐerów samochodów, które ostatnio wyprzedziłem.

- Państwo czekają na mnie - spytałem z tupetem w głosie - czy pilnują mojego cuda?

- Pilnujemy tego „cuda” - powiedział dràgal - Őeby juŜ nigdy nie wsiadł do niego Őaden szaleniec.

- Tak jest - starszy pan Őwawo mu wtórował - potencjalnemu przestêpcy naleŐy odebrać potencjalne narzędzie zbrodni.

Wśród pozostałych rozległ siê pogłos aprobaty.

- JuŜ pan nam nie ucieknie - wysoki męŐczyzna przestał siê opierać, wstał i przez to wyglàdał na jeszcze wyŐszego. - Musimy powaŐnie porozmawiać, panie cudak.

Postanowiłem pójść na całość.

- Drodzy państwo - powiedziałem zdecydowanie unosząc dłonie w indiańskim geŐcie oznaczającym pokój - zaszło jakieŐ grubsze nieporozumienie. WłaŐnie wracam znad rzeki i dowiedziałem siê niezbitcie, Őe droga jest i bêdzie zamkniêta.

- To dla nas nie pierwszyczna - zawołała pani w średnim wieku. -PrzyzwyczailiŐmy siê do postojów w Rybinie. Ale nigdy nie zaakceptujemy na naszych drogach piractwa drogowego!

Starszy pan zaŐ dorzucił:

- ZwłaŐcza w wykonaniu warszawskich cwaniaczków.

Kàtem oka zerknałem na tablicê rejestracyjnà wehikułu. RzeczywiŐcie zaczynała siê na literê „W”. Wszystko wskazywało, Őe padłem ofiarà lokalnych uprzedzeń.

ZaŐmiałem siê doŐ sztucznie, ale w sposób przykuwajàcy uwagê.

- Warszawskich? Państwo raczà Őartować. To - wskazałem na numery wozu - przyczepili mi w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Powiedzieli: „Jak jedziesz na Őulawy ratować tamtejsze zabytki, to musisz wyglàdać powaŐnie, urzędowo”, i tak juŜ zostało - powiedziałem parafrazujàc, doŐ luźno, słowa swojego szefa, od którego dostałem auto.

- Ratować zabytki Őulaw? - starszy pan był wyraźnie zaciekawiony. -A jakie?

- Interesują mnie wszystkie zagroŐone przez czas i nieodpowiedzialnych ludzi - nie Őkàmałem - na przykàd ten most zwodzony na Szkarpawie. Jak państwo zauwaŐyli, moje auto jest amfibią i moŐe

pływać kanałami, dzięki czemu mam zamiar osobiście sprawdzać stan zabytkowych śluz, wałów i mostów. Z przyjemnością zademonstruję państwu jego możliwości.

- Tere fere, panie cudak - zawołał drągal - komu pan wciska takie bajeczki? śaden urzędas nie jeździ takimi złomami. Pan jesteś pewnie taki sam szaleniec, jak ten, co nas wyprzedził przed panem. Z tym, Őe tamtego stać na coś lepszego.

Tłumek zaśmiał się szyderczo. W tym momencie coś mi zaświtało.

- Czy to był luksusowy biały samochód z przyciemnianymi szybami?

87

Drągal spojrział na mnie uważnie.

- Tak, dokładnie to był lexus, teŚ na warszawskich numerach.

- Lexus GS 300 - dodałem - ale nie na warszawskich, tylko na wiedeńskich.

- MoŚliwe, nie jechał przede mną zbyt długo. Natychmiast wyprzedził tamtą panią w Śółtym.

Pędził tak, Őe dzieciaki mi się wystraszyły. Czy pan go zna?

- To Batura! - zawołał Bazyli, który do tego momentu chował mi się za plecami. - Groźny bandyta, którego ścigamy!

- Tak, to złodziej zabytków - odpowiedziałem - a ja naprawdę jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Oto moja legitymacja.

Wysoki ledwie rzucił okiem na dokument.

- MoŚe tak, a moŚe nie.

- Uważam - odezwał się starszy pan - Őe naleŚałoby puścić tego pana i jego pokraczne auto.

Jeśli mówi prawdę, to da nauczkę tamtemu szaleńcowi. A jeśli kłamie, to co nam do ich bandyckich rozgrywek?

Drągal nie był zadowolony.

- I będzie dalej piratował po naszych drogach? A jeśli to wspólnicy?

- Niech pan zobaczy jego samochód - powiedziała pani w średnim wieku - czy wygląda na współnika?

Wtem na twarzy drągala pojawił się uśmieszek.

- Wiem, jak sprawdzić prawdomówność tego pana. Proszę ich przytrzymać! A ja z kilkoma panami

zastosujemy próbę wody!

Tego się nie spodziewałem. Część gawiedzi, łącznie z panią w Śóltej sukience i starszym panem, rzucała się na nas i z ogromnym impetem powaliła nas na ziemię. Następnie gromada dzieciaków przygniotła nas swoimi zrelaksowanymi na plaŚy cielskami, a kilka osób przytrzymało nasze ręce i nogi.

W tym czasie draġal dostał się do wnętrza wehikułu, zwolnił hamulec ręczny i z kilkoma innymi męŚczyznami zaczął toczyć wehikuł w kierunku, którego się tylko domyślałem. Część dzieciarni, która na nas siedziała, zaczęła bić brawo i głośno dopingować tatusiów. Przez te hałasy ledwie słyszałem ogromny plusk, który oznajmił, Śe wehikuł Pana Samochodzika sięgnął wód Szkarpawy. Byłem pewien, Śe pozytywnie przeszedł próbę wody i bezpiecznie unosi się po powierzchni. Liczyłem teraz, Śe prześladowcy nas puszczą byŚmy łapali odpływające bezwładnie auto.

A jednak nikomu się z tym nie śpieszyło. Draġal z towarzyszymi wracali znad rzeki powoli, jakby obmyślając, jakiego rodzaju kaźnie zaspokoić mogą ich pragnienie wywarcia zemsty za nasze piractwo drogowe.

- Przynieść ich tu! - zawołał i razem z Bazyliem oderwaliśmy się od ziemi unoszeni przez gromadę. PodróŚ moŚe i byłaby przyjemna, gdyby nie fakt, Śe dzieciaki wcale nie chciały zostawić nas w spokoju i poprzyczepiane o nasze ręce i nogi dyndały wesoło, spadając i chwytając nas znowu w rytm biegnącego tłumu.

W końcu poczuliŚmy twarde uderzenie o ziemię. To draġal nakazał nas rzucić, ale w tym harmidrzu nie słyszeliŚmy jego rozkazu. Nie dane nam było teŚ rozprostować kości, zaraz bowiem dzieciarnia ponownie przygwoździła nas do gleby.

- Skoro ten pan - powiedział nieformalny przywódca grupy, gdy juŚ leŚeliŚmy - tak lubi zabytki, to zastosujemy wobec niego Średniowieczne metody. Gdy inkwizycja chciała zbadać prawdomówność podejrzanego o herezję albo o czary, wrzucała go w głębinę i patrzyła, czy wypłynie. Była to tak zwana próba wody. Jeśli delikwent przeŚył, znaczy, Śe nie kłamał. Jeśli zaś 88

nie wypływał, wtedy takiego wylawiano i dopiero palono na stosie. My, jako ludzie Światli, jesteŚmy bardziej wielkoduszni, palić stosów nie będziemy!

Próbowałem protestować i prostować błędne wywody dotyczące próby wody, ale tłumek zaśmiał się szyderczo. Pomyślałem z zaskoczeniem, Śe łączą mnie z draġalem wspólne zainteresowania i być moŚe w kaŚdej innej sytuacji miałbym w nim zajmującego rozmówcę. JakŚe często jednak niespodziewane okoliczności utrudniają zbliŚenia bliźniaczych dusz.

- Do wody z nimi! - usłyszałem i zaraz unieŚliŚmy się w górę. Zznałem uczucia, jakiego zawsze zazdrościłem ptakom. MoŚe poza momentem lądowania w mętnej, zimnej wodzie.

Wiatr wpadający przez otwarte okna wehikułu słuŚył nam za suszarkę, gdy pędziliŚmy

„siódemką” co sił w silniku w kierunku Elbląga. JuŚ sam nie pamiętam, czy gnała nas tak chęć

doścignięcia Batury, czy raczej pragnienie opuszczenia miejsca naszej hańby.

- Straciliśmy kupę czasu - rzuciłem po kilku minutach gonitwy. - MoŜe lepiej wrócić?

- Chyba pan Őartuje - oburzył się Bazyli - przecieŜ tam jest Rufus, musimy go uwolnić.

- Oczywiście, ale martwię się teŜ o Kubę, zostawiłem go na chwilę samego. Pewnie się niepokoi.

- Znając Kubusia pewnie juŜ znalazł sobie jakieś zajęcie.

- To prawda.

- Co tu zrobić z tym Baturą? - pytałem głoŝno sam siebie - ZbliŜamy się do Nowego Dworu Gdańskiego. Stąd moŜe czmychnąć, gdzie mu się podoba. Őebyśmy mieli choć jedną wskazówkę, w którym kierunku pojechał. Nie pamiętasz, Őeby uŜył jakiegoś charakterystycznego słowa, nazwy miejscowości?

- MoŜe coś mówił za pierwszym razem, ale to było po niemiecku.

- Nie padło coś w rodzaju „Elbing” „Danzig”, „Warschau”?

Bazyli wytęŜył pamięć.

- Nic takiego.

- Hm..

- Właŝciwie pamiętam jedno słowo - podrapał się za uchem - które padło wiele razy.

- Tak?

- Coś w rodzaju „Mincen”. MoŜe to nazwa jakiejś miejscowości.

Zaśmiałem się.

- „Münzen” to monety. Po prostu upewniliśmy się po raz kolejny, Őe Batura przyjechał na ŝulawy po arabskie dirhemy z IX wieku.

W tym momencie zadzwieczał telefon.

- To wiadomość od Kuby - powiedziałem naciskając kolejne przyciski - wysłana z bramki internetowej.

- No tak, my się o niego martwimy a on pewnie znalazł kogoś z laptopem i bezprzewodowym połączeniem. Co pisze?

- Do W i A przyszli T. Lukam - przeczytałem.

Bazyli spojrział na mnie.

- Co to jest? Jakiś wasz szyfr?

Zacząłem analizować.

- To proste, ale...

- Ale co?

- Ale bardzo nieprawdopodobne.

Bazyli prawie się zatrząsł.

89

- To niech pan wytłumaczy. Czy coś się stało?

- Z tego wynika, że Kuba nadal obserwuje siedzących w Stegnie von Winkla i Adamka, do których dołączyli „T”

- Kto?

- Teodora i Tobiasz Tworkowscy.

- Ci ze Szczecina?

- Tak, i to jest bardzo dziwne. Czyby puzzle zaczęły do siebie pasować?

- Pozostał jeszcze „B” - powiedział Bazyli.

W tym momencie znów usłyszałem swój telefon. Odebrałem. Tym razem dzwonił

antykwarek. Wysłuchałem z uwagą jego krótkiego komunikatu.

- Znalazł się „B” - powiedziałem po zakończeniu rozmowy.

- To znaczy?

- Batury raczej nie dogonimy na „siódemce”.

- Dlaczego?

- Bo właśnie jest w Elblągu na ulicy Bednarskiej. Antykwarek zobaczył jego samochód przed swoim lokalem i od razu zadzwonił.

- To znaczy - wykrzyknął Bazyli - że Rufiusowi nic się nie stało! Batura nie miałby czasu wyrządzić mu krzywdy.

- Fakt.

Bazyli spojrział na mnie, jakby chciał zapytać: „Co robimy?”. Jednak przesuwająca się do przodu wskazówka prędkościomierza i moja zdecydowana mina wystarczyły mu za odpowiedź, nim to pytanie padło.

Zaparkowaliśmy wehikuł na ulicy Piekarskiej, kilkadziesiąt metrów od antykwariatu. Bazyli wszedł w Bednarską pierwszy i miał gwizdnięciem dać mi znak, czy lexus na niej stoi. Pomimo

„bliskiego spotkania trzeciego stopnia”, jak określił swój pobyt w lexusie, istniało niewielkie ryzyko, żeby Batura go rozpoznał. Po kilkunastu sekundach usłyszałem dwa długie gwizdy, jakich używają gołębiarze, gdy chcą przywołać swoich pupilów. W ten sposób, zgodnie z ustaleniami, Bazyli przekazał mi, że lexus stoi przed antykwariatem i że bym czekał, aż sprawdzi, gdzie jest Rufus. Więc czekałem. Niedługo.

Po kilku chwilach, w których miotła mną niepewność, zza rogu wybiegł sapiący Bazyli, a tuż za nim wyskoczył niczym przestraszony kangur Rufus.

- Jesteście! - wyrwało mi się, ale chłopcy uciszyli mnie jednym gestem.

- Ciiiiii - szepnął Bazyli. - Batura właśnie wsiada do samochodu.

- Dyla - rzucił Rufus i szybko schowaliśmy się w najbliższej bramie.

Sekundę później z ulicy Bednarskiej wyjechał biały lexus GS 300 z austriacką rejestracją.

Wyjrzałem, by zobaczyć go przejeżdżającego Piekarską w stronę wyjazdu do centrum miasta.

Przyciemniane szyby, jak się mogłem domyślać, kryły Jerzego Baturę, z pewnością człowieka, który kradnie dirhemy z wykopalisk w Truso.

Gdy zniknął nam z oczu, usłyszałem westchnięcie ulgi z ust chłopaków. Rufus zaś usiadł z wrażeń na ziemi.

- Udało się! - zawołał. - W ostatniej chwili.

- Wszystko w porządku? - spytałem.

- Tak, panie Pawle. Na szczęście mnie nie zauważył.

- Jak udało ci się wyjść z lexusa?

Rufus gestem dał znać, że musi odsapnąć i po chwili powiedział: 90

- Szczerze mówiąc po tym, jak się rozstaliśmy z obecnym tu kolegą, zupełnie straciłem orientację kierunku, w jakim jedziemy. Siedziałem cicho z tyłu i nie wychylałem się. Słyszałem, jak przejeżdżamy przez jakiś most czy wiadukt, wiedziałem, że przyspieszyliśmy i jesteśmy na jakiejś

bardziej ruchliwej drodze. Potem domyśliłem się, że wjeżdżamy do miasta i wreszcie samochód stanął, a Batura wysiadł. Nie chciałem ryzykować i skuliłem się jeszcze bardziej. Nagle usłyszałem, jak uchylają się tylne drzwi. Pomyślałem, że to już mój koniec. Szczerze mówiąc w tamtej chwili ślaowałem, że zgodziłem się opuścić mój rodzinny dom i przysięgłem sobie, że już nigdy nie dam się skusić na łatwą przygodę, na łatwe skarby i tym podobne fanaberie. Przysięgłem sobie, że wezmę się do nauki, skończę szkołę i zostanę, jak ojciec, inżynierem, ośmię się i doczekam wnuków w spokojnej starości. Ale, przebiegło mi przez myśl, że nie wiem, czy tego wszystkiego dożyję, skoro właśnie zdemaskował mnie brutalny przemytnik dzieł sztuki, bandyta i złodziej...

- A to byłem ja - parsknął śmiechem Bazyli - to ja mu otworzyłem drzwi, gdy zobaczyłem, że Batura rozmawia w antykwariacie.

Klepnąłem Rufusa po ramieniu.

- Kamień spadł mi z serca. Przy okazji, czy Batura zdradził coś na temat swojej misji?

Rufus poprawił okulary na nosie.

- Po pierwsze, Batura i jego wspólnik czy też wspólnicy posiadają jakiś szczególny plan całego stanowiska archeologicznego.

- Plan?

- Może raczej zdjęcie, satelitarne lub lotnicze, dzięki któremu dokładnie wiedzą, jak się poruszać po terenie oraz gdzie szukać artefaktów.

Bazyli spojrzał na niego skołowany.

- Czego?

- Znaleźsk - wyjaśniłem. - Ale co z tym zdjęciem?

- Wywnioskowałem, że archeolodzy, przynajmniej pan Jagoda, nie mają dostępu do tego zdjęcia, bo Batura kilkakrotnie powtarzał wspólnikowi, że trzeba działać szybko, póki sprawa kradzieży zdjęć nie wyjdzie na jaw i „stary” nie dostanie duplikatów.

Wtem chwyciłem się za głowę.

- Zaraz, zaraz. Czy tu przypadkiem nie chodzi o zdjęcia geomagnetyczne stanowiska, na które Kasia czeka od kilku dni?

- Rzeczywiście - dodał Bazyli - pan Jagoda też mi o nich mówił, gdy robiliśmy jajecznicę.

Tydzień temu ekipa specjalistów fotografowała z samolotu cały teren i miały być z tego bardzo dokładne zdjęcia, na których widać zarysy domów czy łodzi.

- A może jeszcze więcej - dodałem. - Gdy tylko zobaczymy się z Kasią, musimy zapytać ją o te



zdjęcia. Ale co dalej, Rufusie?

- Po drugie, na dzisiejszą noc jest planowana kolejna akcja złodziei. Batura wyraźnie się z kimś umawiał na spotkanie już na terenie wykopalisk.

Bazyli kiwnął głową.

- Więc ma w ekipie jakąś wtyczkę.

- Oby jedną - dodałem.

- Godziny ani miejsca nie podał, powiedział tylko „będę czekał tam, gdzie zawsze”.

- Znaczy nic konkretnego - powiedział Bazyli. - Musimy obstawić zaledwie 20 hektarów ziemi. To drobiazg.

- Nie bądź złośliwy. I tak wiemy dzięki wam więcej niż dziś rano.

Rufus ziewnął i zmęczonym głosem dodał:

- Jeszcze jeden mało istotny szczegół. Batura kazał swoim współpracownikom załatwić nowe łopaty, 91 bo starych podczas ostatniej akcji nie zdążyli schować i wrzucili do odnogi jakiegoś kanału.

Pomyślałem przez chwilę.

- Hm. To wcale nie jest drobna informacja. Mamy możliwość nieco pokrzyżować plany złodziejom.

- Jak, panie Pawle? - wykrzyknęli chłopcy.

- O tym później. A teraz biegiem do antykwariatu.

92

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

**GDZIE JEST MACINTOSH? • SPISEK W ELBLĄGU • KIM JEST KASIA? •**

**OBSERWACJE KUBY • PO CO SĄ FIŃSKIE NOŚE? • ZRÓBMY COŚ Z ŁOPATAMI**

Antykwariusz już na nas czekał.

- Panie Pawle - krzyknął, gdy tylko zobaczył nas w drzwiach - ten człowiek to zwykły cham i złodziej!

- Co się stało?

- Wpadł tu kilkanaście minut temu, roztrzęsiony z nerwów. Zaczął na mnie krzyczeć, żeby mu powiedział wszystko o dirhejmach. Wyrwał mi katalog i bezczelnie zabrał. Złodziej, normalny

złodziej! Ale najgorsze...

Głos uwiązł w gardle starszego pana. Był blady i cały się trząsł.

- Co się stało?

- Wejdźcie na zaplecze.

Ruszyliśmy wszyscy za pluszową zasłonę. Na antycznym stoliku czegoś brakowało.

- Gdzie pański komputer?! - zawołałem.

- No właśnie - antykwariusz rozłożył bezsilnie ręce - po prostu wszedł i zabrał. Pchnął mnie na podłogę i wybiegł razem z moim Macintoshem, panie kochany. Zwykły złodziej i cham!

- Czy ma pan jakieś informacje na twardym dysku, z których Batura mógłby skorzystać?

Nasz gospodarz machnął ręką.

- A gdzie tam, panie. Zresztą i tak go nie włączy, bo wnuk tyle mu haseł nawstawiał, że sam ledwie pamiętam. Szkoda tylko maszyny...

Spojrzałem na zawzięte miny chłopaków.

- Może pan być pewny, że pańską maszynę odzyskamy. Jesteśmy coraz bliżej rozszyfrowania zagadki.

- To świetnie, panie, bo i mnie nurtuje, po co komu takie dirhejmy potrzebne i skąd całe to zmieszanie.

- Nie pan jeszcze nie wymyślił?

Podrapał się w głowę.

- Coś wam powiem - ściszył głos, jakby chciał wyjawic jakąś tajemnicę. - Myślę, że nasz Elbląg jest celem tajemnego spisku.

Bazyli i Rufus wraz ze mną zamieniliśmy się w słuch.

- Mój Elbląg był kiedyś potężnym i bogatym miastem. Należał do Hanzy, tu był wielki port, potem powstały stocznie. Czy wiecie, że w wojnie polsko-krzyżackiej Elbląg wystawił więcej okrętów niż Gdańsk?

- A po której był stronie? - spytał zniecierpliwiony Bazyli.

Antykwariusz zrobił się pąsowy.

- Spójrz na tę mapę, młodzieńcze. Oczywiście, że po stronie Rzeczypospolitej. A potem było jeszcze

lepiej, kolej Śelazna i cud techniki, jakim jest Kanał Elbląski.

- Chodzi o Kanał Ostródzko-Elbląski?

Zamiast odpowiedzi Rufusowi musiał wystarczyć oburzony wyraz twarzy lokalnego patrioty.

- Oczywiście. Ale - ciągnął dalej - potem przyszły lata upokorzenia i nic nie jest tak jak dawniej. Najpierw Armia Czerwona. W czterdziestym piątym spalono ponad połowę miasta. A potem władze nakazały wywozić cegłę niby to na odbudowę Warszawy. Ale ja pamiętam, Śe wywozili je w stronę Tolkmicka i dalej na północ. Taka to, panie, była odbudowa Warszawy.

93

- To nie dowodzi spisku - wtrąciłem - Elbląg podzielił los wielu zdobycznych miast.

Antykwariusz jakby mnie nie słuchał.

- A jak to, panie, jest teraz? Najpierw zamknęli nam port, potem padła stocznia. Cały

„Zamech” diabli wzięli. A przecieŚ zakład przynosił, zyski. Potem zniszczyli przemysł meblarski, a w końcu zlikwidowali tu województwo i przyłączyli do Olsztyna. Oni to wszystko zaplanowali, panie. A zaczęło się to od Gedana.

- Kogo? - zdziwili się chłopcy.

- Nie wiecie?

- Nie.

- Gedan, założyciel Gdańska, przekupił wikingów, Śeby spalili Truso. To wszyscy w Elblągu wiedzą. Inaczej Gdańsk by naszego Truso nie wyprzedził. I przez to przekupstwo Truso upadło. A ja, panie, myślę, Śe on ich przekupił tymi waszymi dirhejmami. Tymi srebrnikami ich przekupił. I dlatego teraz oni tych srebrników szukają.

- Jacy „oni”? - spytałem zniecierpliwiony nie wiedząc, czy mam do czynienia z szaleńcem, czy raczej z geniuszem.

- To nie wiesz pan? Oni - wskazał ręką na regał z książkami pewnego mało profesjonalnego, ale bardzo popularnego w pewnych środowiskach pisarza, historyka-amatora, który w swoich publikacjach forsuje karkołomną choć chwytliwą spiskową wersję naszych dziejów.

- Ciekawa teoria - powiedziałem - ale raczej mało prawdopodobna. Ostatnie odkrycia archeologów dowodzą, Śe duńscy wikingowie byli raczej gospodarzami niŚ niszczycielami grodu.

Poza tym Gdańsk przejął rolę Truso na południowo-wschodnim Bałtyku w X wieku, ponieważŚ był silnie popierany i rozbudowany przez Mieszka I. Natomiast Truso było tylko emporium na obcym

etnicznie terytorium, które w szczątkowej formie przetrwało do XI wieku, gdy system plemienny został wyparty przez feudalizm. Z tego samego powodu upadły Birka, Hedeby czy Wolin. Owszem, archeolodzy znaleźli w Truso ślady zniszczeń, ale trudno się ich nie spodziewać w ośrodku, który istniał kilka wieków. Poza tym wskutek zmian linii wybrzeża Zalew Wiślany stracił swoją rolę...

- Ja to wszystko, panie, rozumiem - przerwał mi antykwariusz - ale teŜ swój rozum mam, chodzę po tym świecie długo i staram się go zrozumieć.

Zaśmiałem się głośno i poklepałem go po ramieniu.

- W to nie wątpię. Ale na nas czas. Będziemy w kontakcie.

PoSegnaliśmy się i wyszliśmy na ulicę. Robiło się późno, ale w drodze do wehikułu postanowiłem na chwilę wpaść do znajomego konserwatora zabytków na ulicę Mostową. Byłem ciekawy, czy zdobył juŜ jakieś informacje. Piotrek był jeszcze w biurze.

- Coś nowego? - spytałem na dzień dobry.

- Siadajcie - wskazał krzesła, wcale nie zabytkowe. - Dowiedziałem się nieco o niej - zerknął w notatki - pani magister Katarzynie Haase.

- I co?

- Same rewelacje.

Podeksytowany aŜ wstałem, ale Piotrek gestem usadził mnie z powrotem.

- OtóŜ pani magister jest osobą bardzo znaną zwłaszcza w gdańskich kręgach akademickich.

Pracuje na Uniwersytecie Gdańskim i obecnie przygotowuje się do doktoratu, zdaje się z archeologii Wysp Owczych, ale nie jestem pewien. MoŜe Szetlandów.

Pokręciłem ze zdumienia głową.

- Tak, tak, Pawełku. To specjalistka, moŜe jedna z lepszych w kraju z epoki podbojów wikińskich. Biegłe włada językami starogermańskim i anglosaskim. Dwa lata temu otrzymała stypendium, w ramach którego była na staŜu w Yorku i na Islandii. W sagach islandzkich i 94

kronikach z czasów Alfreda Wielkiego szukała nawiązań do Truso, które jest jej konikiem. Ale chyba nie muszę ci o tym mówić.

- Zdziwiająca...

- To nie wszystko - kontynuował Piotr. - Panna Kasia pochodzi z szanowanej rodziny kaszubskiej. Jej dziadek, Alojzy Haase, uczył przed wojną historii w gimnazjum w Wejherowie.

Był człowiekiem bardzo otwartym na wiedzę. Amatorsko zajmował się archeologią, która wtedy była bardzo popularna. Współpracował między innymi ze słynnym Maxem Ebertem, korespondował z Józefem Kostrzewskim, pisał artykuły do prasy o lokalnych zabytkach. W czasie wojny nie chciał podpisać volkslisty i trafił za to do obozu w Sztutowie. Natomiast jego syn, Stefan, zamieszkał w Gdańsku. Jest muzealnikiem, dyrektorem Muzeum Morskiego. A mama pani Kasi, Anna Wolska-Haase jest tłumaczem literatury staroangielskiej.

- Tak? - kręciłem głową.

- Teraz już wiesz, po kim twoja pani magister odziedziczyła zdolności i zainteresowania. Aha, dowiedziałem się też, że pani Ania Wolska była swego czasu miss Uniwersytetu Gdańskiego. Jeśli Kasia odziedziczyła po mamie również urodę, to nie dziwię się, że tak bardzo cię ta panna interesuje.

Piotrek uśmiechnął się i patrzył na moją reakcję. Ja jednak jeszcze bardziej się zdumiałem.

- Mówisz, że jej ojciec jest muzealnikiem...

- Tak i to bardzo ważnym.

- Mój szef powinien go znać. I to bardzo dobrze.

- I vice versa. Ktoś by nie znał Pana Samochodzika?

- Cóż, ostatnio trudno mi zrozumieć pana Tomasza.

Piotrek się zaśmiał.

- Jakże piękny byłby świat, gdybyśmy rozumieli swoich szefów.

- To prawda. Jestem ci wdzięczny za te wiadomości. Są dla mnie bardzo ważne.

- Drobiazg.

- A czy wiadomo ci coś o Tworkowskich i tych dwóch studentach, o których ci mówiłem?

- Jeszcze nic nie dali mi znać z Warszawy i Szczecina. Ale cierpliwości. Wiesz, jak to jest, jak się pracuje urzędowo do piętnastej. Jutro z rana ich przycisnę.

- Fajnie - uściśnąłem mu dłoń - muszę pędzić dalej.

- To leć - zaśmiał się Piotrek, którego zawsze lubiłem za jego pogodę ducha.

- Gdzie teraz? - spytał Rufus, gdy siedzieliśmy w wehikule.

Już nawet on nie nadążał za wydarzeniami ostatnich godzin.

- Jedziemy do Stegny po Kubę, a potem wracamy do namiotu. Przypomniałem sobie, że mają nas dziś odwiedzić Jagoda i Kasia. Rozumiesz, zaległa wizyta.

- Nadal pan ją podejrzewa?

- Raczej o kontakty z Panem Samochodzikiem niż z Baturą.

Rufus poprawił okulary na nosie.

- Jest pan zbyt ufny. Niech pan nie zapomina, że detektyw nie może odrzucać śądnej hipotezy.

- Ani śądnej pomocy - zareplikowałem. - Nam jest bardzo potrzebna jej pomoc. Zwłaszcza, że mam pewien pomysł na dzisiejszą noc. Ale bez Kasi jest on nie do wykonania.

Rufus ułożył usta w trąbkę i zagwizdał.

- Oj, panie Pawle. Niech pan uważa na tę dziewczynę. Niech pan uważa.

Znalezienie Kubę zajęło nam ładnych kilka chwil. Był na plaży. Jak nam zrelacjonował, Adamek i hrabia po dyskusji z Tworkowski mi wsiedli do mercedesa i wyjechali ze Stegny. Co się

stało z archeologami ze Szczecina, nie wiedział, bo rozplęnęli się gdzieś w tłumie turystów. Mnie interesowały inne rzeczy, o które zapytałem w drodze powrotnej.

- Jak zareagowali Adamek i von Winkel na przybycie Tworkowskich?

- Nie byli zaskoczeni - powiedział Kuba. - Wyglądało, jakby na nich czekali.

- Hm?

- Adamek wręcz wybiegł, kiedy zobaczył ich na deptaku. Przywitał się jak stary znajomy i zaprosił do środka. Uśmiechał się szelmowsko, jakby zapominał, że tuś przedtem kłócił się z hrabią. A i ten ucieszył się ze spotkania.

- Pewnie nie słyszałeś rozmowy.

- Nie, ale wyglądało to tak, jakby Adamek przekonywał do czegoś naukowców, a Niemiec mu przytakiwał. Od czasu do czasu Tworkowski zadał pytanie, ale generalnie głos należał do Adamka.

Hrabia kiwał głową. Tylko pod koniec rozmowy wyjął jakieś papiery. Coś na nich pokazywał.

- Plan?

- Możliwe, to był duży arkusz.

- Interesujące...

Wtem wtrącił się Rufus.

- A w ogóle, skąd wiesz, że to byli Tworkowscy? Może to był ktoś zupełnie inny, może jacyś goście Adamka?

Kuba energicznie potrząsnął głową.

- To na pewno byli oni. Tworkowska rzeczywiście jest grubym babsztylem, jak opowiadała pani Kasia. A poza tym...

- Tak?

- Poza tym na wszelki wypadek sprawdziłem ich tożsamość.

Rufus nie wytrzymał.

- Jak? Telepatycznie?

- Nie rozśmieszaj mnie tymi swoimi parapsychologicznymi metodami. Gdyby nie fakt, że von Winkel i Adamek mnie znają, po prostu wszedłbym do smażalni w której siedzieli i głośno zawołał:

„Szukam państwa Tworkowskich!” A oni sami by się zgłosili i już!

- A nie bierzesz pod uwagę, że zapytaliby: „W jakim celu nas szukasz, szczeniaku?”

- Coś bym wymyślił. Na przykład, że mam dla nich telegram albo że chciałbym dostać autograf od słynnych naukowców.

- Co za bzdury! - krzyknął Rufus. - Trzeba mieć trochę oleju w mózgowicy i najpierw pomyśleć, a potem działać.

Kuba zacisnął zęby.

- I potem wpaść do rowu - wymamrotał.

Postanowiłem się wtrącić.

- To niesprawiedliwe, Kuba - powiedziałem. - Ja sam dziś zaliczyłem kąpiel w rzece. To niczego nie dowodzi.

- Naprawdę? - zawołał Rufus. - Wpadliście wehikułem? Pewnie dlatego jest taki zabłocony.

Niech pan powie coś więcej.

Machnąłem ręką.

- Opowiemy wam wieczorem. Teraz niech w końcu Kuba wyjaśni, w jaki sposób sprawdził

tożsamość Tworkowskich.

- To proste - Kuba wyjął zza paska kaburę swojego noża fińskiego i podniósł ją do góry. - Oto mój sposób!

Rufus spojrzał na niego z niedowierzaniem.

96

- No nie! Chyba nie porozcinałeś ich rzeczy osobistych.

Kuba uśmiechnął się jak gracz, który trzyma w rękawie asa.

- Masz niskie mniemanie o mojej inteligencji.

- Nie będę zaprzeczał.

- Ale i ja potrafię myśleć w sposób logiczny i to bez matematycznych zagadek.

- Więc? - zwróciłem się zniecierpliwiony do Kuby.

Kuba otworzył kaburę. Była pusta.

- Gdzie nóż? - spytałem. - Co się stało?

- To nie była zwykła finka, jaką można kupić na każdym rynku. Moja miała zdobioną rękojeść zrobioną z poroża renifera i na ostrzu wygrawerowany napis: „Suomi 1939”. Oryginalna fińska finka. Dostałem ją kiedyś w ramach zamiany z moim stryjkiem, Antonim Kowalczykiem, który ją kupił w latach siedemdziesiątych na jakimś pchlim targu w Moskwie. Kosztowała mnie fortunę, całą serię znaczków pocztowych z Kostaryki. Bardzo rzadką serię z rybami morskimi koralowymi.

- Ale Tworkowscy...

W cukierni, z której obserwowałem delikwentów, siedział akurat oficer policji, w mundurze ma się rozumieć. Wypytywał, co tu robię sam i tak dalej. Ja mu oczywiście wszystko powiedziałem, oprócz tego, że siedzę teraz na czatach. No i po chwili zgadaliśmy się, że jest kolekcjonerem zabytkowych noży, zwłaszcza myśliwskich. I reszta była prosta jak wejście na Gubałówkę. Pokazałem mu swój skarb. Oczy rozszerzyły mu się jak pięciozłotówki. Powiedział, że da mi w zamian dwa nowe noże, w tym jeden fiński z rączką z kości słoniowej. Powiedziałem, że OK, ale musi dorzucić jedną usługę służbową. Wylegitymować tę parę cudaków, grubą panią w zwiewnej sukience i łysiejącego pana w hawajskiej koszuli. Po pięciu minutach miałem pewność, że to są Tworkowscy ze Szczecina. Przy okazji pozwolił mi skorzystać ze swojego laptopa i wysłać do was SMS-a.

- Pięknie - powiedziałem - a gdzie masz te dwa super noże?

- Policjant ma je przywieźć jutro rano do naszego obozu.

Uścisnąłem po męsku dłoń Kuby.



- Świetnie się spisałeś. Teraz mamy pewność, że hrabiego, Adamka i Tworkowskich łączy jakieś wspólne sprawy. Ale wciąż wydaje mi się, że to za mało. Wciąż nie mamy pewności, że łączy ich cokolwiek z Baturą.

Kuba zawołał:

- A jego wizytówka, inicjały?

- Kuszący ślad. Ale to tylko poszlaka, Saden dowód. Dlaczego Batura nie przyszedł na to spotkanie? Przecież wyjechał ze Stegny dokładnie wtedy, gdy przyjechali tu Tworkowscy.

Na te słowa oświł się Rufus.

- I może o to chodzi. Batura zadzwonił najpierw do hrabiego, rozmawiali po niemiecku.

Niestety, nic z tego nie zrozumieliśmy. A potem rozmawiał z archeologami. Słyszeliśmy, że ich łajali za źle wykonaną pracę w nocy, za zgubienie łopat. Przypomniał im, żeby dokładnie przeanalizowali plan geomagnetyczny stanowiska przed dzisiejszą akcją. Tworkowscy przyjechali do Stegny, żeby pokazać hrabiemu i Adamkowi, gdzie mają szukać monet. Potem wrócą na stanowisko, będą długo rozmawiać z Jagodą, żeby zapewnić sobie alibi i dodatkowo zmęczyć towarzystwo. Dzięki temu hrabia z Adamkiem w nocy mają pełne pole manewru.

- Hrabia jest za stary na nocne wycieczki po polach poprzecinanych kanałami - stwierdził

Bazyli.

- To fakt - odpowiedział Rufus - z którego wynika, że monety nocą kradnie albo sam 97

Adamek, albo w duecie z Baturą. A hrabia ich tylko sponsoruje, to znaczy skupuje skradziony towar.

- A dlaczego nie było na spotkaniu Batury?

- To proste. Batura widział nasz samochód w Małdytach, słyszał o nas od swoich ludzi, czyli hrabiego i Adamka. Wie, że depczemy mu po piętach, więc woli załatwiać sprawy przez telefon, żeby nie dać się złapać.

Bazyli z Kubą spojrzeli na mnie oczekując jakiegoś komentarza.

- Sponsorem, jak to nazwałeś, jest Dom Aukcyjny Herza z siedzibą w Wiedniu. Jego przedstawicielem jest Jerzy Batura, który współpracuje z kimś, kto ma dostęp do stanowiska w Janowie. Tyle wiemy na pewno. Po co hrabia miałby angażować Herza, skoro jest na miejscu?

Zresztą po co staremu Niemcowi arabskie monety z IX wieku? Gdybyśmy chociaż to wiedzieli...

- To prawda - przyznał Rufus. - Wszystko się pięknie układa, ale dowodów ciągle nie ma.

- Tak - przyznałem - musimy złapać złodzieja za rękę, na gorącym uczynku. Albo podczas kradzieży

na stanowisku archeologicznym, albo przy przekazywaniu monet Baturze. Najbliższa okazja dziś w nocy. Wiemy, że złodzieje planują akcję. Wiemy, że mają plan i będą działać precyzyjnie. Mają wszystko przygotowane, może poza łopatami.

- Łopaty! - wrzasnął Kuba. - Zróbmy coś z łopatami!

- Co proponujesz?

- Nie mają swoich, więc będą chcieli zabrać te, które należą do ekipy. Zadzwońmy szybko do pani Kasi, żeby je schowała albo nam przywiozła. Pokrzyśujemy złodziejom plany!

Pomyślałem przez chwilę.

- Hm. Pomysł nie jest głupi. Tyle że my nie chcemy powstrzymać złodziei.

- Co takiego?!

- To znaczy - uściśliłem - w ogóle chcemy ich powstrzymać, ale nie teraz. Gdyby dzisiaj zorientowali się, że wiemy już tak dużo, na pewno by się spłoszyli i tyle po naszej misji. Gdyby się nawet nie zorientowali, to na pewno nie poszliby na akcję, a wtedy nie moglibyśmy ich zdemaskować. Nie, dzisiaj nie chcemy im przeszkadzać w przygotowaniach. Chcemy...

- Tak?

- Chcemy się do ich przygotowań dołączyć.

Kuba tracił cierpliwość.

- Ma pan jakiś plan?

- Jeszcze nie. Sądzę, że razem coś wymyślimy.

Chłopcy spojrzeli na siebie. Zapadła chwila ciszy.

- Gdybyśmy tak - pierwszy odezwał się Rufus - mieli mikrochipy albo miniaturowe nadajniki GPS. Moglibyśmy wywiercić w trzonkach małe kanały i umieścić w nich nadajniki, a potem w nocy namierzyć...

- I wjechać wozami policyjnymi na sygnale - dokończył podekscytowany Kuba - okrążyć złodziei i po akcji!

Podniosłem w górę dłoń.

- Spokojnie, panowie. Nie mamy mikrochipów, a mój GPS raczej nie zmieści się w trzonku szpadla.

- To do bani - powiedział zrezygnowany Kuba.

- Niekoniecznie. Pomyślmy...

Rufus poprawił okulary.

- Widziałem w pewnym filmie, jak detektywi użyli niewidocznego gołym okiem płynu.

Wysmarowali nim jakąś rzecz, nie pamiętam, co to było, a potem okazało się, że ten płyn zostawiał

98

na rękach plamy, które pojawiały się po kilku godzinach.

- Fajny pomysł - podchwycił Kuba - my też tak zrobimy!

- Rzeczywiście - powiedziałem - pomysł nie jest zły. Właściwie nie musimy używać żadnego specjalnego środka. W nocy złodzieje nie zauważą zwykłego smaru albo jakiejś farby.

- Nie jestem pewien - odezwał się niespodziewanie Bazyl - czy ten plan coś wniesie do naszego śledztwa.

- Hm?

- Kto wie, czy jutro rano będziemy mieli możliwość widzieć się ze złodziejami. Adamek i hrabia, jeśli to oni, mogą zostać w motelu albo w ogóle gdzieś zniknąć. Tym bardziej Batura. Mam raczej inny pomysł. Łopatom, które współnicy „wypożyczą” z namiotu pana Jagody nie może się nic stać. Gdyby się na przykład zniszczyły, złodzieje będą musieli kupić nowe, żeby się nie wydało.

A gdzie pójdą je kupić? Do sklepu żelaznego w Komorowie, w którym już będziemy na nich czekać. I co?

- Super! - Kuba najwyraźniej nie mógł się doczekać nocnej akcji. - Zrobmy tak!

- A jaki masz pomysł - spytałem - żeby szpadle się złodziejom zniszczyły?

Bazyl wzdrygnął ramionami.

- Wystarczy je nieco podpiłować u nasady trzonka.

Kuba aż się trząsnął z podniecenia.

- Tak! Tak! Niech pan dzwoni do Kasi, żeby je przywoziła. Ma pan w tej swojej torbie jakąś piłę?

Oczywiście miałem przy sobie niewielki brzeszczot, ale nic nie odpowiedziałem. Musiałem przyznać w myślach, że pomysł jest świetny. Wybrałem numer pani magister.

- Jak się udała wycieczka na plażę? Dobrze się pan bawił? - spytała po przywitaniu.

- Wyśmienicie. Pozbierałem swoją drużynę i wracam do obozu. Za kwadrans będziemy na miejscu.

Nasze zaproszenie jest oczywiście aktualne.

- Oczywiście wpadniemy, choć na chwilę. Muszę w końcu zobaczyć to pańskie чудо, ten tysiągwiązkowy hotel. żeby tylko Jorvik go nie rozszarpał...

- Czekamy na was.

- OK. Już wsiadam.

- Jeszcze jedno. Zdobyliśmy w Stegnie pewne informacje, które chcemy wykorzystać do zdemaskowania złodziei dirhemów. Potrzebne nam będą wasze łopaty i szpadle. Niech pani przywiezie wszystkie, które macie. I proszę nie mówić o tym nikomu poza pani szefem.

Odpowiedziało mi milczenie w słuchawce.

- Łopaty? - usłyszałem po kilku chwilach cichy głos. - Nie dostał pan SMS-a?

Spojrzałem na monitor. Rzeczywiście miałem jedną nieodebraną wiadomość. Otworzyłem.

Przyszła dwie godziny temu, gdy Rufus wyłączył mój aparat. W SMS-ie Kasia pisała, że ze stanowiska znikło kilkanaście narzędzi, w tym wszystkie łopaty. Nikt nie wie, co się z nimi stało.

Sklep w Komorowie był już zamknięty, więc Kasia z Jagodą prosili, żebym zajechał do marketu budowlanego w Elblągu i kupił na rachunek Muzeum Archeologiczno-Historycznego kilka nowych sztuk.

- Przepraszam, ale dopiero przeczytałem.

- Nic takiego. I tak już dzisiaj nie będziemy kopać. Tylko po co wam nasze łopaty?

Zrezygnowałem z dalszych wyjaśnień.

- Lepiej niech już pani przyjedzie.

99

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

**PAN DOKTOR I KASIA W NASZYM NAMIOCIE • NOWE ZDJĘCIA I NOWY PLAN •**

**WIELKA WĘDRÓWKA LUDÓW • SIEDEM KRÓLESTW • DŁUGIE ŁODZIE**

**WIKINGÓW • ALFRED I JEGO CHOROGRAFIA • WRESZCIE WULFSTAN**

Choć już było grubo po dwudziestej pierwszej, na dworze było wystarczająco jasno, żebym wyraźnie rozpoznał zieloną micrę pani archeolog. Podjechała pod sam namiot, ów „dom z sierści”, skarb beduińskich nomadów i na jego widok omal nie parsknęła śmiechem. Wskoczyła z samochodu

i przystąpiła do fachowych oględzin naszego „hotelu”. Zaraz potem zza prawych drzwi nissana wyłoniła się rozpromieniona twarz pana Jagody.

- Więc tu mieszkanie! - zawołał - No, no. Przydałby się taki cud na naszym stanowisku.

- Niech pan wejdzie do środka - zaprosił gościa Bazyli - i zobaczy, Őe wŕtrze wcale się nie nagrzewa, choć przez cały dzieŕn namiot stał na słońcu.

Weszliŕmy wszyscy do głównego pomieszczenia. W ŕwietle lampy naftowej usiedliŕmy na rozścielanych matach i popijaliŕmy mocną herbatę. To zadziwiające, jak mocna, gorąca herbata moŕe gasić pragnienie w taki duszny dzieŕn jak ten. Archeolodzy wypytywali o historię mej ostatniej zdobyczy, a ja z przyjemnością zachwalałem jej proste, ale wciąż skuteczne rozwiązania.

Dość szybko rozmowa zesła na zasadniczy temat naszego spotkania. Opowiedziałem o planach Batury na dzisiejszą noc oraz o spotkaniu hrabiego i Adamka z Tworkowskimi i moich podejrzeniach z tym związanych.

- Od poczátku wiedziałem, Őe to oni - pstryknęła palcami Kasia.

- Nie wyciągajmy zbyt daleko idących wniosków - powiedział pan Marek. - Spotkanie się tych państwa w wakacyjnej miejscowości niczego nie dowodzi. Myślę, Őe cenniejsza wskazówka tkwi w tym, Őe złodzieje mają plan geomagnetyczny stanowiska.

- No właŕnie - powiedziałem - musieli go przejąć.

W tym momencie Jagoda wyjął z czerwonej teczki komputerowy kolorowy wydruk.

- Tuŕ przed wyjazdem do państwa dostałem przez kuriera duplikat. Proszę spojrzeć.

Rozłoŕył wydruk, na którym bez trudu znaleźliŕmy znane nam z poprzedniego planu stanowiska zarysy linii brzegowej, torów kolejowych i głównej szosy. Na zdjęciu było jednak o wiele więcej szczegółów, trudnych nawet do nazwania dla takich laików jak my.

- Niech pan spojrz na te jasne róŕowe linie - wskazał uczoney. - Odgradzają jasnozielone plamy od tych ciemniejszych. To dawna linia brzegowa. Poza nią moŕemy szukać jedynie wraków łodzi albo wrzuconych do zatoki ŕmieci Ale po tej stronie były domy, warsztaty, targ, a moŕe coŕ w rodzaju banku. Spójrzcie, niektóre z tych linii sà wyraźniejsze. To znaczy, Őe nie sà tak głęboko, jak pozostałe. Gdybym był archeologiem, któremu się śpieszy do skarbów, najpierw tu skierowałbym wykrywacz metali. Gdybym był złodziejem albo poszukiwaczem skarbów, co zresztà na jedno wychodzi, zrobiłbym to samo.

- Czy duŕo jest takich miejsc?

- Pięć, moŕe sześć. Ale te dwa - pokazał na planie - znajduj à się zbyt blisko naszego obozu, Őeby złodziej ryzykował eksplorację. Zwłaŕsza Őe dzieŕn był dość suchy i na mgłę się nie zapowiada.

Wziàłem do ręki zdjęcie i przyjrzałem się wskazanym punktom.

- Czy ma pan ten plan - spytałem - na którym były zaznaczone dołki?

- Niestety, nie wziąłem go.

- Nic nie szkodzi, mam kopię.

100

WłóŜyłem rękę do torby i wyciągnąłem arkusz papieru włóŜony tu poprzedniego dnia przez Kasię. Spojrzałem kątem oka na jej reakcję. ChociaŜ udała obojętność, w jej niebieskich oczach dostrzegłem zmieszanie.

- O! - zdziwił się pan Jagoda. - Nie widziałem, Őe zdąŜył pan w „Nowej Holandii” zrobić ksero.

- Pozwoli pan, Őe tym razem zasłonię się tajemnicą zawodową.

- Oczywiście - podekscytowany Jagoda zatarł dłonie - prawo detektywa.

Zerknąłem w stronę jego asystentki. Mrugnęła do mnie znacząco w podziękowaniu.

Uśmiechnąłem się.

- Pani Kasiu - zwróciłem się do niej - czy moŜe pani zaznaczyć na tym planie te najwyraźniejsze linie ze zdjęcia?

- Z przyjemnością.

Podąłem jej ołówek. Najpierw zaznaczyła dwa obszary najbliższe obozu.

- Ten teren oczywiście wykluczamy - powiedziałem - niech pani rysuje dalej.

Na planie pojawiły się pozostałe cztery kreski. Wskazałem palcem na dwie z nich.

- Niech państwo zobaczą. Te tereny zostały juŜ przeszukane przez złodziei.

- To prawda - podchwycił archeolog. - Pozostają zatem te dwa miejsca.

Jedno z nich znajdowało się w połowie pomiędzy naszymi obozami. Drugie było nieco oddalone w kierunku DruŜna.

- Tu będą dziś kraść! - powiedziałem. - Po prostu tej nocy musimy obstawić te dwa obszary.

Jagoda podrapał się w brodę.

- Hm. To zestawienie rzeczywiście zwiększa prawdopodobieństwo złapania bandytów niejako za rękę. Ale nadal do obserwacji pozostaje spory rejon.

- Wchodzimy czy nie wchodzimy, panie doktorze? - spytała Kasia.

Spojrzał na nasze zdecydowane miny.

- Wchodzimy!

Chłopcy wydali okrzyk tryumfu.

Wyszliśmy nad jezioro, żeby w przyjemnej wieczornej atmosferze omówić szczegóły akcji.

- Rozdzielimy się na dwie grupy - zaproponowałem.

- Pan Paweł - wtrącił Kuba - jest specjalistą w rozdzielaniu się na dwie grupy. Z tym, że jedna musi wpaść do rowu i się skąpać.

- Jak się boisz - odpowiedział mu Rufus - to możesz zostać w namiocie.

- Wcale się nie boję, tylko martwię o twoje zdrowko.

- Nic się nikomu nie stanie - zapewniłem. - Rufus i Bazyli, wy pójdziecie na zwiady z Kasią.

Ja i Kuba idziemy z panem Jagodą.

Kasia zrozumiała moje intencje.

- Już ja się nimi zaopiekuję.

- Tylko proszę pamiętać, że znęcanie się nad młodzieżą bez zgody ich opiekuna jest przestępstwem.

Zachichotała.

- Jestem gotowa zostać przestępcą jeśli miałyby wyrosnąć z nich takie same ancymonki jak nasi dwaj studenci.

- No właśnie, a co z pozostałymi na stanowisku? Czy nie będą się niepokoić waszą nieobecnością?

Jagoda potrząsnął głową.

101

- Nie powinni niczego podejrzewać. Budyń i Kisiel, to znaczy przepraszam, panowie Bigos i Kugiel, pewnie jeszcze łowią ryby nad jeziorem i wrócą do obozu za jakąś godzinkę. Tworkowscy wrócili tu przed naszym wyjazdem. Powiedziałem im, że mamy ważną sprawę i możemy dziś nocować w Elblągu. Nie wspomniałem im nawet o zniknięciu łopat.

- O ile oni nie wiedzieli o tym wcześniej od nas - dodała Kasia.

- W takim razie - powiedziałem - zsynchronizujmy nasze czasomierze i wymieńmy się numerami komórek.

- Najlepiej puśćmy sobie sygnałki - przejął inicjatywę Kuba - i wyciszmy telefony, na wszelki wypadek musimy mieć niezawodny, ale dyskretny kontakt.

Jagoda pokręcił głową.

- O tempora, o mores!

Na to przysłowie Rufus, który od kilku miesięcy wkuwał łacińskie sentencje oświł się i podszedł do archeologa.

- To nie „mores” - powiedział. - To raczej „signum temporis”. Tak w ogóle.

Jagoda zaśmiał się tak głośno, że z pobliskiej kępy trzciny wyrwały się w górę dwa piękne łabędzie. A śaby jakby głośniej mu zawtórowały.

Spacerowaliśmy wzdłuż brzegu podziwiając pogodny wieczór. Dopiero teraz można było swobodnie oddychać i zmęczenie upałem powoli ustępowało. Bazyli z Kubą stwierdzili, że woda jest dostatecznie ciepła, żeby się jeszcze wykąpać. Zgodziłem się, ponieważ, oprócz względów higienicznych, miałem nadzieję, że orzeźwi ich to przed akcją. W tym czasie z Jagodą wdaliśmy się w dyskusję na temat przyczyn katastrofy pewnego liberatora w Gibraltarze. Natomiast Rufus męczył Kasię swoimi zagadkami, a zwłaszcza nie przepuścił jej zadania o Jurku. Jednym uchem usłyszał to pan Marek.

- Czy mógłbyś, młody przyjacielu, powtórzyć tę zagadkę?

- Pewnie - odrzekł Rufus. - Oto ona: Andrzej ma szesnaście lat. To jest dwa razy tyle, ile Jurek miał wtedy, gdy Andrzej miał tyle, ile Jurek ma teraz. Ile lat ma Jurek?

- Hm. Dobrze, dobrze. A gdzie ten Jurek mieszka? Może go zapytać?

- To nie jest trudniejsze od znalezienia Truso.

- Tak? - pan Jagoda był w świetnym humorze. - Ja też musiałem kiedyś znaleźć rozwiązanie pewnego zadania.

- Jakiego?

- Matematycznego. Jak czytamy w kronice, podróż z duńskiego portu Hedeby do Truso zajęła Wulfstanowi siedem dni i siedem nocy. Jego statek poruszał się z prędkością trzech i pół węzła. Nie jest to prędkość zawrotna, nawet jak na tamte czasy, dlatego przyjmuje się, że Wulfstanowi chodziło o średnią prędkość. Ponieważ dokładnie wiemy, gdzie leżało Kedeby, więc ta informacja może być cenną wskazówką dotyczącą właściwej lokalizacji Truso. Więc powiedz mi przyjacielu, ile kilometrów przebył Wulfstan?

- To bardzo interesująca zagadka - odpowiedział Rufus. - Niestety, nie jestem miłośnikiem żeglarstwa, więc nie orientuję się w tych różnych węzłach.



- Węzeł to jednostka prędkości, to jedna mila morska na godzinę.

- Mila morska?

- Około 1850 metrów.

- Muszę chwilę pomyśleć...

- Oto moja propozycja - Jagoda wyciągnął rękę do Rufusa. - Dajmy sobie czas do jutra. Kto nie rozwiąże zadania, będzie obierał ziemniaki dla całej ekipy.

102

- Wchodzę w to.

Uścisnęli sobie dłoni. W tym czasie wrócili z kąpieli Kuba i Bazyli.

- Ale fajne uczucie - powiedział zadowolony Kuba - kąpać się w tej samej wodzie, po której kiedyś pływały statki z całego świata. Może Wulfstan też się tu kąpał.

- Stuknij się w głowę - odparował mu Rufus - przecieś „nikt nie może wejść dwa razy do tej samej rzeki”.

- Nie mówię o rzece, tylko o jeziorze.

- To tylko takie przysłowie. Zresztą przez Druśno też przepływa rzeka. Nie pamiętasz, że Wulfstan przez nią wpływał do Truso.

- Nie musisz mi przypominać.

- Swoją drogą - wtrąciłem - czy wiadomo, kim właściwie był Wulfstan? Czy sam opisał swoją podróż? Był jakimś pisarzem? Dlaczego jego relacja ma tak duże znaczenie dla mieszkańców Europy?

Jagoda zerknął na Kasię. Głaszcząc Jorvika wpatrywała się w srebrzysty księżyc, który odbijał się w spokojnym lustrze wody.

- Tak, to bardzo ciekawe. Myślę, że najlepiej o tym opowie nasza specjalistka.

Kuba zwrócił się do niej.

- Pani Kasiu, niech pani opowie.

Kasia poprawiła włosy i gestem pokazała, że jest chłodno. Jagoda zdjął marynarkę i założył

na jej ramiona. Usiedliśmy na pieńku przed namiotem. Bazyli rozniecił niewielkie ognisko i po chwili zrobiło się dużo przyjemniej.

- Ale od czego by tu zacząć? - spytała nieśmiało. Muszę przyznać, że skromność, tak niespodziewana u tej zadziornej panny, dodała jej uroku.

- Od początku - wypalił ni z gruszki, ni z pietruszki Kuba.

- Zaczę od końca. Od końca cesarstwa rzymskiego. To ciekawy czas w historii. W V wieku Imperium Romanum było już bardziej wspomnieniem niż rzeczywistością, jego tereny zaczęły najęśdę od północy tak zwane ludy barbarzyńskie. Na przykład germańscy Wandalowie, Goci, Longobardowie czy Frankowie. Szukali dla siebie nowych siedzib w miastach i wioskach starego cesarstwa, za zgodą Rzymian lub bez niej. Rozpoczął się wtedy okres zwany wielką wędrówką ludów. W tym czasie legiony rzymskie opuściły Brytanię. Rzymianom nigdy nie udało się do końca skolonizować tej zamieszkaanej przez Celtów wyspy, ale przez czterysta lat byli faktycznymi jej panami. Po ich odejściu na wyspie zostało sporo dóbr cywilizacyjnych, ale i zrobiła się spora luka.

Rdzenni mieszkańcy, zepchnięci gdzieś w górzyste rejony Walii i Szkocji oraz na sąsiednią Irlandię, nie byli w stanie jej zapełnić. Natomiast ludy germańskie, silne, bitne i wielodzietne akurat szukały dla siebie nowego miejsca. Dlatego w V i VI wieku brytyjskie tereny opuszczone przez Rzymian zostały skolonizowane przez trzy plemiona: Jutów, Angłów i Sasów, którzy zamieszkiwali wcześniej Półwysep Jutlandzki i dzisiejsze północne Niemcy.

- Sasi? - spytał Rufus. - Ci sami?

- Dokładnie. Sasi z Saksonii, nasi zachodni sąsiedzi w średniowieczu byli ich etnicznymi kuzynami. Musicie jednak pamiętać, że w okresie wędrówki ludów całe narody opuszczały swoje dotychczasowe terytoria i znajdowały nowe siedziby. Słyszeliście pewnie o Wandalach?

- Tak - zawołał Kuba - nasza pani wychowawczyni tak nas nazwała, gdy rozebraliśmy na części szkielet mrówkojada w gabinecie biologii.

- Ha, ha - zaśmiała się Kasia - wcale się jej nie dziwię. Wandalowie swoje niechlubne miano zapisali w historii w 455 roku, gdy złupili Rzym i wywieźli jego skarby do Kartaginy. Ale tak naprawdę wcześniej mieszkali na terenie dzisiejszej południowej Polski. Być może krakowska 103

księśniczka Wanda od nich wzięła swoje imię. Tak czy inaczej po upadku cesarstwa rzymskiego Wandalowie sprzymierzeni z irańskimi Alanami utworzyli u wybrzeży Morza Śródziemnego kwitnące państwo. Pozostałością ich władania jest nazwa Andaluzji w południowej Hiszpanii.

- To ciekawe - przyznałem.

- Podobnie powstała nazwa Lombardii w północnych Włoszech i oczywiście nazwa Francji, nie mówiąc już o Anglii, do której dąę w swojej opowieści. Na razie jednak jesteśmy na kontynencie. Po burzliwych wydarzeniach V i VI wieku sytuacja zaczęła się powoli klarować. Na wschodzie pozostało Bizancjum, tereny południowe zajęli w VII wieku Arabowie, na północy dali o sobie znać Słowianie, a schryścianizowane państwa germańskie stawały się podwaliną zachodniej cywilizacji. Ten proces osiągnął swój szczytowy punkt w roku 800, gdy potęśny król Franków Karol Wielki został cesarzem. Wydawało się, że czas zamieszania bezpowrotnie przeminął, gdy wtem na Europę

spadło nieszczęście z zupełnie niespodziewanej strony.

- Jakie nieszczęście? - krzyknął Kuba.

- Nie domyślasz się? - wtrącił z uśmiechem Rufus. - Chyba nie słuchałeś uważnie pana Pawła.

Kuba stuknął się demonstracyjnie w czoło.

- Aha, wikingowie! Niech pani opowiada!

- Świetnie, ale o nich za chwilę - Kasia zerknęła w stronę chłopców - tymczasem musimy wrócić na Wyspy Brytyjskie.

- I tu się zaczyna - powiedział zacierając ręce Jagoda - konik naszej pani magister. Proszę się nie krępować, pani Kasiu, chłopcy i tak już niemal śpią.

- Wcale nie! - zawołał Rufus. - Słuchamy z uwagą. To co z tymi Anglikami, co z tym Truso?

Kasia poprawiła włosy.

- Anglicy, a raczej ich przodkowie Anglosasi, którzy stopniowo zasiedlili teren współczesnej Anglii, na dobre zakorzenili się w dawnej celtyckiej kulturze. Z czasem przyjęli chrześcijaństwo z rąk mnichów irlandzkich. Początkowo tworzyli kilkanaście królestw patrymonialnych. Potem zostało siedem większych i kilka całkiem małych, dlatego okres świetności anglosaskiej zwany jest okresem „heptarchii”, czyli siedmiu królestw. Były to Kent, Northumbria, Wessex, Essex, Sussex, Mercja i East Anglia. Monarchie te rywalizowały między sobą o władzę, więc możecie sobie wyobrazić, że nie było wtedy sielanki. Zresztą są to czasy, w których Szekspir umieścił takie dramaty, jak „Król Lear” czy „Lady Makbet”, czasy wojen, zdrady i intrygi.

- Aż na swoich długich łodziach przyплыли wikingowie i położyli kres wszelkim -

filozoficznie stwierdził Marek Jagoda. - Pamiętam z czasów młodości taki film „Długie łodzie Wikingów”, oglądaliście go?

- Nie - zaprzeczyli chłopcy.

Kasia zachichotała.

- Nie dziwię się, to przedpotopowy film, chyba kręcili go bracia Lumiere.

Jagoda aż się zatrząsł.

- Nie jest aż tak stary, pochodzi z lat sześćdziesiątych. Piękny przygodowy obraz i w technicolorze.

- Wikingowie to ludy północnogermańskie, które od wieków zamieszkiwały Skandynawię i Półwysep Jutlandzki - Kasia wróciła do tematu zasługując szykującą się sprzeczkę. - W epoce karolińskiej nie mieli już niemal nic wspólnego z ich dalekimi krewnymi z Niemiec czy Anglii.

Były to rolnicze społeczeństwa, które trudne warunki zmusiły do kierowania się surowymi obyczajami i popchnęły je do grabieżczych wypraw. Wikingowie w oczach ówczesnych Europejczyków byli pogańskimi barbarzyńcami. Gdy pod koniec VIII wieku zaczęli pustoszyć 104 cywilizowane wybrzeża Francji czy Brytanii, traktowano ich jak „bicz Boży”.

- Podobnie - wtrąciłem - jak w V wieku Wandalów czy Gotów.

- Słusznie. Pierwsze najazdy „pogan” zapamiętano głównie jako niszczenie kościołów i plądrowanie klasztorów. Ale gdy w kolejnych latach wracali oni w to samo miejsce, budowali tam swoje przyczółki, a z czasem przywozili osadników i zakładali stałe kolonie. Osadnictwo wikingów z IX i X wieku przerasta nasze popularne wyobrażenia.

Rufus wyrwał się:

- Przecież to wikingowie pierwsi dotarli do Ameryki!

Kasia uśmiechnęła się.

- Oczywiście, ale to późniejsza historia. Wikingowie, chociaż nie dzielili się wtedy na oddzielne narody, kierowali swoje osadnictwo w trzech kierunkach. Ci ze Szwecji, czyli Waregowie, opanowali szlak handlowy z wybrzeży Bałtyku, wzdłuż Dniepru do Morza Czarnego i Bizancjum. Ich pozostałością są liczne kurhany w północnej Rosji i założone przez nich miasta, chociażby Kijów. Norwegowie natomiast kierowali się na zachód, poprzez Szetlandy i Wyspy Owcze na północ do Islandii i Grenlandii albo do brzegów Irlandii i Szkocji. Nas jednak najbardziej interesują Duńczycy, którzy opanowali główne porty na południowym Bałtyku z jednej strony i wybrzeża Niemiec i Anglii z drugiej.

- A dlaczego mieliby nas interesować Duńczycy?

- Bo mają ścisły związek z Truso i anglosaską relacją, która o niej mówi.

- Więc?

- Mniej więcej wtedy, gdy Karol Wielki wkładał cesarską koronę, Duńczycy wyruszyli wielką armią na zachód. Od morza wspierała ich potężna jak na tamte czasy flotylla. Wojska duńskie spaliły Hamburg, którego Frankowie nie byli w stanie obronić i ruszyły w kierunku ujścia Renu i Sekwany. Stamtąd już tylko kanał La Manche dzielił ich od królestw Anglów i Sasów. Przez następnych kilkadziesiąt lat główne siły Duńczyków prowadziły wojny z następcami Karola Wielkiego, natomiast ich odłamy regularnie najeżdżały Brytanię. Osłabione wewnętrznymi sporami królestwa anglosaskie upadały jedno po drugim przed „poganami” z kontynentu. Do lat siedemdziesiątych IX wieku Duńczycy narzucili swoje panowanie niemal całej Anglii. Obszar ich władzy był znany jako „Danelaw”, a narzucone przez nich olbrzymie podatki jako „Danegeld”.

Dawne królestwa albo zostały przejęte przez najeźdźców, albo rozbite i na ich miejscu powstały nowe, normańskie państwa. To przecież wikingowie założyli miasta Dublin i Limerick w Irlandii oraz stworzyli prężne królestwo w Yorku.

Usłyszawszy nazwę tego angielskiego portu, towarzyszący Kasi szetland zerwał się na nogi, radośnie zaszczekał i wskoczył przednimi łapami na jej kolana.

- Tak, tak - pogłaskała go za uchem - chciałeś dodać, że to królestwo Duńczycy nazywali Jorvik.

- Ale powiedziała pani - Rufus dalej wypytywał - że wikingom nie udało się zdobyć całej Anglii?

- Właśnie. Wobec najazdu zostało się tylko jedno, położone najbardziej na zachód, królestwo Wessexu. Od lat trzydziestych IX wieku stawiało opór Duńczykom, a nawet czasami zadawało im klęskę, jak chociażby w roku 851, gdy zachodni Sasi pod wodzą króla Aethelwulfa zdobyli Londyn.

Ale największą sławę zyskał jego syn Alfred, nazwany przez potomnych Wielkim. I to właśnie dzięki niemu wiemy, że istniało Truso.

- Tak? - zawołał Kuba. - Niech pani opowiada.

- Może kilka słów o nim samym. Alfred objął tron Wessexu w 871 roku po swoim zmarłym bracie, który zginął z rąk Duńczyków. Pomimo zniszczeń spowodowanych wojną, Alfred zdołał

105

odbudować, a nawet wzmocnić ten skrawek państwa, który mu pozostał. Reszta kraju na mocy

„Danelaw” należała do najeźdźców. Aby uniknąć ataków, Alfred ukrywał się przez dłuższy czas w bagnistych okolicach rzeki Athenley. Tam zdołał zgromadzić garstkę wiernej mu szlachty anglosaskiej i w 878 roku poprowadził ich na Duńczyków. Niespodziewanie Anglosasi odnieśli zwycięstwo w bitwie pod Edington. Z czasem Alfred podporządkował sobie duńskiego władcę Mercji, Guthurma, a później odzyskał Londyn. Zorganizował saską administrację, nadał nowe prawa, zbudował twierdze i powiększył flotę, która mogła stawić czoło wrogom na morzu. Poza tym był zręcznym dyplomatą i nawet dwukrotnie odwiedził Rzym. Gdy umierał w 899 roku, Anglia była silna i skonsolidowana.

- Więc gdzie to Truso? - spytałem zniecierpliwiony.

- Alfred Wielki był znanym patronem literatury i sztuki. Jako człowiek wykształcony wiedział, jak ważna dla administracji i przetrwania państwa jest znajomość ojczystego języka.

Dlatego panowanie Alfreda to okres świetności literatury anglosaskiej. Władca otaczał się pisarzami i intelektualistami. Kazał sprowadzać z irlandzkich klasztorów dzieła klasyków i tłumaczyć je na swój język. Zresztą, co tu dużo mówić, w te działania był zaangażowany osobiście.

- To znaczy?

- Król Alfred osobiście tłumaczył niektóre utwory. Oczywiście to nie znaczy, że siadywał

przy biurku obłożony słownikami. Wyglądało to raczej tak, że jakiś skryba-mnich czytał oryginał

po łacinie i wyjaśniał królowi, o co w tekście chodzi, a następnie król dyktował innemu skrybie ostateczną wersję w anglosaskim, w którym, jakbyśmy to dziś nazwali, uchodził za eksperta. Jak się domyślacie, ta metoda sprzyjała sporej dowolności, zwłaszcza przy rozległych zainteresowaniach Alfreda.

- Co go tak zajmowało?

- Interesowała go filozofia i historia. Jak się wydaje, szczególnym sentymentem darzył

Augustyna z Hippony i jego środowisko. Na przykład przetłumaczył jego dialogi filozoficzne

„Soliloquia”. Jak pewnie wiecie, święty Augustyn Źył u schyłku cesarstwa rzymskiego i widział na własne oczy podbój swojej prowincji przez Wandalów.

- Tych Wandalów z Krakowa? - wypalił Kuba.

- Powiedzmy, Źe tych.

- Ale się zapętiło!

- Trzeba przyznać - ciągnęła Kasia - Źe najazd Wandalów pozostawił ślad w dziełach Augustyna i jego uczniów. Być moŹe Alfred Wielki widział podobieństwa pomiędzy wydarzeniami z V wieku a podbojami „pogan” w jego czasach. Jakkolwiek było, pewnego dnia król Alfred postanowił przetłumaczyć na anglosaski „Chorografię” Orozjusza. Pewnie nie wiecie, co to jest chorografia?

- Wiemy, wiemy - zawołał zadowolony Kuba ku zdziwieniu Rufusa i Bazylego. - To zestawienie krain geograficznych.

- Źwietnie. W Źredniowieczu historycy często poprzedzali swoje dzieła chorografią, tak jak dzisiejsi dołączają mapki. Na przykład Jan Długosz poprzedził swoją kronikę takim zestawieniem.

Podobnie zrobił historyk z V wieku Paweł Orozjusz. Był to duchowy uczeń świętego Augustyna. W

tamtym czasie wyznawcy religii rzymskiej oskarŹali chrzeŹcijan o upadek imperium rzymskiego.

Augustyn miał na historię zupełnie inny pogląd, choć przecieŹ sam był teologiem, nie historykiem.

Natomiast poglądy historyczne Augustyna wyluszczył Orozjusz w monumentalnym dziele zatytułowanym „Historia przeciw poganom”. Poprzedzało go zestawienie znanych podówczas krain. To właśnie zestawienie, czyli „Chorografię”, przetłumaczył czterysta lat później Alfred Wielki, król Wessexu.

106

- I jak mu to wyszło? - spytałem.

- Alfred potraktował dzieło Orozjusza jako punkt wyjścia. Sam z pewnością, jako polityk i

intelektualista, interesował się geografią odległych krain. Dlatego uzupełnił dziełko Orozjusza dwiema relacjami opisującymi krainy, których historyk z V wieku znać nie mógł. Były to sprawozdania z podróży Otherego i Wulfstana.

- Co to za relacje? - spytał Rufus.

- Othere był w dosłownym sensie tego słowa wikingiem. Mieszkał w Skandynawii i zajmował się hodowlą bydła oraz reniferów. Jak na nordyckie warunki był bogaczem. Opowiedział królowi o swojej wyprawie na północ, do wybrzeży Morza Białego i o powrocie do portu Hedeby w Danii.

Jego opowieść to pierwszy w dziejach opis Norwegii i północnej krainy Lapończyków. Drugi dodatek w „Chorografii” Alfreda to relacja Wulfstana, którą świetnie znacie.

- Kim właściwie on był? - Rufus był bardzo dociekliwy.

- Prawdopodobnie Anglosasem, jak wskazuje jego imię. Czasem uważa się go za kupca. W

końcu Hedeby i Truso były osadami handlowymi. Co ciekawe, relacja Wulfstana zaczyna się dokładnie tam, gdzie kończy się opowieść Otherego. Król Alfred starannie dobrał te dwa sprawozdania, tak żeby poszerzyły wiedzę ówczesnych o Skandynawach, Słowianach i ludach sąsiednich. Możemy się jednak domyślać, że króla Wessexu przede wszystkim interesowali Duńczycy i zasięg ich wpływów. Być może Wulfstan był specjalnym emisariuszem Alfreda, który dostarczył mu więcej informacji, niż wskazuje na to zachowany opis. To przecież w „Chorografii”

po raz pierwszy użyto nazwy „Dania”, na sto lat przed zjednoczeniem tego państwa.

- Nie mówiąc o nazwie Truso - stwierdził Rufus.

- Właśnie - Kasia wstała i oddała tweedową marynarkę panu Jagodzie. - Teraz już wiecie, dlaczego Truso budzi tak wielkie zainteresowanie na całym świecie. A my je po prostu odkryliśmy.

Co mówiąc stanęła przed Jagodą i niczym mała dziewczynka dygnęła z uśmiechem na twarzy.

- Ha - archeolog poczuł się chyba zakłopotany. - My tu gadu-gadu, a już dwudziesta trzecia za pasem. Czas na zajęcie stanowisk, bo nic nie pozostanie z naszych odkryć i okaże się, że na próśno Wulfstan płynął siedem dni i siedem nocy.

- Tak jest - Kasia poczuła spóźniony instynkt skautowski. - Załoga do mnie. Idziemy i trzymamy się z daleka od rowów. Za mną!

107

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**DYSKUSJA NA WIERZBIE • SKĄD PRZYJECHAŁ HRABIA? • PRZYBYWAJCIE! •**

## ZŁODZIEJE! • KOLEJNY GŁOŚNY PLUSK • NOCNY POŚCIG • REZYGNUJE

Biegliśmy z Kubą kilka metrów za archeologiem podziwiając jego zwinność w przeskakiwaniu kolejnych przeszkód wodnych. Z podwiniętymi nogawkami i siwą brodą przypominał czapłę, której precyzyjne kroki instynktownie znajdują niewidoczne suche miejsca pośród mokradeł. My, nowicjusze, byliśmy raczej podobni do Śab, które przy kaŜdym skoku obmyślają nową strategię.

Jagoda spoglądał raz po raz na plan stanowiska, porównując otaczającą nas topografię z narysowanymi przez Kasię liniami. Na szczęście księŜyc tak jasno oświecił drogę, Őe nie musieliśmy uŜywaĆ latarek, które łatwo mogłyby nas zdemaskowaĆ.

- To tutaj! - rzucił szeptem, gdy oddaliliśmy się kilkaset metrów od namiotu.

- Schowajmy się w jakiejś trawie - powiedziałem.

- Hm, to moŜe nie być proste.

- Czemu?

- Co prawda sitowie jest doŝć wysokie, ale leŜąc nie będziemy mogli obserwowaĆ okolicy.

- Fakt. Co zatem?

Jagoda rozejrzał się wokół.

- Co myŝlicie o tej wierzbie?

Spojrzałem na oddalone o jakieŝ pięćdziesiąt metrów drzewo.

- Nie załamie się pod nami? - spytał Kuba.

- Nie powinno - z entuzjazmem zawołał uczony. - Zobaczcie na te grube konary i gęste listowie. Będziemy niewidoczni i co waŜniejsze, to ŝwietny punkt obserwacyjny.

Po chwili znaleźliśmy się na drzewie. Gdy Kuba zobaczył, Őe gałąź na której siedzi, zwisa nad jakimś ciekim, zachichotał i wierzba zaczęła się trząŝć. Omal nie spadł i tylko szybka interwencja pana Marka, który go uchwycił za ramię, uratowała nas przed kolejną kompromitacją.

Najwyraźniej widok wody wywołał w umyśle Kuby lawinę skojarzeń, której nie mógł opanowaĆ.

Po chwili jednak wszyscy usadziliśmy się wygodnie wśród wierzbowych witek i kaŜdy z nas obserwował okolicę w innym kierunku.

Minęła godzina, w której właściwie nic się nie zdarzyło. Okolica była widoczna jak na dłoni, nie mieliŝmy wątpliwoŝci, Őe nikt się wokół nie kręcił.

- Kuba, nie ŝpisz? - szarpnąłem go za koszulkę.



- Próbuje nie spać - odpowiedział ziewając.

- Wyślij SMS-a do Kasi. Zapytaj co u nich.

Po chwili nadeszła odpowiedź.

Kuba przeczytał:

- U nas spokój. Siedzimy w trzcinach i rozwiązujemy zagadki. Kate.

- Zagadek jest sporo - powiedział Jagoda. - A pan kogo podejrzewa, panie Pawle?

- Przyznam, że początkowo podejrzewałem Kasię.

- Kasię? To niemożliwe, przecież to Haasówna.

- Tak, teraz to wiem. Zresztą mam niezależny dowód, że Kasia na pewno nie stoi po stronie złodziei. Pozwoli pan jednak, że na razie o nim nie wspomnę.

- Kto w takim razie?

- Mamy z chłopcami pewien interesujący wątek. Na wizytówce Batury widniały cztery litery: 108

T.W.B.A. Trudno oprzeć się pokusie łatwego rozszyfrowania skrótu: Tworkowscy, Winkel, Batura i Adamek.

- Hm, ciekawe.

- Wiem, że tak że Kasia ma duże wątpliwości co do Tworkowskich. Mówi, że czasami zachowują się bardzo dziwnie.

- Osobiście mam zaufanie do Tobiasza i Teodory. Rzeczywiście jednak czasem ich zachowanie trudno mi zrozumieć. Na przykład Tobiasz z uporem maniaka szuka w Truso i okolicznych stanowiskach dowodów obecności ludów pochodzenia germańskiego.

- Dlaczego to takie dziwne? Czyżby nie było takich dowodów?

- Wręcz przeciwnie, dziś już nikt nie zaprzecza, że okolice ujścia Wisły stały na drodze Gotów w ich podróży ze Skandynawii na południe w okresie wędrówki ludów. Pisał o tym nawet w VI wieku Jordanes w swojej „Historii Gotów”, gdzie nazwał ich Gepidami. Po odejściu Gepidów ich ziemie mieli przejąć Widiwariowie, co kojarzy mi się z Witlandią, krajem Estów, o którym wspominał Wulfstan. Podobnie współczesna nauka nie ma wątpliwości, że w IX wieku słowiańskie i pruskie porty, Strzałów, Wolin, Truso i inne, były kontrolowane przez Duńczyków. Tymczasem państwo Tworkowscy jakby szukali dodatkowych dowodów tam, gdzie ich nie potrzeba. Badają czaszki, analizują ceramikę, groty włóczni, monety i porównują z artefaktami z Niemiec i Skandynawii.

- Ale co to może mieć wspólnego z arabskimi monetami?

- No właśnie, nic.
- Tworkowska jest numizmatykiem, tak?
- Tak, ale szczerze mówiąc dirhemy nie robią na niej wrażenia. Gdyby choć znalazła na nich jakieś runy...
- Hm, rzeczywiście dziwne. A co pan myśli o hrabim i biznesmenie?
- CóŜ tu moŜna powiedzieć? Adamek to zupełny ignorant w dziedzinie historii. OŜywia się tylko, gdy omawiamy projekt rekonstrukcji Truso i związane z tym ewentualne zyski. Natomiast Herr von Winkel...
- Tak?
- To ciekawa postać. Wygląda na sentymentalnego staruszka. Dla nas najważniejsze jest to, Ŝe zaangażował się w projekt. Wydaje się jednak, Ŝe stoi za tym jakiś głębszy zamiar. Jeszcze nie wiem jaki. Owszem, interesuje się naszymi znaleziskami, słucha naszych komentarzy. Ale chyba głównie zajmują go pozostałości ponemieckie w jego dawnym majątku.
- Czyli ma coś wspólnego z Tworkowskim?
- Rzeczywiście, nie skojarzyłem tego wcześniej. Obaj szukają przede wszystkim śladów germańskich w Truso.
- MoŜe to tylko maska?
- Kto wie? Jak pan widzi, panie Pawle, litery z wizytówki Batury to słaba poszlaka.
- A moŜe ci studenci? Co prawda ich inicjały nie pasują, ale drogą eliminacji dochodzimy właśnie do nich.

Jagoda pokręcił głową.

- Wątpię. Nigdy nie było z nimi problemów. Mają dobrą rekomendację, ciężko pracują w ciągu dnia, a wieczory spędzają w swoim towarzystwie. Kasia nie ma o nich zbyt dobrego zdania, ale moja opinia jest inna.

Coś mi zaświtało.

- Proszę powiedzieć, kiedy hrabia wraca do Niemiec?

Archeolog odwrócił głowę w moją stronę.

109

- A dlaczego miałby jechać do Niemiec?

- Stamtąd chyba przyjechał.

- Nie - zaprzeczył zdecydowanie. - Von Winkel nie jest Niemcem. Mieszka w Innsbrucku.

- Co takiego?

- Tak. Hrabia jest Austriakiem.

Kątem oka widziałem, jak Kuba trzymając się konaru spojrział w moją stronę. Zrozumieliśmy się bez słów.

„Cóż - pomyślałem - może nie wszystko wygląda tak, jak widzi to pan Jagoda”.

W tym momencie na wyświetlaczu wyciszonego telefonu zobaczyłem symbol nadejścia wiadomości.

- SMS od Kasi - powiedziałem.

- Co napisała? - niemal jednocześnie zapytali Jagoda i Kuba.

- Ktoś się kręci po naszej okolicy. Z łopatami. Przychodźcie szybko! Kate. - przeczytałem.

Natychmiast zeskoczyliśmy z wierzby.

- Biegnijmy cichutko - wydałem instrukcję - niech pan prowadzi, zna pan przecież okolicę.

My za panem. Gdy zbliżymy się na odległość wzroku, zaczniemy się czołgać w trawie.

- Tak jest - zaszeptał Jagoda i pochylony do przodu zaczął dawać duże kroki. - Niech pan uważa na chłopaka, żeby nie narobił hałasu.

Kuba postanowił sam odpowiedzieć.

- Dam sobie radę, proszę prowadzić.

Pomimo niedużej odległości posuwaliśmy się powoli. Pan Marek wybierał drogę wzdłuż zarośniętych kanałów, aby rosące przy nich sitowie przez cały czas nas osłaniało.

Gdy byliśmy w połowie drogi, przyszedł kolejny SMS.

„Pośpieszcie się! Złodzieje już kopią. Są bardzo blisko. Sami nie damy im rady!” -

przekazałem telefon Kubie i Jagodzie, żeby przeczytali.

Przyśpieszyliśmy.

Przesuwaliśmy się bezszelestnie. Czasem tylko jakiś obudzony ptaszek wyfruwał w górę, ale my już byliśmy daleko od niego.

Wtem Jagoda się zatrzymał i podnosząc lewą dłoń dał nam znać, byśmy zrobili to samo.

- To musi być gdzieś tutaj - powiedział patrząc na plan. - Rozejrzyjmy się.

Powoli wychyliłem głowę ponad trzciny.

- Są - szepnąłem. - Trzech mężczyzn z łopatami, coś kopią.

- Mają wykrywacz metali? - spytał skulony ciągle Jagoda.

- Nie.

- To znaczy, że byli tu wcześniej, może wczoraj i wszystko przebadali. Dziś przyszli po łupy.

Kuba pociągnął mnie za nogawkę.

- Rozpoznaje ich pan?

- Są zbyt daleko. Na głowach mają chyba kapelusze przewiązane chustami i są w wojskowych pałatkach. Jeden z nich klęczy i wydłubuje coś z ziemi, chyba saperką. Dwaj pozostali pracują szpadlami.

- Szkoda - powiedział Jagoda - gdybyśmy ich tylko rozpoznali, dowody same by się znalazły.

- Fakt. Musimy podejść bliżej.

- Tylko tak, żeby nas nie zobaczyli zbyt wcześnie. Gdyby się spłoszyli, to po akcji.

- To prawda. A gdzie jest reszta załogi?

- Zaraz sprawdzimy - szepnął Jagoda.

Myślałem, że wyjmie telefon i zadzwoni do Kasi. On jednak złożył dłonie w trąbkę i wydał

110

dwa dźwięki podobne do kumkania ślab.

„Kua, kua” - odpowiedziało coś sto metrów dalej.

- Są tam - zawołał cichutko - po tej samej stronie kanału co my.

- Musimy się przedostać na drugi brzeg i przeczołgać jak najbliżej złodziei.

- Tak - potwierdził - nie zostaje nam nic innego. Myślę, że kanał można lekko przeskoczyć.

Gdy będziemy skuleni, przy odrobinie szczęścia, pozostaniemy niezauważeni.

Kuba spojrział na mnie.

- Kto pierwszy? - zapytał.

Jagoda machnął ręką.

- Ja pójdę. To nie pierwszozna, robiłem to setki razy.

- OK.

Archeolog podwinął swoje nogawki jeszcze bardziej do góry, skulił się, wyciągnął ręce przed siebie i odsuwając z drogi trzinę zrobił pierwszy krok. Sitowie jednak okazało się zwodnicze!

Głośny plusk spadającego do wody i wrzeszczącego pana Jagody wypłoszył całe wodne ptactwo z kanału. Podniosłem głowę ponad trawę. Złodzieje niemal natychmiast zaczęli biec w przeciwnym kierunku. Zerknąłem na Jagodę. Był cały i zdrow. Kuba szybko wskoczył do wody, aby mu pomóc. Nie zastanawiałem się długo. Każda sekunda była na wagę złota. Wyprostowany przeskoczyłem za jednym razem rów i co sił w nogach zacząłem biec za złodziejami. „Przydał się codzienny jogging” - przebiegło mi przez głowę. A jednak nie to było teraz najważniejsze.

W którym kierunku uciekali? Na płaskim jak stół polu widziałem ich sylwetki doskonale.

Jedna z nich bez wątpienia należała do Batury. Dwaj pozostali biegli nieco szybciej. Batura zrzucił płaszcz i przyśpieszył. Bieglem prosto za nimi, a jednak gubiłem raz po raz ścieżkę i wpadałem a to w kałużę, a to w pozostałość po krowim obiedzie. Złodzieje pewnie znali tę ścieżkę znakomicie, może nawet nieraz ćwiczili ucieczkę, dlatego ciągle zwiększali dystans.

Już traciłem nadzieję, że dogonię bandziorów, choć przecieś ciągle ich miałem na oku. Po chwili jednak zorientowałem się, że zbliżamy się do znanych mi zabudowań. To było Komorowo.

Pewnie tu zaparkowali. Teraz to ich na pewno nie doścignę, zwłaszcza jeśli są lexusem. Ale przecieś...

Nagle skręciłem w lewo i skierowałem się w stronę oddalonego od wsi domu. To był dom naszego gospodarza. Przeskoczyłem przez płot i oszczekiwany przez dwa urocze kundelki wpadłem na podwórze, gdzie stał nasz namiot Tuś obok parkował wehikuł Pana Samochodzika. Juś po kilku sekundach pędziłem nim w kierunku wsi.

Lexus mignął mi tylko swoimi kocimi tylnymi światłami, gdy wyjeżdżał na „siódemkę”. I tu konsternacja. Samochód skręcił w prawo. To znaczy, nie w kierunku Stegny, Elbląga i Janowa, a raczej na Warszawę. Nie zastanawiając się ruszyłem za nim. Musieli mnie zobaczyć, bo lexus niewiarygodnie przyśpieszył. Na równej drodze, jaką jest „siódemka” w okolicy wiaduktu w Bogaczewie, było to jak najbardziej możliwe.

A jednak wiedziałem, że nasz pokraczny wehikuł w niczym nie ustępuje limuzynie Batury.

Rzeczywiście, zjeżdżając z wiaduktu przycisnąłem pedał gazu i silnik momentalnie zwiększył obroty, co po chwili przełożyło się na prędkość znacznie przewyższającą sto kilometrów na godzinę.

Zbliżyłem się do lexusa. Szybko się jednak przekonałem, że oprócz klimatyzacji miał jedną przewagę nad naszym autem. To było niskie zawieszenie. Dzięki niemu lexus GS 300 miał

sportowe osiągi, nawet na naszych krętych drogach. Dlatego kilkakrotnie pomiędzy Bogaczewem a Pasłękiem musiałem zdjąć nogę z gazu i zredukować biegi, podczas gdy Batura płynął jak wyścigowa motorówka.

111

Wtem, mijając po lewej Pasłęk, pomimo prostego odcinka straciłem lexusa z oczu. Czyżby wyłączył światła, a hamował ręcznym? Przy takich prędkościach było to bardzo ryzykowne.

Najwyraźniej więc gdzieś skręcił. Do Pasłęka? Nie tracąc prędkości patrzyłem w lewo na drogę prowadzącą do miasteczka. Była pusta. Odruchowo zerknąłem w prawo. Mignęły mi czerwone światła. Więc jest, wyłączył reflektory i skręcił w drogę prowadzącą do Dzierzgonia. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów stąd, przy dużym silosie zbożowym w Krośnie i czekał, aż pojedę dalej.

Zahamowałem, wrzuciłem wsteczny i jednym manewrem obróciłem auto. Ruszyłem na Dzierzgoń. Batura musiał mnie zobaczyć, bo włączył światła i ruszył przed siebie. Nie dałem mu nawet sekundy. Pościg rozpoczął się od nowa. Lexus pędził tą drugorzędną drogą grubo powyżej dopuszczalnej prędkości. Mijaliśmy jakieś wioski, mignął mi tylko Kanał Ostródzko-Elbląski i wpadliśmy do wsi Jelonki, gdzie lexus omal nie wyskoczył z zakrętu przy charakterystycznym pomniku jelenia.

Przypuszczałem, że Batura pojedzie prosto na Rychliki i Dzierzgoń, a potem skręci na Zalewo i wjedzie z powrotem na „siódemkę” w kierunku Elbląga. Jednak jego manewr całkowicie mnie zaskoczył. Tuż za Jelonkami skręcił w prawo, w wąską szosę prowadzącą na poprzecinaną rowami niziną Śulawską. Najwidoczniej zobaczył na mapie, że może w ten sposób ominąć jezioro Druśno.

Pewnie nie spodziewał się paskudnej, ledwie połatanej asfaltówki, która wiła się niczym grzechotnik w tańcu. Mapy nie zawsze oddają subtelne różnice pomiędzy naszymi drogami.

Ruszyłem jednak za nim. Wokół było płasko, więc pomimo licznych skrzyżowań doskonale widziałem, że Batura pędzi prosto w głąb śulaw.

W miejscowości Dzierzgonka przejechaliśmy przez stary zwodzony most, w nocy oczywiście otwarty, nad rzeczką Dzierzgoń, która wpada do jeziora, a którą to Wulfstan nazwał Ilfing. I tu się zaczęły problemy. Niskie zawieszenie lexusa zmuszało go raz po raz do hamowania, gdy wąską i podziurawioną szosę przecinał jakiś ciek i droga nieznacznie się podnosiła. Przypominało to uliczkę osiedlową w mieście, na której zamontowano ograniczniki prędkości. Aby to przetrzymać.

Batura wykonywał dziwaczny taniec przyspieszania na prostym odcinku i zwalniania przez garbem, przez co niewątpliwie zarzynał silnik samochodu.

Tuś przed Markusami dogoniłem lexusa. Ten jednak na skrzyśowaniu skręcił

niespodziewanie w lewo, czym mnie całkowicie zaskoczył. Próbowałem wykonać podobny manewr, ale rozpedzony wehikuł zahaczył o krawęśnik i w podskokach odbiłem się w przeciwną stronę. Rajdowiec z lexusa miał nade mną jeszcze tę przewagę, że po jego prawej stronie siedział

pilot, najpewniej jego wspólnik, który uprzedzał go o takich kwiatkach na drodze, jak krzyśówka w Markusach. A może dodatkowo miał nawigację satelitarną. Wyciągnąłem auto z trawnika.

Rozejrzałem się. W tej sporej wsi, z której rozchodzą się drogi w sześciu kierunkach, nie było już Batury. Spojrzałem na mapę „Okolic Elbląga” i próbowałem odgadnąć zamiary złodziei.

Przypuszczałem, że pojechali przez Gronowo do Jegłownika, przez który przebiega główna droga z Malborka do Elbląga. Gdybym pojechał na przełaj mniej uczęszczaną, wąską szosą przez śurawiec, mógłbym przeciąć ich trasę tuś przed wjazdem do Elbląga, w pobliżu najniśej położonego punktu w Polsce.

Ruszyłem. Jechałem szybko pustą drogą. Po prawej miałem szeroki pas łąk, za którymi lśniła tafla jeziora Druśno. Tuś nad powierzchnią łąk unosiły się delikatne obłoki mgły oświetlane zimnym światłem księśyca, a w oddali, nad Wysoczyzną, przesuwały się duże, czarne chmury kłębiaste. „Iście tolkienowska sceneria - przemknęło mi przez myśl - jak fajnie byłoby się zatrzymać i zanurzyć w śuławską przyrodę”. śałowałem teś, że nie mogę przyjrzeć się miejscowej drewnianej architekturze. Wielki wpływ na nią mieli mieszkający w tych stronach menonici, dysydenci religijni z Niderlandów, którzy znaleźli tu swoje miejsce podczas wojen religijnych w 112

XVII wieku. Tolerancyjna Rzeczpospolita dała schronienie uciekinierom, a oni pomogli w melioracji delty Wisły. To ich wpływom śuławy Wiślane zawdzięczają miano „Małej Holandii”.

Czas jednak gonił. Jechałem dalej. W końcu zobaczyłem przed sobą sznur świateł, czyli ruchliwą i krętą szosę z Malborka do Elbląga. Dodałem gazu i już po kilku minutach stałem na skrzyśowaniu i wypatrywałem w ciągu aut białego lexusa.

- Już raz mi uciekłeś, teraz ci się nie uda.

I rzeczywiście. Lexus włókł się za dużym tirem próbując nerwowo go wyprzedzić, co nie jest łatwe na tym odcinku nawet dla najbardziej doświadczonych. Nie zastanawiając się wskoczyłem bezczelnie przed tira, jednak w taki sposób, aby Batura niczego nie zauwaśył. Kierowca cięśarówki dał wyraz niezadowoleniu oślepiając mnie na chwilę reflektorami, więc uznałem, że jest remis.

Zredukowałem silnikiem prędkość i tir gwałtownie przyhamował. Usłyszałem za sobą długi klakson, odpowiednik steku przekleństw w języku kierowców. Miałem w tym jednak swój cel.

Widząc prosty odcinek zwolniłem raz jeszcze. Tir być może zamierzał mnie wyprzedzić, ale nagle z jego lewej wyskoczył jak strzała lexus, biorąc jego i mnie za jednym razem. O to mi właśnie chodziło! Ruszyłem w te pędy za Baturą, a on pewnie zrozumiał, że pościg trwa dalej, bo po chwili kocie tylne światła zwiększyły dystans do mojego wehikułu.

Wjechaliśmy do Elbląga. Sięgnąłem ręką po plan miasta. A niech to! Torba z planem została w obozie. Postanowiłem trzymać się lexusa i nie dać mu ani chwili odpoczynku. A jednak kierowca lexusa znał Elbląg lepiej niż myślałem. Jeszcze jadąc długą ulicą przy zabudowaniach browaru siedziałem mu na ogonie. Ale gdy skręcił w prawo pod jakąś górkę i zaczął kluczyć wjeżdżając to w jedną, to w drugą uliczkę i z piskiem opon ją opuszczając, żeby zniknąć w kolejnej, wiedziałem, że go tracę. W pewnym momencie, jadąc szeroką dwupasmówką przy hipermarkecie budowlanym, w którym miałem kupić łopaty, stwierdziłem, że czas mi wracać do domu. To znaczy do obozu.

Gdy wjeżdżałem na podwórko po nieudanym pościgu, przed namiotem przywitał mnie Jorvik.

Pozostali członkowie naszej ekipy siedzieli w namiocie z wielbłądziej sierści. Właściwie siedzieli tylko Jagoda, Kasia i Rufus, bo Kuba i Bazyl leżeli bezładnie na matach pogrążeni w głębokim śnie. Owinięty w koc pan Marek suszył ubranie nad piecykiem, a Kasia sączyła mocną herbatę, jakby na kogoś czekała.

- Już pan jest! - zawołała zadowolona, gdy wszedłem. - Tak się martwiliśmy.

- Dogonił pan złodziei? - spytał Rufus.

- Nie, uciekli mi w Elblągu. A co u was? Jak się pan czuje?

Jagoda chrząknął spod koca.

- Może być, panie Pawle. Ale taki wstyd, taka kompromitacja...

Kasia skubnęła go w brodę.

- Nic się nie stało. Pan Paweł też dziś zaliczył kąpiel.

- Aha - kiwnął głową uczonec - znaleźliśmy nasze łopaty, są tam w rogu.

Na podłodze leżały trzy łopaty podpisane na trzonkach „Truso”.

- To po złodziejach? - spytałem.

- Tak - powiedziała Kasia - porzucili je na miejscu zbrodni. Na szczęście nie zdążyli niczego ukraść.

- Nie byłbym takim optymistą - rzuciłem ziewając.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, upewniliśmy się, że Batura współpracuje z kimś ze stanowiska. Z kimś, kto zabrał wam te narzędzia. Ale sęk w tym, że nadal nie wiemy z kim. Po drugie, spłoszyliśmy złodziei na amen i nawet nie poznaliśmy ich tożsamości.



- Więc?

- Nasza akcja zakończyła się całkowitą klapą. Miała pani rację, pani Kasiu, nie nadaję się do pracy detektywa. Nic juŜ nie wiem, nie rozumiem. Jutro rano pakujemy się i wracamy do Warszawy. A teraz dobranoc.

Co powiedziawszy padłem jak długi obok Bazylego i Kuby. Nie pamiętam nawet, jak zasnąłem ze zmęczenia i nadmiaru wraŜeń.

114

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

**W SKLEPIE ŐELAZNYM • KASIA SIĘ OTWIERA • POSZUKIWANIA TRUSO •**

**WIZYTA STUDENTÓW • JAK ODKRYTO TRUSO? • PAN TOMASZ • HERZ I SZEJK •**

### PRZEBŁYSK

Gdy obudziłem się kwadrans przed dziewiątą, cały obóz był juŜ na nogach i szykował się do spóźnionego śniadania. Kasia była na tyle wspaniałomyślna, Őe poczęstowała mnie czarną kawą. W miarę ubywania jej w metalowym kubku, mój umysł się rozjaśniał analizując wczorajszy dzień.

- Jak się spało? - zapytała.

- Krótko. A pani chyba w ogóle nie potrzebuje snu.

- Niech się pan o mnie nie martwi, to moja pierwsza zarwana noc. Ale widzę, Őe pan juŜ wymięka. Wczoraj był pan tak zrezygnowany, Őe aŜ zrobiło mi się pana Őal.

Spojrzałem spode łba na jej opaloną twarz ozdobioną jasnymi włosami.

- To Őart?

- Wcale nie. Gdy pan zasnął, długo analizowaliśmy całą sytuację. Nie wszystko jest stracone.

- CzyŜby?

Złodzieje zabrali przecieŜ z naszego stanowiska wszystkie łopaty. Boją się zdemaskowania, dlatego na pewno kupią nowe, myśląc, Őe nikt nie zauwaŜy zamiany.

- No tak - kiwnąłem - zanim się zmyją, będą chcieli zatrzeć ślady. Ale co my moŜemy zrobić?

- Rufus mówił, Őe mieliście jakiś plan co do łopat.

- To prawda. Ale juŜ moŜe być za późno. Złodzieje mogli się zaopatrzyć w duplikaty i podrzucić je

na stanowisko.

- MoŜliwie, jeśli s w mieŝcie. Ale pamietajmy, Őe wszyscy podejrzani o wspłprac z Batur bd chcieli mie alibi. Jestem przekonana, Őe juŜ od ŝwitu s na miejscu. Jeœli bd kupowa łopaty, to tylko w okolicy.

- Podskoczyem na rwne nogi.

- Sklep Őelazny w Komorowie! O ktrej go otwieraj?

- JuŜ sprawdziliœmy, o dziewitej.

Woœyem dresy, chwyciem w biegu jaks kanapk i pobiegem w kierunku wsi. Kierownik sklepu, łysawy pan w ŝrednim wieku, wasnie otwiera krat na drzwiach sklepu. Byem pierwszym klientem, dlatego wszedem tuœ za nim. Rozejrzaem si po ciemnym, niskim pomieszczeniu, pamietajcym chyba lata ŝwietnoœci Gminnych Spłdzielni. Na głwnej ŝcianie wisiay powyginane płki ze stojcymi na nich czerwonymi i niebieskimi pudełkami penymi wkrtw, kołkw, nitw, nakretek i innego Őelastwa. Obok waay i si kartony pene roœnych rozmiarw gwoździ i ŝrub. Po drugiej stronie sta zarzewiay rega, na ktrym bezladnie leœay motki, siekiery i inne narzedzia ręcne. Przy nim zobaczyem łopaty.

- Duœo ich pan ma?

- Tyle, co widac - odpowiedzia od niechcenia.

- Tylko trzy?

- Mowiem przecieœ.

- Bior wszystkie. Na rachunek.

Sprzedawca westchn głboko i wyj z szuflady bloczek rachunkw. Przeoœy kalk i zacia powoli kaligrafowac, co zajo mu kilka minut. Czuem si jak w skansenie, ale przecieœ tak wyglda nasza rzeczywistoœ.

- Prosz - powiedzia dajc kwitek - niech sobie je pan weźmie.

115

- Wasnie to mam do pana proœb. Skoro te łopaty s moją wasnoœci, to znaczy, Őe mog z nimi zrobic, co chc, tak?

- W rzeczy samej.

To prosz jeszcze puszk biaej farby, jak najmniejsz.

Podni głow i spojrz na mnie marszczc brwi.

- Ale już bez rachunku - dodałem szybko.

- To dobrze - sapnął podając puszkę.

- I pędzelek - uzupełniłem i podszedłem do łopat.

Obróciłem je i na zewnętrznej stronie małutkimi literkami napisałem: „P. Daniec”.

- I jeszcze prosba.

- Tak?

- Przypuszczam, że dziś pojawi się ktoś, kto będzie chciał kupić łopaty. Czy mógłby pan sprzedać właśnie te?

- Sprzedać jeszcze raz? - podrapał się w głowę.

- Tak.

Sprzedawca długo się wahał. W końcu zgodził się pod warunkiem, że kupię u niego starą wiertarkę, której nie mógł sprzedać od trzech lat.

Gdy wróciłem z wiertarką do obozu, chłopcy wyciągnęli pana Marka nad jezioro i męczyli go, żeby im w końcu opowiedział, w jaki sposób odnalazł Truso. Zanim jednak do nich doszedłem, Kasia szarpnęła mnie za rękaw i zaciągnęła na stronę.

- Czy zdjęcie monety dotarło do Pana Samochodzika? - spytała zaskakująco otwarcie.

- Tak, powinien dostać je wczoraj wieczorem. Szczerze mówiąc nie mogę się do niego dodzwonić.

- Ja też się martwię. Powinien już tu być.

- Zdziwiała mnie pani.

Uśmiechnęła się.

- Tak?

- Dlaczego wcześniej była pani taka tajemnicza?

- Nie mogłam panu powiedzieć, że pan Tomasz poprzez mojego ojca prosił, żebym przygotowała mu jednego dirhema. Szczerze mówiąc myślałam, że spotkam go wczoraj w „Nowej Holandii”. Pana widok zbił mnie z pantofelku. Ale nie miałam innego wyjścia, jak zaufać pańskiej inteligencji...

- Dziękuję, Kasiu.

- Nie działałam otwarcie, bo bałam się, że zdemaskuje pana Batura i będzie po akcji.

- Ja teŜ początkowo miałem co do pani wątpliwości. Ale teraz zgoda?

- Zgoda!

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- O co chodzi mojemu szefowi?

- No właśnie, gdzie on jest? - zamyśliła się. - Sprawdzał pan dziś komórkę?

Wyjąłem telefon z kieszeni. Miał siedem nieodebranych połączeń. Zapomniałem, Ŝe wczoraj wieczorem go wyciszyłem. Pan Samochodzik od szóstej rano próbował się do mnie dodzwonić.

Natychmiast wybrałem jego numer.

- Witaj, Pawle! - usłyszałem w słuchawce zadowolony głos. - Co się z tobą dzieje? CzyŜbyś miał problemy ze wstawaniem po nocnych szaleństwach?

- Ale ja właśnie... - zaskoczony nie potrafiłem skłecić zadania.

- Szukam cię od rana. Byłem u archeologów w Truso, ale przywitała mnie otyła dama i 116

dwóch pryszczatych podrostków. Mówili, Ŝe obozujecie gdzieś nad jeziorem. Nie było teŜ pana Jagody ani jego asystentki. Teraz siedzę w jakimś przydroŜnym barze i głowię się, po co nadrabiałem tyle drogi.

- Jesteśmy wszyscy w Komorowie Ŝuławskim, ostatni dom w stronę jeziora.

- Uuu, to pojechałem w złym kierunku. Ale juŜ wsiadam do auta i za pół godzinki będę u was.

- Czekamy.

Schowałem telefon.

- I wyjaśniło się - powiedziała zadowolona Kasia. - Tymczasem chodźmy do reszty.

Rufus, Kuba i Bazyl siedzieli po pas w wodzie. Jagoda, stroniący od kolejnej kąpieli, przysiadł na wystającym z jeziora palu. Stanęliśmy z Kasią przy nich.

- Dobrze, Ŝe pani juŜ jest - zawołał Rufus.

- Dlaczego? - spytała Kasia.

- Ciągle prosimy pana Marka, Ŝeby nam opowiedział dzieje poszukiwań Truso. Ale on mówi, Ŝe nie wypada samemu się chwalić.

Kasia oparła ręce na biodrach i z udawaną groźną miną spojrzała na swojego zwierzchnika.

- Panie doktorze, nie godzi się odmawiać naukowemu audytorium wykładu z pierwszej ręki.

Uśmiechnął się.

- No dobrze, ale jeśli coś zapomnę, proszę mnie poprawić.

- Pan doktor niczego nie zapomni. A jeśli chcecie, wykład na ten temat może wygłosić po niemiecku albo angielsku.

- Z dodatkiem anglosaskiego - dorzucił Rufus, na co towarzystwo zareagowało salwą śmiechu.

Jagoda pogładził brodę, zerknął na Kasię i zachęcony jej miną powiedział:

- W XVI wieku, gdy po Truso nie było już dawno śladu, oxfordzki geograf Richard Hakluyt w swoim dziele opisującym historię Sęglugi i odkryć Anglików, wspominał o relacji Wulfstana z podróży do Truso. Oczywiście publikacja ta szybko wzbudziła zainteresowanie badaczy w Anglii, Polsce i Niemczech.

- Nie dziwię się - wtrącił poważnie Rufus - w końcu to kawał historii.

- To prawda - potwierdził. - Historyków, geografów i archeologów nurtowała szczególnie kwestia lokalizacji Truso. Przez czterysta lat powstało wiele hipotez. Na przykład w XVIII wieku Andreas Buss odnalazł Truso w szwedzkim miasteczku portowym Trosa. W XIX wieku niemieccy badacze analizowali bez końca tekst „Chorografii” i wysnuwali z niego najprzeróżniejsze interpretacje. Zazwyczaj jednak lokalizowali Truso albo w samym Elblągu, albo w jego okolicy.

Świadczyły za tym trzy fakty: nazwa rzeki Ilfing, jezioro, przy którym leżało miasto i ujście Wisły w jego okolicy. Te elementy układanki były dość łatwe do rozszyfrowania. Gorzej było ze szczegółami. I dlatego do akcji wkroczyli archeolodzy.

- Nie rozumiem jednego - odezwał się Kuba - przecież pani Kasia mówiła wczoraj, że Wulfstan podał dokładne położenie Truso. Dlaczego jego odnalezienie było tak trudne?

- Trafne pytanie! - zawołał Jagoda.

- Zatem?

- Po pierwsze - wyjaśnił - Wulfstan opisał sytuację topograficzną z końca IX wieku. Choćś przekazał wiele ciekawych szczegółów, od tamtej pory okolice ujścia Wisły bardzo się zmieniły.

Na przykład dziś może być zupełnie inna linia brzegowa, a rzeka może płynąć innym niż tysiąc lat temu korytem.

- A po drugie? - niecierpliwie pytał Kuba.

- Po drugie, Wulfstan, podobnie jak skandynawscy Sęglarze, podawał kierunki geograficzne z 117

pewnym przesunięciem, ale nie wiemy dzisiaj z jakim. Przez to północ albo wschód w jego relacji wcale nie musi odpowiadać północy albo wschodowi na kompasie czy na mapie. A to bardzo utrudniało czytanie jego sprawozdania i poszukiwania Truso przez nas, archeologów.

Rufus podrapał się w czubek głowy.

- Na czym polegały te poszukiwania? - zapytał.

- Właściwie brano pod uwagę każde stanowisko, które pasowało do przekazu Wulfstana. Na przykład Truso szukano w Tolkmicku i Przezmarku. Słynny niemiecki archeolog Max Ebert uważał, że należy szukać w oddalonym kilka kilometrów stąd Myślicinie. Po wojnie polscy uczeni brali pod uwagę wieś o nazwie Druśno, okolice ujścia do jeziora rzeki Dzierżoń lub rzeki Wąskiej.

Natomiast nasz wielki badacz przeszłości Gerard Labuda opowiadał się za Elblągiem. Taki zresztą pogląd przeważał, zanim przystąpiłem do poszukiwań. Tak naprawdę jednak nikt nie znał prawdy.

Pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku w ksiązkach pisano, że „Truso znane jest tylko z nazwy”.

- I jak to się stało - zawołał Rufus - że pan je odnalazł?

Wszyscy utkwiliśmy w nim wzrok. Pan Jagoda nabrał w płuca powietrza. Lecz nie zdołał nic powiedzieć. Na podwórku bowiem usłyszeliśmy warkot samochodu, który przerwał jego opowieść.

Obok namiotu zaparkował, z niemałym trudem, stary polonez.

- Czyśby pan Tomasz został miłośnikiem zabytkowych pojazdów? - spytałem.

- To przecież mój samochód - zawołał Jagoda. - Zostawiłem go do dyspozycji chłopakom.

I rzeczywiście z poloneza wyskoczyli studenci.

- Więc tu wszyscy jesteście? - zawołał Bigos. - Jakiś starszy gościu szukał pana - zwrócił się do mnie - a potem szefa ekspedycji i jego pomocnicy.

- Już o tym wiemy - powiedziałem - to był mój przyjaciel, z którym przed chwilą rozmawiałem.

- Aha, to znaczy, że na próśno jechaliśmy. Wracamy, Nereusz.

Kugiel jednak jakby go nie usłyszał.

- Andronik, zobacz na to чудо!

- Na ten wehikuł?

- Nie. Namiot.

Bigos się odwrócił i studenci, jakby zaczarowani, wparowali do środka i zaczęli oglądać z każdej strony nasz „tysiącgwiazdkowy hotel”.

- To pańskie?

- Moje - potwierdziłem.

- Bajera.

Kugiel wziął do ręki leżącą na ziemi linkę.

- Oryginalny „bait esz-szaar”, z wielbłądziej sierści. Musiał kosztować fortunę. Widzieliśmy niedawno taki namiot u pewnego bogatego Araba. Cenił go jak swój największy skarb.

- Tak, ale tamten był trochę mniejszy.

- Nie chce pan go przypadkiem sprzedać?

Wszyscy słuchaliśmy ich w milczeniu.

- Dlaczego się nie odzywacie? - spytał Bigos poprawiając okulary.

- Nikt się nie spodziewał, że macie tak rozległe zainteresowania - odpowiedział Jagoda.

- I znajomości - dodała Kasia.

Bigos skrzywił się w grymasie sztucznego uśmiechu.

- Zawsze mówiłem, że pani nas nie docenia. Oczywiście, że mamy rozległe zainteresowania, w końcu jesteśmy archeologami.

118

Kasia pokiwała im palcem.

- Jeszcze nie jesteście. I gdyby to ode mnie zależało...

- Pani Kasiu - podniósł dłonie pan Marek - niech pani da tym biedakom spokój!

- OK. Na razie dam im chwilę wytchnienia.

- A co słyszeć w obozie? - pan Jagoda przypomniał sobie, że jest szefem ekspedycji.

- Spoko - powiedział Bigos. - Tworkowska kręciła się od świtu, a jej męśulek chyba jeszcze śpi. Mówiła, że mają dziś przerwę w pracy. Był też Adamek.

- Coś mówił?

Zapytał o pana i pojechał do siebie. Ledwie stał na nogach. Mówił, że nie mógł zasnąć w nocy i idzie się wyspać. Poza tym nie działo się nic ciekawego.

- Tak jak tutaj - dodał Kugiel. - Wracamy do Janowa i bierzemy się do roboty.

- Tylko pochwalić wasz zapach - z ironią pośmiała ich pani asystent.

Studenci wsiedli do poloneza i odjechali.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu będąc pod wrażeniem wiedzy panów Bigosa i Kugiela.

Nasi chłopcy ociekali wodą i nieco się trzęśli, więc weszliśmy do przedsionka namiotu. Gdy usiedliśmy, Kasia wywołała do odpowiedzi swojego szefa, który kontynuował opowieść.

- W 1982 roku uczestniczyłem w projekcie Archeologiczne Zdjęcie Polski, dzięki któremu od lat siedemdziesiątych bada się pod kątem archeologicznym każdy zakątek naszego kraju. W

okolicach zabudowań PGR w Janowie Pomorskim natrafiłem na pozostałości rozległej osady wczesnośredniowiecznej. Oczywiście nurtowało mnie, czy może trafiłem na Truso. Ale dowodów nie było. Jeszcze w tym samym roku rozpocząłem badania, które prowadzę do dziś.

- Z niezmiennym entuzjazmem - dodała Kasia.

- Z roku na rok odkrywaliśmy coraz więcej przesłanek, że kopie my w miejscu opisanym przez Wulfstana. Na przykład znaleźliśmy sporo cięśców z IX wieku, cztery duńskie monety z Wodanem, a nawet całkiem niedawno pens anglosaskiego króla Aethelwulfa.

- To przecież ojciec Alfreda Wielkiego! - zawołał Rufus. - Może tę monetę przywiózł sam Wulfstan!

- Ha, ha, tak pomyślałem, gdy pierwszy raz trzymałem ją w ręku. Niestety, ciągle nie mieliśmy dowodów, że odkryta przez nas osada miała znaczenie strategiczne. To znaczy, że miała wał obronny albo fosę. Gdybyśmy znaleźli takie pozostałości, nie byłoby wątpliwości, że chodzi o Truso.

- I co? - wypytywał Kuba. - Znalazł pan jakieś wały?

- Jak widzieliście, chociażby wczoraj, wokół stanowiska jest płasko jak na stole. Ale nie zawsze tak było. Decydujący dowód znalazłem na pewnej starej mapie.

- Mapie? - skrzywił się Kuba.

- Tak, młodzieńcze. Stare mapy bardzo często mówią archeologom, gdzie wbić łopatę, żeby się niepotrzebnie nie napocić. A ponieważ ja uwielbiam analizować stare mapy...

- Kuba wiercił się zniecierpliwiony.

- Ale co to za mapa?



Jagoda podszedł do samochodu, gdzie znajdowała się jego teczka, z którą nigdy się nie rozstawał. Z foliowej koszulki wyjął kolorowy plan, który miał ponad sto lat.

- To mapa śulaw Wiślanych z 1862 roku. Spójrzcie tutaj, na okolice Hansdorf, czyli Janowa Pomorskiego.

Spojrzeliliśmy z ciekawością czekając na wyjaśnienia archeologa.

- Wokół miejsca, w którym znaleźliśmy osadę - wskazał palcem - na tej mapie jest zaznaczony podkowiasty wał. Oczywiście wały przeciwpowodziowe na śulawach to często 119

spotykany widok. Ale wał z mapy na pewno nie był zbudowany w tym celu. Gdyby mieszkańcy osady chcieli się chronić przed powodzią, zbudowaliby barierę od strony jeziora. Tymczasem wał

ten chronił zabudowania od strony lądu, od strony, którą zamieszkiwały plemiona Prusów. A zatem to musiał być wał obronny, a osadą musiało być Truso!

- A dlaczego dziś nie ma tego wału? - dopytywał Kuba.

- Prawdopodobnie został zniszczony w 1865 roku, gdy budowano linię kolejową. Dzisiaj przez północną część dawnego Truso przebiegają tory kolejowe, które leżą na wysokim, kilkumetrowym nasypie.

- Tym samym - dodała Kasia - za którym chcieliście się schować pierwszego dnia.

- To prawda - powiedziałem. - Dziś chyba już nikt nie ma wątpliwości, że odnalazł pan Truso?

- Rzeczywiście. Każdego roku odnajdujemy nowe dowody. Gdy przyjedziecie za rok, na pewno poznacie kolejne.

W tym momencie w wejściu namiotu pojawiła się dobrze znana mi głowa.

- Pan Tomasz! - zawołałem.

Kasia oraz trzech moich pomocników poderwali się na równe nogi.

- Pan Samochodzik! - krzyknęła Kasia i niczym dziesięcioletnia dziewczynka rzuciła mu się na szyję.

Pan Tomaszomal się nie przewrócił.

- A coś to za zjawisko? Czyżbym pomylił adresy.

Jagoda chwycił swoją asystentkę za ramię i przywołał wzrokiem do porządku.

- Witaj Tomaszu, kopę lat.

- Marku, ty ciągle na stanowisku!

- Cały czas na tym samym - zaśmiał się Jagoda.

- Widzę - wskazał na Kasię - Œe znalazłeś w Truso prawdziwy skarb.

- Przepraszam cię za zachowanie mojej asystentki. Czekaa na ciebie.

Pan Samochodzik wyciągnął dłoń w jej kierunku.

- Tomasz.

- Katarzyna Haase.

- Ach, więc to pani. Córka Stefana, nadzieja polskiej historiografii.

- Bardzo mi miło, panie Tomaszu. Pański pomocnik bardzo się starał, ale zagadka wciąż nie rozwiązana.

Dopiero teraz zwrócił na mnie uwagę.

- A zatem razem będziemy chronić skarby Truso. A cóŜ to za młodzieńcy?

Rufus, Kuba i Bazyl i przedstawili się i krótko powiedzieli o sobie.

- Zdaje się, Œe coś mam dla ciebie - wskazał na Kubę.

- Dla mnie?

Pan Samochodzik wyjął zza pazuchy dwa fińskie noŜe, oba z pięknie zdobionymi rękojeściami, jedną z poroŜa jelenia, a drugą z kości słoniowej.

- Ale przecieŜ miał je przynieść policjant!

- Ten oficer to mój współpracownik. Obserwuje w Stegnie pewnego groźnego złodzieja zabytków i czeka na telefon, gdy tylko znajdziemy dowody na przestępczy charakter jego procederu.

Widząc naszą konsternację pan Tomasz zwrócił się do mnie:

- Pawle, czy mogę cię prosić na chwilę? - powiedział.

- Oczywiście - odrzekłem - ale myślę, Œe najlepiej porozmawiać w trójkę.

120

Spojrzałem na Kasię.

- Œwietnie.

Wyszliśmy na zewnątrz i skierowaliśmy się w stronę jeziora.

- Przepraszam, Œe nie dawałem znaku Œycia, ale byłem za granicą.

- Za granicą?! - zawołałem.

- Tak, byłem w Wiedniu.

Stałem jak wryty.

- Myślałem, Œe nad Jeziorakiem łowi pan sandacze.

- To teŒ była prawda, ale niepełna.

- Jak się pan tam znalazł?

- Kilka dni przed telefonem Marka o zaginięciu dirhemów, nasz wydział otrzymał, poprzez Interpol, informację austriackiej policji, Œe znany Dom Aukcyjny Herza zatrudnił niejakiego Jerzego Baturę. Osobnik ten, niejednokrotnie notowany, był widziany w luksusowym samochodzie, co wzbudziło czujność wiedeńskiego wydziału zajmującego się przemytem dzieł sztuki. Rutynowe działania z naszej strony przyniosły dodatkowe informacje. Okazało się, Œe Herz skupuje przez podobnych do Batury pośredników arabskie monety z wybrzeŒy południowego Bałtyku. Sumując te dwa fakty, tylko czekaliśmy, aŒ pojawią się niepokojące sygnały, Batura bowiem nigdy nie przepadał za skupowaniem zabytków. I rzeczywiście, najpierw nieudana kradzieŒ dirhemów z Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu, a potem ta afera na stanowisku w Janowie, o której nie muszę wam przypominać.

- I wysłał mnie pan tu?

- Tak. Wiedziałem, Œe dokładnie zbadasz sprawę i nie będziesz się sugerował zdobytymi przeze mnie poszlakami. W tym czasie postanowiłem pojechać do Austrii, Œeby osobiście przyjrzeć się działaniom Herza. Przyznam, Œe pracuje u niego moja dawna znajoma i miałem nadzieję, Œe zdradzi mi część tajemnicy słuŒbowej. Opuściłem więc kumpli od wędki, gdy dzwoniłeś, właśnie urządzaliśmy poŒegnanie, i wyruszyłem. W pociągu do Wiednia spotkałem swojego starego kumpla z Gdańska, Stefana Haase, teŒ muzealnika, i zgadaliśmy się, Œe w Truso pracuje jego córka.

Powiadomił on SMS-em Kasię o mojej proŒbie dotyczącej przekazania mi jakiegoŒ dirhema, gdy tylko będzie taka okazja. W Wiedniu zabawiłem jeden dzień i od razu przyjechałem do was.

- I czego się pan dowiedział?

- MoŒe najpierw wy pochwalcie się swoimi odkryciami.

Opowiedzieliśmy ze szczegółami o ostatnich wydarzeniach i naszych obserwacjach. Pan Tomasz był pod wraŒeniem.

- Mnóstwo rozsypanych puzzli - powiedział - ale nadal brakuje jakiegoŒ elementu.

- MoŒe znalazł się w Wiedniu? - cichutko szepnęła Kasia.

Pan Tomasz kiwnął głową i zaczął relację ze swojego dochodzenia. Kilka miesięcy temu właściciel Domu Aukcyjnego, pan Herz, spotkał się nieoficjalnie z bardzo zamożnym klientem, który zlecił Herzowi poszukiwania arabskich monet z IX i X wieku, najlepiej z osad handlowych kontrolowanych przez wikingów. Początkowo potraktowano to jak zwykle zlecenie i na stronach internetowych firmy ukazały się ogłoszenia. Jediną osobą, która na nie odpowiedziała był Batura.

Ponieważ zaproponował zdobycie niewiarygodnej ilości monet, zaproszono go do biura, gdzie spotkał się z szefem Domu Aukcyjnego. Baturze udało się wywołać na Herzu wrazenie człowieka wszechstronnie wykształconego i mającego koneksje w wyższych sferach. Co więcej, tak omotał obietnicami kierownictwo firmy, że dano mu do dyspozycji samochód, który był zwyczajową nagrodą dla pracowników za wybitne osiągnięcia. Batura nie dość, że nie miał żadnych osiągnięć, to sprawił, że ogłoszenie zdjęto i jemu przekazano wszystkie pełnomocnictwa w tej sprawie. Po 121 miesiącu czy dwóch ponownie przyjechał do Wiednia, tym razem z jednym czy dwoma pomocnikami. Przywiózł kilkanaście dirhemów i wymusił na Herzu, aby zorganizował mu bezpośrednie spotkanie z tym bogatym klientem. Herz początkowo nie chciał się zgodzić, ale Batura obiecywał, że wyciągnie od bogacza-ekscentryka góry złota dla Domu Aukcyjnego. Herz uległ, skontaktował obu panów i Batura został zaproszony do domu milionera.

- Zgadnijcie, dokąd poleciał? - zapytał pan Tomasz.

- Do Stanów? - rzuciłem.

- Nie. Do Emiratów Arabskich! Okazało się, że ten miłośnik dirhemów to obrzydliwie bogaty szejka. Jest miłośnikiem historii i zbiera wszystkie pamiątki wpływów arabskich na północ od cywilizowanego, jego zdaniem, świata. Zrobił takie zamieszanie na aukcjach, że nawet najlepsi numizmatycy nie mogli tego zrozumieć. A szczególnie sobie umiłował...

- ...srebrne dirhemy z IX wieku - dokończyła Kasia.

- Właśnie. W Emiratach Batura oczywiście niczego nie załatwił dla Herza, a sam wrócił ze sporą zaliczką. Co z nią zrobił, nie wiadomo. Poza tym wypoczął na koszt szejka, który zorganizował mu wycieczkę po Saharze. Teraz też się dobrze bawi za jego pieniądze. Co o tym wszystkim myślicie?

Nie powiedzieliśmy ani słowa. Patrzyłem na Kasię, a ona na mnie. Staliśmy w wysokiej trawie jak dwa surawie, które nie zauważyły, że nadszedł czas ich odlotu. Nad nami prażyło słońce, które już bardziej nie mogło oświetlić naszego obozu. A jednak nas olśniło.

- Do wehikułu! Mamy złodziei!

122

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

**KTO KRADŁ MONETY W TRUSO? • A KTO NIE? • TRUSO ZAWSZE ZAPRASZA •**

## RELACJA WULFSTANA Z PODRÓŻY DO TRUSO

- Co się stało? - pan Marek nie mógł zrozumieć zamieszania.

- Zaraz się wszystko wyjaśni - rzuciłem w pośpiechu. - Jedźcie z panem Tomaszem po policję. Ale nie wchodźcie na stanowisko, dopóki nie damy wam znać. Najlepiej czekajcie przed nasypem. My z Kasią i chłopakami wsiadamy do wehikułu. No i Jorvik teŜ.

- OK - powiedziała Kasia - właśnie wszystko mi się w głowie ułoŜyło.

- Mnie teŜ - powiedziałem. - Ale musimy mieć dowód.

- Jak jedziemy? - spytała.

Wskazałem ręką jezioro.

- Na skróty.

Ruszyliśmy wprost przed siebie na rozmiękłe łąki kierując się wąską ścieŜką, która codziennie prowadziła nas do jeziora. Po chwili mogliśmy przekonać się o tych właściwościach auta, o których mógł tylko pomarzyć lexus GS 300. Płynęliśmy powoli, wzdłuŜ linii brzegowej, ale w taki sposób, Ŝeby nie spłoszyć ptactwa.

- Czy nie zdziwiła was - spytałem chłopców - nadzwyczajna wiedza studentów na temat naszego arabskiego namiotu?

- To było bardzo zastanawiające - powiedział Rufus trzymając się mocno siedzenia.

- A dlaczego?

- Bo nie mamy zbyt wysokiego mniemania o ich intelekcie. Te arabskie namioty to musi być ich konik.

- Szczerze przyznam - powiedziałem - Ŝe do tej pory uwaŜałem ich za bardzo rozsądnych młodych ludzi, którzy wiedzą, czego chcą i do tego dąŜą.

- Ma pan na myśli archeologię? - nie dowierzała Kasia.

- Tak.

- Czuć na odległość, Ŝe nie mają o niej zielonego pojęcia.

- Jednak pan Marek im ufa.

- Pan Jagoda będzie ufał nawet człowiekowi, który ma napisane na czole: Jestem złodziejem!

To po prostu bardzo dobry człowiek.

W tym momencie zadzwonił telefon. To był Piotrek z biura Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Powiedział, że Tworcowscy ze Szczecina mają opinię uczciwych, choć może ekscentrycznych badaczy. Natomiast osób o nazwisku Bigos i Kugiel nie ma w Śadnym rejestrze pracowników naukowych ani studentów uniwersyteckich.

Minęliśmy właśnie parę łabędzi wraz z sześcioma „brzydkimi kaczątkami”. Spojrzałem na Kasię. Była z siebie dumna i zadowolona, że zagadka się wyjaśnia. Wyciągnęła nogi na maskę, a we włosy wpięła biały kwiat lili wodnej. Pomimo sytuacji chwyciła promienie lipcowego słońca.

Odwrociłem się do chłopaków.

- A jednak Bigosowi i Kugielowi podobały się twoje zagadki matematyczne, Rufus.

- To pan nie wie, jak to było?

- Nie - powiedziałem zdziwiony.

- Gdy suszyliśmy ubrania po pierwszej kąpieli, zaproponowałem panom studentom zabawy intelektualne. Przyjęli moją propozycję rechem, ale w końcu się zgodzili. Zadałem im jedną zagadkę, potem drugą, potem jeszcze jedną, a oni nic. Nawet nie chciało się im pomyśleć.

123

Powiedziałem, żeby oni coś zadali, to może będzie fajniejsza zabawa. Bigos zaproponował

odgadywanie cytatów z filmów. Nie jestem może w tym orłem, ale czasem trzeba pójść na ustępstwa, żeby nie stracić kolegów. Po pierwszej zagadce zorientowałem się, że studenci bynajmniej nie są miłośnikami twórczości Andrzeja Wajdy albo filmów z Bollywood. Kugiel zapytał, skąd pochodzi cytat „Co ty wiesz o zabijaniu?”. Bigos powiedział, że to „Psy”

Pasikowskiego, a Kugiel, że owszem, ale wcześniej te słowa padły w „Plutonie” Oivera Stone'a. I tak się przepychali. Potem omal się nie pokłócili, czy cytat „Jeśli interesuje was prawda, wykłady z filozofii są na końcu korytarza” pochodzi z „Poszukiwaczy zaginionej arki” czy z „Indiana Jones i ostatnia krucjata”...

Zbystrzałem na moment.

- Czy mógłbyś powtórzyć ten cytat?

- „Jeśli interesuje was prawda, wykłady z filozofii są na końcu korytarza”. To mówi w jednym z filmów Indiana Jones zakochany w nim studentkom.

Stuknąłem się w czoło.

- No przecieś! A coś takiego: „Nie stać nas, by ufać mitologii” albo „Znak X nigdy nie oznacza celu” to teś cytaty z filmu?

- Pewnie! - zawołał Kuba. - I to, Œe „Siedemdziesiąt procent archeologii to praca w bibliotece”.

Pokręciłem głową.

- A więc panowie Bigos i Kugiel studiowali archeologię u Indiany Jonesa.

Kasia klepnęła mnie po ramieniu.

- To wiele wyjaśnia. Szkoda, Œe Indiana Jones nie nauczył ich dbania o wygląd. On był taki przystojny...

- Jeszcze jedna rzecz mi nie pasuje, Kasiu.

- Tak, Pawle?

- Czy studenci bywali w Stegnie?

- Oczywiście, w kaŒdą sobotę, a czasami nawet w tygodniu.

Podrapałem się po głowie.

- Więc to mieli na myśli, gdy mówili, Œe w kaŒdy wolny dzień ruszają na plaŒę. A ja myślałem, Œe chodzi im o plaŒę nad DruŒnem.

- Oj, nie znasz Œycia, Pawełku.

I tu się zaśmiała. Pewnie z mojej naiwności. Trudno było nie przyznać jej racji.

Wehikuł posuwał się po wodach DruŒna, a my obserwowaliśmy brzeg po prawej stronie.

Przypomniał mi się Wulfstan, który na swoim statku podobnie, choć przez pełny tydzień, obserwował wybrzeŒe. I tak jak on w końcu dotarł do Truso, tak my na wysokości obozu archeologicznego o tej samej nazwie dotarliśmy do celu.

Kilkanaście metrów od brzegu stał nieduŒy namiot, jakiego uŒywają wędkarze do przechowywania wędek, stołeczków i innych akcesorii. Namiot naleŒał do studentów, którzy zapewniali, Œe chodzą tu wieczorami łowić ryby. Podpłynęliśmy do brzegu rozsuwając szumiący tatarak. Była pełnia dnia. Wokół ani Œywej duszy. Bigos i Kugiel siedzieli pewnie w obozie. Czy w końcu nadszedł moment zdemaskowania złodziei?

Do namiotu weszła pierwsza Kasia. Miała do tego moralne prawo. Jako asystentka pana Jagody była, jak by na to patrzeć, szefową studentów. Po chwili zawołała pozostałych.

Zawartość namiotu przerosła nasze oczekiwania. Dwa składane siedzenia i stolik oraz porozrzucane pety i butelki po specjałach - tego moŒna się było spodziewać. Na stoliku jednak leŒało w 124

woreczkach foliowych kilkadziesiąt monet w całości i we fragmentach. Na środku stała kuweta, przy

niej szczoteczki i szpachelki, których używali do czyszczenia znalezisk. W kartonach leżały w nieładzie inne artefakty: ciężarki wagowe, bursztyny, grzebienie rogowe czy kilka srebrnych ozdób.

Pod stołem były rzucone trzy łopaty. Bez trudu znalazłem na nich swój podpis. Widocznie byli na tyle beczelni, że przygotowywali się do kolejnej akcji. Obok łopat, przykryty plandeką leżał nowy wykrywacz metali z wyraźnie widoczną naklejką „T.W.B.A.”.

Policja zatrzymała studentów i zabezpieczyła ślady w obozie i w małym namiociku. Niczemu nie zaprzeczali, byli wręcz wściekli na Baturę, że tak ich wystawił. Natomiast sam Batura niemal uniknął sprawiedliwości. Tak się zabezpieczył, że nie znaleziono przy nim nic, co by go łączyło z kradzieżą monet. Został jednak stanowczo poproszony o złożenie wyjaśnień w sprawie znalezionego w bagażniku lexusa komputera Macintosh, który dziwnym zbiegiem okoliczności miał ten sam numer seryjny, co skradziony dzień wcześniej w Elblągu przy ulicy Bednarskiej.

Po południu do obozu archeologicznego „Truso” w Janowie przyjechali hrabia Gerhard von Winkel i Jan Adamek, właściciel „Latającego Holendra”. Razem z Teodorą i Tobiaszem Tworkowskimi oraz resztą ekipy usiedliśmy, żeby po raz kolejny omówić wydarzenia ostatnich dni.

Wszystko było jasne i proste.

Andronik Bigos, który w rzeczywistości miał na imię Antek oraz Nereusz Kugiel, właściwie Stasiak, nie byli oczywiście studentami archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Pochodzili z Ostrołęki i Łomży, a poznali się na pierwszym roku psychologii Wyższej Szkoły Humanistycznej w Pułtusku, którego to roku nawet nie skończyli. Ponieważ bawili się trochę w obwoźny handel starociami, na jakimś pchlim targu w Warszawie poznali Baturę. Imponował im drogimi ciuchami i pełnym portfelem. Batura wtajemniczył chłopaków w swój plan, podrzucił im trochę ksiąsek o numizmatyce (wątpliwe, czyje przeczytali) i sam pojechał do Wiednia. Wrócił lexusem i już miał

plan, jak wyciągnąć od Herza więcej pieniędzy. Potrzebował chociaż kilku monet, żeby udowodnić Herzowi swoje rzekome wpływy. Wykupił wszystkie dirhemy na Allegro i dokonał nieudanego włamania do kilku muzeów, między innymi w Elblągu. To właśnie tu natknął się na dokumentację znalezisk w Janowie i postanowił jakoś wkręcić się do ekipy. Idealnie nadawali się do tego Bigos i Kugiel, których zabrał ze sobą do Emiratów, gdzie szczegółowo omówili plan.

Po powrocie do Polski, Batura dysponował sporą gotówką. Sfałszował dokumenty chłopaków, od ich imion po uczelniane indeksy i dla zwiększenia wiarygodności zarejestrował

Towarzystwo Wspierania Badań Archeologicznych, w skrócie T.W.B.A., którego rzekomo był reprezentantem. Batura doskonale wiedział, w jakiej kondycji są instytuty naukowe, więc zaproponował panu Jagodzie sfinansowanie pobytu dwóch zdolnych studentów archeologii i wykrywacz metali w prezencie. Jagoda przyjął pierwszą propozycję, dzięki czemu Batura miał swoich ludzi na stanowisku.

Fałszywi studenci nie tracili ani chwili, żeby ukraść jak najwięcej monet. Wybierali je z obozowego



magazynek, a potem teŹ bezpośrednio z wykopalisk. Czasem w kieszeniach lub w torbie z rzekomą zanętą wnosili do swojego wędkarskiego namiotu kilogramy ziemi. KaŜdego wieczora cięŹko pracowali przy czyszczeniu i segregowaniu dirhemów, z dala od innych członków ekipy. Po kilku tygodniach nauczyli się czytać plany wykopalisk i analizować pod tym kątem zdjęcia lotnicze. Z duŜą precyzją, przy pomocy wykrywacza metali, natrafiali na pojedyncze monety lub wręcz skarby monet. Ze względu na skuteczność tej metody porzucili kradzieŹ „spod łopaty”. Oddalili w ten sposób od siebie podejrzenia archeologów.

125

Dość przemyŹlnie zapewnili sobie alibi. Wracali z wędkowania zawsze o tej samej godzinie, około dwudziestej trzeciej. Potem długo rozmawiali w namiocie. Nikt z ekipy nie miał wątpliwości, Źe dwaj studenci nocuj w obozie. Prawda bya jednak inna. Znad jeziora wieczorem wraca zawsze tylko jeden z nich. Drugi zostawa w namiociku jeszcze dwie - trzy godziny, po czym zabiera

wykrywacz i łopaty i rusza do umówionego z Batur miejsca, szerokim łukiem okrajc obóz. Po skoŹczonej pracy przemyka si nad ranem przekupuj Jorvika jego ulubion kiełbas. Zreszt Jorvik w ogóle nie czeka na studentów, chyba Źe celowo wywoywali hałas. Tak waŹnie robi

jeden z nich, gdy o dwudziestej trzeciej wraca do obozu. Potem goŹno sam ze sob rozmawia, Źeby wywoac wraŹenie dyskusji, co czesto przyprawia Kasi o zdenerwowanie, tak Źe ich uciszaa.

Co ciekawe, Batura czasem pozwala „studentom” korzystać ze swego samochodu. Dlatego opis kierowcy lexusa, który uzyskaliŹmy od pracownika stacji benzynowej w Pasku nie musia

by fałszywy. Pasowa do Andronika, to znaczy Antka Bigosa. Zdenerwowanie pana z Paska musiao by chyba spowodowane moimi pytaniami. No i tym razem Batura nie wozi w swoim aucie modej, pieknej kobiety. Ten zaszczyt przypad mi.

Hrabia, Adamek i Tworkowscy oczywiŹcie nie mieli nic wspolnego z kradzieŹ. NaleŹy jednak wyjaŹni ich dziwne zachowanie. Ot pan von Winkel, sentymentalny germanofil, upatrywa w rekonstrukcji Truso sposobnoŹ udowodnienia wszystkim pradawnej niemieckoŹci tych ziem. Dowodów na to nie byo w zabytkach zgromadzonych przez Jagod, dlatego Winkel obieca Tworkowskiemu duŹe wsparcie finansowe, jeŹli takie dowody znajd. Tworkowscy dwoili si i troili, lecz pomimo specjalizacji w dziedzinie wdrówek ludów germaŹskich, poza ogolnie dostepnymi faktami, nic nowego nie odkryli. koncepcja hrabiego bardzo spodobaa si Adamkowi, który mia nadzieje na napyw bogatych turystów z Niemiec. Tworkowscy próbowali si wycofa z pochopnie podjetych zobowiaŹ, czemu dali wyraz w sprzeczce, ktor w Stegnie obserwowa

Kuba.

Policja zwroci wszystkie monety do Muzeum. Profesjonalny wykrywacz metali by prawnap wasnoŹci T.W.B.A., wiec naleŹaloby go odda Baturze. Oficer policji znalaz jednak przy nim aktualny akt darowizny na rzecz pana Jagody. Co prawda pan Marek poczatkowo odmowi

przyjcia prezentu, ale teraz, widzc jego skutecznoŹ i praktycznoŹ, z wielk ochot przyj dar.

JuŚ na drugi dzień zaczął uŚywać go w pracy.

Nadszedł czas poŚegnania.

- Co teraz? - spytałem Tobiasza Tworkowskiego, gdy ostatecznie rozstał się z hrabią.

- Planujemy z Teodorą przenieść się nad Zalew Wiślany. Będziemy szukać kolejnej zagadkowej krainy - Lanzanii. W pierwszej połowie XIII wieku król duński Waldemar II rościł

sobie pretensje do tej krainy. Później przeszła we władanie biskupa pruskiego Chrystiana, a w końcu księcia pomorskiego Świętopełka. Przypuszczam, Śe chodzi o zespół grodzisk na Wysoczyźnie Elbląskiej pomiędzy Tolkmickiem a Fromborkiem.

- MoŚe uda się państwu odnaleźć legendarną Lanzanię, tak jak panu Jagodzie udało się odnaleźć legendarne Truso, naszą małą Troję.

- Mam nadzieję.

Spojrzałem na hrabiego.

- Czy pan się czymś martwi? Mam nadzieję, Śe nie zrezygnuje pan z wspierania projektu Truso.

126

- AleŚ nie! Panna Katie zachęciła mnie, bym odwiedził Centrum Archeologiczne Jorvik w Yorku. Jutro wyruszamy tam z panem Adamkiem. Chcemy podejrzeć zastosowane tam rozwiązania i wykorzystać w naszym projekcie. Musimy doprowadzić do końca nasz zamysł, prawda Herr Jan?

- Tak jest! - zawołał zadowolony Adamek.

- A pani, panno Kasiu, martwi się pewnie brakiem rąk do pracy?

- Nie Śartuj, Pawełku. Cieszę się, Śe te dwa lewusy są tam, gdzie być powinny. Rąk do pracy natomiast widzę tu w nadmiarze. A mówiąc poważnie, lada moment powinna przyjechać ekipa z Freiburga.

UŚmiechnęliśmy się szeroko.

- A jednak dziś odjeŚdŚamy. Pan Tomasz zaprosił całą naszą ekipę nad Jeziorak, na sandacza.

- Pozazdrościć.

Pan Samochodzik wyciągnął do Kasi dłoń.

- Czekamy na panią kaŚdego wieczora.

- Zaproszenie przyjęte.

Na koniec podszedł do nas pan Jagoda.

- Tacy młodzi ludzie to skarb. Gdyby nie wasza pomoc...

- To my dziękujemy - zawołał Kuba.

- Mam teŜ rozwiązanie twojej zagadki - archeolog zwrócił się do Rufusa. - Jurek ma dwanaście lat, prawda? Ale obieranie ziemniaków sobie juŜ darujemy.

Spojrzałem na Jagodę.

- Panie Marku, panu Œyczmy niegasnącego entuzjazmu - powiedziałem. - I dziękuję za Przygodę z Truso.

Jagoda rzucił mi się w ramiona.

- Truso zawsze zaprasza!

\*

Ostatni sezon wykopaliskowy w Truso przyniósł zaskakujące odkrycia. W jednym tylko miejscu znaleziono aŜ 10 kilogramów bursztynu. Był to zapewne zapas rzemieŒlnika, który zawodowo zajmował się obróbką tego kruszcu. Odnaleziono go w przylegającej do domu bursztynnika półziemiance, a w samym domu odkryto wyrabiane przez niego krąŜkowate pierścionki. Skarb potwierdził tezę pana Marka, Œe obróbka bursztynu była jednym z głównych rzemiosł, jakimi zajmowali się mieszkańcy Truso. Co przyniosą kolejne sezony?

\*

Autor serdecznie dziękuje panu doktorowi Markowi Franciszkowi Jagodzińskiemu z Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu za czas poświęcony na oprowadzenie po stanowisku archeologicznym w Janowie Pomorskim oraz za uŒyczenie cech jednej z postaci występującej w tej ksiąŜce.

Wszystkie pozostałe postaci s¸ fikcyjne.